

- Dlaczego kioski „Ruchu” bywają zamknięte? — str. 6
- Festiwal Polskich Filmów Fabularnych — str. 9
- Amerykańskie nastolatki i seks — str. 13
- Jak kształcić nauczycieli od muzyki? — str. 14



Nr indeksu 36762  
PL ISSN 0472-5042

# Lódź tygodnik społeczno-kulturalny

# Odgłosy

NUMER 39 (1487) ROK XXIX

27 WRZEŚNIA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

## Wielki odpust

RYSZARD BINKOWSKI



Foto: Grzegorz Galasinski

Niebo chmurne, powietrze mgliste, las pachnie jesienią, a śródleśnym traktem prują do Malinki samochody osobowe najprzeróżniejszej marki. Nic dziwnego, bo w Malince tej niedzieli wielkie świętowanie. „Dożynki — Zgierz '86”, o czym informuje okazała tablica z kłosa, umieszczona przy drodze.

Gmina Zgierz doczekała się uznania, i słusznie, należy bowiem do największych w kraju, tym bardziej, że w 1975 roku dołączono do niej teren byłej gromadzkiej rady narodowej w Wypychowie. Czterdzieści dwa sołectwa na ponad 20 tys. ha powierzchni.

Z głębi lasu dobiegają z magnetofonów tony znanych przebojów. Punkt gastronomiczny nad samą wodą nieczynny, ale za to pracują w pocie czoła milicjanci, którzy tak regulują ruchem, żeby na parkingu dla najważniejszych gości nie zrobił się bałagan i tłok. Wesola muzyka i wzorowy porządek, a wszystko na czasy

lódzkiej rolników, którzy w ciągu 27 dni zebrali zboże z 48 tys. ha, uzyskując plony średnio 27 kwintali w skali województwa. Tym większa w tym zasługa gminy Zgierz, która po raz kolejny uzyskała tytuł mistrza gospodarności. A ziemię tu przeważnie słabe, tymczasem tacy np. rolnicy, jak Wojciech Klński z Rosanowa, uzyskiwali plony w granicach 50—60 kwintali z ha.

Nad zwałem cicho i pusto, gdyż uroczystości dożynkowe będą na szczycie. Na spłaszczonym szczycie łagodnego wzniesienia, na które wchodzi się po schodkach, na razie gra muzyka, kwitnie handel, trwają imprezy rekreacyjne i słychać głos wesolego konferansjera, który zachęca dzieci do wysięgu w workach.

Gmina Zgierz jest potentatem w produkcji drobnarskiej i wyrobów mleczarskich. W dniu dożynek handel pragnie więc zadowolnić rolników oraz tysiące mieszczuchów, którzy ciągną tutaj jak na mecz Wi-

dzewa z ukochaną Legią. To jest prawdziwy odpust. To jest odprężenie oraz zadośćuczynienie po ciężkiej żniwnej pracy. Przyciąga kram Zakładu Zaopatrzenia Ogrodniczego, zaś OS Mlecz. z Ozorkowa prezentuje frykasy, które trudno znaleźć w sklepach. WSOP sprzedaje nawet miód, a obojętnie można śledzić po 258 zł kg i sardynki w oleju po 95 zł. Jednakże największe wzięcie ma pościelowe i stoisko z trykotażami, a w kolejce po książki z kolorowymi ilustracjami ustawiają się nawet milicjanci.

W pewnej chwili dzieci przestają słuchać wesolego konferansjera, porzucają tor przeszkod i biegną do nowego stoiska. Tam jest wspaniały kram odpustowy, a właściciel kramu krzyczy, że w składzie wyrobów skórzanym, całe składy czarnych pistoletów maszynowych, szable i strzelby, pilki na gumce, laleczki, baloniki bez drucików, co kto lubi.

W gminie Zgierz oba się o sprawę zdrowia i opieki społecznej. Funkcjonuje tutaj 9 znakomicie wyposażonych przychodni lekarskich. Ale żeby z niektórych wsi, np. z Kwilna, nie wożono chorych do szpitala helikopterem, trzeba też dbać o drogi. Na budowę i modernizację dróg przeznaczono w ostatnich latach 260 mln złotych.

A na święto dożynkowe wzniesiono okazałą trybunę. Z lewa i z tyłu otacza ją woda, a z prawa pole, z którego skoszono i sprzątnięto zboże. Przy krzesłach obok trybuny nie wiadomo po co stała taczka, która znikła, gdy pojawiła się orkiestra dęta. Wożono nią co cięższe instrumenty. Nie wiadomo było również, czemu z boku dynda na drążku podobny do człowieka plastikowy wisielec, aż wesoly konferansjer wrzasnął radośnie, że pewna pani wygrała właśnie konkurs rzutów walcem do manekina.

## Meksyk

(2)

## Chwył odwetowy

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Usłyszałem więc, że Polacy, którzy nie otrzymali amerykańskiej wizy, w Warszawie, przylatują często do Meksyku, aby przeprawić się na teren Stanów Zjednoczonych przez graniczną rzekę Rio Bravo. Dramaty. Aresztowania, deportacje. Jan Szerszeń przyrzekł, że skontaktuje mnie w tej sprawie z Jerzym Kwiatkowskim, kierownikiem działu konsularnego. Podziękowałem, i pomyślałem, że za wszelką cenę muszę odnaleźć Romana.

Samochód utknął tymczasem w korku na calle James Sullivan niedaleko Pomnika Matki. Ktoś błuznił, wyło sto klaksonów, pociemniało od wylizyw spalin. Szerszeń nie poganiał szofera, natomiast jednak, że jesteśmy oczekiwani w Ambasadzie PRL, która wspólnie z Biurem Rady Handlowej postanowiła pomóc mi w realizacji programu.

Miałem za sobą trzydziestogodzinną podróż. Kiedy dotknąłem policzków, wyczułem pod palcami szczecinę. Zapytałem, czy mógłbym się ogolić.

— Gdzie?  
— W hotelu. Może znajdzie się coś w tym rejonie?  
— Myślę, że tak — powiedział Szerszeń. I do kierowcy:  
— Proszę skręcić w lewo.

— Si, senior. — Indianin wykonał śmiały manewr i uciekliśmy z zatoru w wąską, boczną uliczką Serapio Rendon. Podobno we wrześniu osiemdziesiątego piątego, kiedy zaczęło trząść, tu właśnie znajdowało się epicentrum. Półnady pracownicy Centrum wybiegali boso z hotelu Sevilla, aby obserwować ze zgrozą koniec świata. Później wypowiadali się przed dziennikarzem warszawskiego tygodnika. Wrzask, zbiorowe mdły, głuche ujadanie psów i łoskot gruzów bombardujących jezdnie i chodniki. Największy kataklizm w bogatej historii Meksyku. Mnie jednak dopisało szczęście. Znalazłem duży wygodny pokój z łazienką, w której błyskawicznie doprowadziłem się do ładu. W godzinę później zostałem przyjęty przez ambasadora.

Henryk Łaszcz, człowiek pięknych manier, jest mężczyzną bardzo wysokim. W młodości uprawiał z sukcesami siatkówkę, niewiele jednak mówiliśmy o sporcie. Ot, chciałbym podyskutować z Szefem Generalnym Komitetu Wykonawczego Piłkarskich Mistrzostw Świata z Ramonem E. Alatorre, nie tyle o samym futbolu, co o aspektach propagandowo-ekonomicznych imprezy. Poza tym interesuje mnie problem chłopski, nieustanna migracja biednej ludności wiejskiej do Ciudad de Mexico, największego bez wątpienia miasta na kuli ziemskiej, które przyciąga się do osiemnastu milionów, a ma ich bodajże, z rozrządzeniem się w sposób nie kontrolowany peryferiami, dwadzieścia sześć. Byłbym również wdzięczny za ułatwienie mi kontaktów ze środowiskiem polonijnym, z meksykańskimi artystami i dziennikarzami oraz z kimś od polityki i od polityki. W kwestiach handlowych i wymiany towarowej między Polską a Meksykiem, która mimo dobrej woli obydwu stron kuleje, skorzystam z pomocy Jana Szerszenia i innych pracowników BRH.

Ambasador zaakceptował plan z sugestią, że trzeba go sprecyzować i przedłożyć na piśmie sekretarzowi Stachurskiemu. Można zrobić to jeszcze dzisiaj! Jutro jest czwartek, pojutrze piątek, później zaczyna się weekend. Mało prawdopodobne, aby udało się zorganizować jakieś spotkanie w tym tygodniu. A czas ucieka. Powiniennem wykorzystać pierwsze dni zwiedzając miasto i jego ubogie peryferie, rozmawiając z ludźmi, oglądając telewizję i czytając „Excelsior”.

Około trzeciej zjadem z Janem Szerszeniem obiad w restauracji mojego hotelu. Pod nieobecność Rady Handlowej, który przyjechał w Meksyku dramatyczną przygodę i wyjechał na urlop wypoczynkowy do kraju, mój opiekun pełnił funkcję szefa polskiej placówki. Nie wiedziałem jednak i nie wiem w dalszym ciągu, jak go tytułować. Kiedy, zgodnie z dynamiką reportażu, piszę obojętnie: Szerszeń, nie umniejsza to w niczym mojego szacunku dla tego uroczego i mądrego człowieka.

Coctel de frutas (sałatka owocowa), arroz (ryż), pollo a la mexicana (kurczak), małe ciastko z kremem i kawa. Piłem ją z zamkniętymi oczami, a on mówił:

— Nie wolno panu spać. Musi pan wytrzymać do dziewiętej lub dziesiątej, dzięki czemu zniweluje pan różnicę czasu, a jutro organizm znacznie funkcjonować normalnie. Przyjadę do pana rano z gazetami. Wybierzemy się na peryferie i odwiedzimy Janusza Grendysa, który uruchamia w Meksyku wytwórnię polskiej wódki!

Wstał i uścił mi rękę.  
— O Kwiatkowskim pan pamięta? — zapytałem.  
— Tak.

Widziałem przez okno, jak indiański kierowca otwiera mu drzwi. Wszedłem do pokoju i zacząłem rozpakowywać japońską torbę na kółkach, którą skądinąd pożyczyl mi sąsiad. Pomyślałem wdzięcznie o sąsiadzie. A potem przypomniałem sobie Romana porzuconego na zatłoczonym chodniku w dzielnicy wielkich rzek. Będzie się przeprawa przez granicę. Nocą. Na plecach meksykańskiego kojota. Lewą ręką złapie go za gardło, z prawej nie wypuści łeczki. Za chlebem, psia krew! Tyle że w Polsce został żonę, dom, dziecko, mercedesa i kilkanaście milionów w dolarach, w złotychkach, w metalu. Kto ma dużo, chce mieć jeszcze więcej. Tak jest! Pójdzie wylądować przez Rio Bravo, choć na drugim brzegu czekają ryje amerykańskich karabinów maszynowych przujących do wszystkiego, co się rusza, ruszając się bowiem nie tylko ci, którzy szukają pracy, ale i ci, którzy ciągną do rajów z marihuana, morfiną i kokainą.

Bravo, znaczny odważny, wspaniały, dziki, a rojo to kolor czerwony.

— Rio Bravo, czy, jak mówią w Ameryce: Rio Grande powinno nazywać się raczej Rio Rano — powie mi z czasem José Dolores Lopez, jeden z szefów PSUM

3

7



# Ogłosy

Adres redakcji: 90-113,  
Łódź, ul. Henryka  
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny  
36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz

Włodkowski.

Zastępca redaktora

naczelnego: Edmund

Lewandowski.

Sekretarz redakcji:

Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu

literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny:

Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,

Dariusz Dorożyński,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Andrzej

Karolczak, Roman Kubiak,

Jerzy Kwieciński, Bogda

Madej, Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,

Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz

Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Błażejowski,

Krzysztof

Drzewiecki, Bohdan

Gadamski, Witold

Kasperkiewicz, J. Stanisław

Knypl, Marek Koprowski,

Włodzimierz

Krzemiński, Alfred

Lutrykowski, Władysław

Malka, Marek Mamos,

Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny,

Jerzy Panasewicz, Karol

J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-

two Prasa RSW „Prasa —

Książka — Ruch” 91-103 Łódź,

ul. Stenkiwicz 3/5.

**DRUK:** Prasowe Zakłady Gra-

ficzne RSW „Prasa — Książka

— Ruch”, Łódź, ul. Armii Czer-

wonej 28

Redakcja nie zwraca nie za-

ramionych rękopisów i zastre-

ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla

Instytucji i zakładów pracy —

zlokalizowane w miastach woje-

wódzkich i pozostałych miastach

w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa —

Książka — Ruch” zamawiają

prenumeratę w tych oddziałach

— Instytucje i zakłady pracy

zlokalizowane w miejscowościach

gdzie nie ma Oddziałów

RSW „Prasa — Książka —

Ruch” opłacają prenumeratę

w urzędach pocztowych i u dorę-

czycieli; 2. dla indywidualnych

prenumeratorów: osoby fizyczne

zamieszkałe na wsi i w miejscow-

ościach, gdzie nie ma oddzia-

łów RSW „Prasa — Książka

— Ruch” opłacają prenumeratę

w urzędach pocztowych i u dorę-

czycieli; osoby fizyczne za-

mieszkałe w miastach — siedzi-

sch Oddziałów RSW „Prasa

— Książka — Ruch” opłacają

prenumeratę wyłącznie w urzęd-

ach pocztowych nadawczo-od-

dawczych właściwych dla miej-

scy zamieszkania prenumeratora.

Wpłaty dokonuje się używając

blankietu „wpłaty” na rachunek

# Przegląd prasy

Podczas swego urlopu Michaił Gorbaczow spotkał się z mieszkańcami Krasnodaru. Stenograficzny zapis rozmowy odbytej na centralnej ulicy miasta opublikowało m. in. „ZYCIE WARSZAWY” (nr 220). Na pytanie — dlaczego USA kontynuują próby jądrowe mimo radzieckiego moratorium? — M. Gorbaczow odpowiedział: „Przewodzący trudną walkę o pokój, Dawniej Stany Zjednoczone uzasadniały wszystkie swoje militarne plany, liczącymi insynuacjami, liczącymi

## WYPACZENIAMI OBRAZU

Związku Radzieckiego, jego polityki zagranicznej. Po pierwsze, utrzymuje się, że Związek Radziecki grozi użyciem całego świata, dąży do przewagi militarnej, zamierza okupować całą Europę Zachodnią. Związek Radziecki chce rzekomo „położyć łapę” na Afryce i Azji. Nakreślono taki właśnie wizerunek Związku Radzieckiego, jak to oni nazywają „rosyjskiego niedźwiedzia”, „rosyjskiego agresora”. Patrząc na Was: czy rzeczywiście wszyscy robimy takie wrażenie, i ja, i Wy, wszystkie nasze pokolenia, które stworzyły to, co jest w naszym kraju? Jesteśmy dumni z naszego kraju. Tyle poświęciliśmy sił i życia ludzkiego! Czy rzeczywiście snujemy takie podstępne plany wobec innych narodów? Kiedyś wspólnie z Rajsą Maksimową czytaliśmy Dostojewskiego. Pisał on, że być może rosyjskie serce — a ja bym powiedział serce narodu radzieckiego — jest najbardziej otwarte dla braterstwa i zjednoczenia. (...) Albo też mówiono tak: Związek Radziecki jest przeciwny jakiegokolwiek kontroli, nie można z nim dojść do porozumienia, nie przestrzega umów. Jak widzicie, wszystkie te insynuacje zdemaskowałyśmy. Zapropowaliśmy taką politykę — i to we wszystkich kierunkach — z którą trudno się spierać, ponieważ jest to polityka pokojowa. Teraz ludzie nie chcą już wierzyć, że Związek Radziecki trudni się propagandą, że dąży on do wojny. A im więcej cudzoziemców przyjeżdża do nas i kontaktuje się z naszymi ludźmi, tym częściej widzą, że ludzie ci są dobrzy, że pragną pokoju, są gościnni, prości, otwarci.”

W tym samym sobotnim-niedzielnym numerze dziennika warszawskiego Karol Szyndlerz pisze o roli nowoczesnych środków masowego przekazu w stosunkach radziecko-amerykańskich. Z ciekawą inicjatywą teledyskusji wystąpił sieć NBC oraz radziecki Komitet do spraw Radia i Telewizji. Ze strony USA w debacie mieli wziąć udział: sekretarz stanu G. Schultz, szef połączonych sztabów sił zbrojnych W. Crowe, M. Kampelmann i fizyk E. Teller. Natomiast ZSRR zamierzali reprezentować: minister E. Szewardnadze, marszałek S. Achromiejew, W. Karpow i akademik E. Wielichow. Wszystko

## BYŁO JUŻ PRZYGOTOWANE.

Przedstawiciele strony radzieckiej potwierdzili swój udział w programie. Jednakże do teledyskusji nie doszło. Dlaczego? Otóż prezes NBC — News L. Grossmann przysłał do Moskwy depeszę następującej treści: „Wybrani wyżsi urzędnicy państwowi odmówili zgody na wzięcie udziału w debacie.”

W prasie krajowej i zagranicznej dużo komentarzy poświęconych jest decyzji władz PRL w sprawie zwolnienia wszystkich więźniów politycznych. Jeszcze zanim podjęto te decyzje prof. Mikołaj Kozakiewicz napisał artykuł na temat tzw. winnych niekryminalnie, który można przeczytać w tygodniku „ODRODZENIE” (nr 38). Autor zwraca uwagę, że pod względem liczby amnestii i podobnych aktów (abolicja, szczególnie postępowanie) Polska ustanowiła w ostatnich 5 latach chyba rekord światowy. Przy czym największe zainteresowanie w kraju i na

świecie wzbudza zawsze niewielka grupa osób skazanych za przestępstwa przeciwko państwu i porządkowi publicznemu.

Mikołaj Kozakiewicz wskazuje trzy typy reakcji społeczeństwa na zwolnienie więźniów niekryminalnych. Jedni upatrują w tym sily władzy, inni widzą dowód jej słabości, a jeszcze inni dostrzegają niekonsekwencję w postępowaniu. „Osobiście — pisze profesor — nie podzielam żadnego z wyżej wymienionych poglądów: nie sądzę, aby te liczne w ostatnim pięcioleciu akty amnestiopodobne były dowodem, czy to sily, czy słabości, czy też niekonsekwencji władzy. Sprawa jest

## ZNACZNIE GŁĘBSZA

Rozumiem te fakty, jako wytrwałe, może nawet desperackie próby szukania nowych sposobów działania politycznego, a w wymiarze państwa — sprawowania władzy, które by rozwiązały (lub przynajmniej na razie złagodziły) sprzeczność między dawnymi, wciąż obowiązującymi założeniami i zasadami, a całkiem nowymi, radykalnie zmienionymi po 1980 roku nastojami, aspiracjami, ureszcie postawami i co najważniejsze warunkami społeczno-ekonomicznymi i politycznymi”. Władza uświadamia sobie konieczność zmian systemowych.

Zdaniem M. Kozakiewicza trzeba znaleźć sposób na przetrwanie błędnego koła aresztowań i zwolnień. W tym celu nie można jednak żądać tylko zmiany postępowania ze strony winnych niekryminalnie, lecz należy dążyć poprzez zmianę przepisów prawnych do całkowitej dekryminalizacji pewnych działań. Proces odnowy wymaga dostosowania istniejących zasad i struktur do pluralistycznego charakteru społeczeństwa. „Trudno oczekiwać — czytamy — aby ludzie, którym przysądza się prawo do posiadania odrębnych przekonań, godzili się na odmawianie im prawa do ich głoszenia i publicznej obrony”.

Z kwestią swobód obywatelskich związana jest m. in. działalność cenzury. Na temat funkcjonowania tej instytucji napisał w ostatniej „POLITYCE” (nr 38) redaktor prasowy Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk — Justyn Sobol. Jest to wyjaśnienie w związku z wcześniejszym artykułem Daniela Passenta.

Justyn Sobol podkreśla, że działalność cenzury również podlega kontroli. Można bowiem odwołać się do Głównego Urzędu; a z kolei decyzje drugiej instancji kontroluje Naczelny Sąd Administracyjny. Praca cenzury jest oceniana i nadzorowana przez Kolegium złożone w 2/3 z przedstawicieli organizacji politycznych, społecznych i twórczych. Oprócz tego istnieje nadzór Sejmu i Rady Państwa.

Według rzeczownika GUKPiW autorzy i redakcje mają prawo do zaznaczania w tekście ingerencji cenzorskich. Obowiązuje

## JAWNOŚĆ DECYZJI

Nie zgadza on się z supozycją, że dla cenzora bezpiecznie jest zdjąć coś niż zwolnić, gdyż w rzeczywistości konfiskaty należą do rzadkości, a regułą jest brak ingerencji. „Jakiegokolwiek ingerencji — podaje Justyn Sobol — dokonuje się zaledwie w 7 proc. ponad 3 tysięcy kontrolowanych tytułów prasowych, przy czym większość wkroczeń skupia się w niespełna 20 tytułach, zaś w pozostałych są to jedna-dwie interwencje w ciągu roku. Jeśli chodzi o książki, to częściowo ingerencje dotyczą 0,7 proc. tytułów (konfiskat calościovych od lat nie notujemy). Radio, telewizja, teatr, film są dziedzinami rzadko lub wcale nie wymagającymi wkroczeń cenzury, przy czym we wszystkich środkach przekazu obserwujemy już od dawna stałą tendencję do zmniejszania się liczby ingerencji”.

Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk decyduje m. in. o pojawieniu się na rynku wydawniczym nowych tytułów czasopism. Niedawno ukazał się pierwszy numer kwartalnika „POLSKA MŁODZIEŻ”. Jest to biuletyn rządowego Instytutu Badań Problemów Młodzieży. Numer otwiera rozmowa Piotra Aleksandrowicza z prof. Mikołajem Kozakiewiczem.

Zdaniem uczonego największy wpływ na postawy i hierarchie wartości młodzieży miały następujące procesy: urbanizacja, socjalizacja, lacyzacja i globalizacja pewnych zjawisk cywilizacyjnych (w tym indywidualizacja ludzi). Z badań socjologicznych wynika, że młodzież nasza jest głęboko przekonana o omnipotencji państwa i jedności. Na to prof. M. Kozakiewicz powiada: „Trzeba by podjąć analizę pewnych stereotypów narodowych. W gruncie rzeczy Polacy nie są wcale demokratami, są

## NARODEM AUTORYTARNYM,

to jest okropne, ale prawdziwe. Nawet badania ostatnio przeprowadzone przez profesora Adamskiego, czy CBOS ciągle wykazują, że tylko ponad 1/3 Polaków chce naprawić demokratycznego, zdecentralizowanego państwa. Reszta marzy o silnym państwie, najlepiej z silnym wodzem”.

W artykule zatytułowanym „Młodzież o rzeczywistości społeczno-politycznej” dyrektor IPBM, prof. Jan Bogusz, podaje rezultaty badań przeprowadzonych w marcu 1986 r. na próbie reprezentatywnej dla ogółu młodzieży polskiej. Oto poglądy respondentów na temat stosunku do władzy politycznej w Polsce i roli PZPR: a) w Polsce potrzebna jest silna scentralizowana władza polityczna z kierowniczą rolą PZPR — 30 proc.; b) w Polsce potrzebna jest silna scentralizowana władza, ale bez kierowniczej roli PZPR — 23 proc.; c) w Polsce potrzebna jest władza zdecentralizowana, bez kierowniczej roli PZPR, oparta na udziale różnych sił — 21 proc.; d) w Polsce potrzebna jest władza zdecentralizowana, ale z zachowaniem kierowniczej roli PZPR — 9 proc.; e) trudno mi określić charakter władzy i rolę PZPR — 12 procent. Pozostali mieli inne zdanie. W sumie 53 proc. opowiedziało się za rozwiązaniami monocentrycznymi.

W czerwcu 1985 r. Ośrodek Badań Prasoznawczych w Krakowie przeprowadził badania reprezentatywne wśród młodzieży szkolnej (przeważnie w wieku 13—16 lat). Badano czytelność prasy. Wyniki prezentuje w kwartalniku IPBM Stanisław Nowicki. Największy zasięg spośród dzienników miał „Świat Młodych” — 77 proc., a na dalszych pozycjach znalazły się lokalne dzienniki PZPR — 55 proc., lokalne popołudniowe — 30 proc., „Dziennik Ludowy” — 23 proc., „Gazeta Młodych” — 10 proc., „Gromada-Rolnik Polski” — 10 proc., sportowe — 7 proc., „Trybuna Ludu” — 6 procent. Natomiast w grupie czasopism największy zasięg zdobył „Swierszczyk” — 55 proc., a dalej są: „Piomyk” — 50 proc., „Razem” — 46 proc., „Piomyczek” — 42 proc., „Przyjaciółka” — 36 proc., „Miś” — 30 proc., „Kobieta i Życie” — 18 proc., „Jestem” — 16 proc., „Panorama” — 16 proc., „Filipinka” — 14 proc., „Ekran” — 10 proc., „Na Przelaj” — 10 proc., „Żołnierz Polski” — 10 proc. i inne.

Tak się złożyło, że na koniec — już po raz trzeci w dzisiejszym przeglądzie prasy — znowu pojawi się Mikołaj Kozakiewicz. Na łamach tygodnika „PRZEGLĄD TYGODNIOWY” (nr 38) zabrał on głos w sprawie

## ATAKÓW NA RELIGIOZNAWSTWO

Podstawowa teza profesora jest następująca: tylko pozornie wycelowano działa w jeden nowy przedmiot, a naprawdę w sam fundament polskiej szkoły socjalistycznej. „Ukazywanie religii katolickiej na tle innych wyznań chrześcijańskich, jak też różnych innych religii świata — czytamy — zapobiega indoktrynacji katolickiej i sprawia, że przynależność do religii staje się świadomym wyborem...”

E. L.

## NA WŁASNY RACHUNEK

# Kto za demokracją?

Dawno już nie odczuwaliśmy tak istotnego złagodzenia napięcia wewnętrznego, jak w odpowiedzi na opublikowaną decyzję o zwolnieniu — niezbyt licznej zresztą — grupy więźniów tzw. politycznych. Jak każda decyzja polityczna, nawet i ta, w której tak dużą rolę odgrywają względy humanitarne, nie przez wszystkie przyjęta została z całkowitą akceptacją. Przyczyny tego mogą być różne, niektóre przez ludzi nie ujawniane.

Nawet jeśli nie wszyscy z uwolnionych zdecydowali się zaniechać nielegalnej działalności (z czym przecież należy się liczyć) to jednak pozostaje faktem, że jesteśmy jednym z bardzo chyba nielicznych w świecie krajów bez więźniów politycznych, i jednym z niewielu, wśród przeszło półtorej setki państw członkowskich ONZ, gdzie represje polityczne w ostatnich kilku latach miały charakter nieporównanie mniej brutalny i dotkliwy niż tam, gdzie najgłośniejszemu deklamuje się o swobodach i prawach człowieka.

Nie tylko przed kamerami dziennika telewizyjnego można było słyszeć obawy, że ten akt kolejnej amnestii odczytany będzie przez niektóre koła jako słabość rządzących, a tym samym stanowić może zachętę dla części amnestionowanych lub dotychczas nie uwolnionych do podjęcia nielegalnej działalności antypaństwowej, która, jak podpowiada doświadczenie, mimo udowodnienia i skazania, spotyka się jednak po pewnym czasie z przedterminowym darowaniem kary.

Być może są to obawy zasadne, ale rzecz w tym — o jakiej tendencji wewnątrzpolitycznej świadczy ten ostatni krok władzy oraz czy sprzyja on lub też przeszkadza procesowi demokratyzacji socjalizmu w Polsce. I w związku z tym nigdy, jak myślę, nie dość przypominać o pewnej prawdzie z politycznego elementarza państwa socjalistycznego.

Wielokrotnie już obserwowaliśmy, że poczucie społecznego poparcia dla racji ustrojowych i państwowych (choćby tylko w sensie nieobecności działań jawnie wrogich) skłaniało zawsze władzę ludową do liberalizacji systemu sprawowania rządów, gdy tymczasem nasilanie się działalności określonej skrótkowo jako kontrewolucyjna prowadzi z reguły do „uszywnienia” metod rządzenia. I chociaż ciągle nie utraciła mocy obowiązującej wypowiedź I sekretarza Komitetu Centralnego partii, że demokracja socjalistyczna nie jest tylko gestem władzy wobec społeczeństwa, lecz historyczną koniecznością obecnego etapu rozwoju socjalizmu w Polsce, to jednak, jak zawsze w polityce, nie ma działań (odpowiedzialnych działań) całkowicie niezależnych od ogólnej sytuacji.

Tak więc najgłębsze przekonanie kierownictwa, popierane przez ogół członków partii, o potrzebie rozwijania tendencji demokratycznych, zwiększających zakres faktycznego ludowładztwa w ramach konstytucyjnych, może ulec przejściowemu zahamowaniu czy nawet zachwianiu w najgłębszym nie z tej przyczyny, że się partii demokratyzacja socjalizmu „odwiziała”, bo już poczuła się mocna i niezagrożona.

Otóż myślę, że najwyższy czas (i pora po temu w związku z amnestią), żeby wreszcie wszyscy zdali sobie sprawę, że to właśnie przeciwnicy socjalizmu pragną, by proces demokratyzacji ustroju i reform modernizujących gospodarkę uległ załamaniu i żeby mogli zawałać z triumfem: „A widzieli! Socjalizm jest ze swej natury totalitarny i wskutek tego nierreformowalny!”. A pójście za głosem tych, co agituja za uprawianiem antysocjalistycznej opozycyjności może, w określonych przypadkach, dostarczyć argumentu nielecnie obecnie zwolennikom poglądów, że nie nadzedł jeszcze czas na rozszerzenie u nas demokratycznych uprawnień i swobód obywateli, i że należy im się przeciwstawić w świecie podzielonym na dwa obozy i w społeczeństwie o mocno zróżnicowanych nastawieniach wobec socjalistycznego państwa oraz o znacznej rozpiętości światopoglądów.

Tej oczywistej prawdy, że poparcie dla ustroju oznacza u nas w praktyce (zwłaszcza obecnie) wsparcie procesów demokratyzacji niejednemu z działaczy opozycji nie pozwoliło dostrzec emocjonalne zaślepienie, niejedną zaś, zdając sobie sprawę z tych zależności, kierowany jednak karierowiczowską nieuczciwością nie wahał się popychać swoich zwolenników do czynów destabilizujących życie społeczne i gospodarcze.

Nieobojętne więc dla nas wszystkich, jak wielu spośród uwolnionych wyrzeknie się antypaństwowych działań, nieobojętne również, czy nauka nienawiści wobec ludzi innego światopoglądu i demagogiczne argumenty o rzekomych ograniczeniach wolności światopoglądu przestaną rozbrzmiewać z niektórych osławionych ambon. List Episkopatu Polski powinien tych zacietrzewionych skłonić do politycznego myślenia i wzbudzić w nich poczucie odpowiedzialności za ład społeczny w kraju. Ufajmy!

JERZY KWIECIŃSKI

# W najbliższych numerach „Ogłosów”

Już niebawem w naszym tygodniku można będzie m. in. przeczytać:

— artykuł MIROSLAWA KULISIA na temat życia i losów Żydów z łódzkiego getta;

— reportaż EUGENIUSZA IWANICKIEGO, w którym odpowiada na ważne pytanie, czy i na jak długo starczy nam wody;

— opowieść JACKA BINKOWSKIEGO o starej kobiecie szperającej w śmietnikach;

— relację TERESY JERZYKOWSKIEJ z ostatnich Targów Poznańskich;

— artykuł MARKA MAMOSA o śladach starożytnych mieszkańców naszych ziem;

— refleksje MARIANA PODLASZEWSKIEGO o roli głupoty w naszym życiu (przy okazji ciekawa zagadka do rozwiązania);

— szkic STANISŁAWA KAWCZYŃSKIEGO o rzekomych objawieniach Matki Boskiej w Hercegowinie oraz w Polsce;

— dalszy ciąg sensacyjnego reportażu ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO z Meksyku;

— jak zwykle — felietony, recenzje, wiersze, listy.



W zakładowej Izbie Tradycji oglądam unikalne dokumenty sprzed stu lat — autentyczne! — pierwszy odlew dokonany w zakładowej odlewni. Pod portretem patrona fabryki, Józefa Strzelczyka, stare fotografie i ryciny. O ostrzach, które mogą przewiercić stal. Jesteśnym zatem znów we współczesności... Czym żyje dziś zakłaga Fabryki Szlifierek im. Józefa Strzelczyka „Jotes” w Łodzi?

Częściej odpowiedzieli na to pytanie udzielają mi sekretarz POP oraz główny inżynier w Zakładzie Rozwoju i Szlifierek Zadaniowych. Tu produkuje się maszyny, o których można by powiedzieć, używając nieładnego terminu krytyków sztuk plastycznych — „unikatowe”. Każda z tych szlifierek powstaje na specjalne zamówienie, każda jest prototypem, większość nigdy nie będzie miała duplikatu... Jest także produkcja masowa: do końca roku produkcja wiertła stomatologicznych osiągnie taki pułap, że zaspokoi w pełni potrzeby krajowej służby zdrowia i całkowicie wyeliminuje koszty importu. Jak w marzeniach przeciwników eksportu: najpierw nasycenie rynku krajowego, potem eksport!

Trudności? Oczywiście, są, gdzie ich nie ma? Główny kłopot do odpływu pracowników. Najlepszych, najenergiczniejszych. Narazam się tymi słowami kolegom, którzy tu tkwią — uśmiecha się mój rozmówca — ale ja też zostaje w zakładzie, a więc nie zaliczam się do najbardziej rzutkich. Ludzie odchodzą do in-

## SPOKOJNIE I BEZ AKCYJNOŚCI

wytrwałe i konsekwentnie poszerzają pole partyjnego oddziaływania. Co szczególnie ważne to skuteczne oddziaływanie na samorząd pracowniczy, związki zawodowe i inne organizacje społeczne.

Tyle towarzyszą Głódzki, Tadeusz Kaczmarek dodaje, że tę skuteczność widać najlepiej w stosunkach z Radą Pracowniczą. Partyjni członkowie tej rady tworzą zespół, który w każdej sprawie podnoszonej na forum wypracowuje jasne stanowisko i solidarnie go broni. Gorzej jest ze związkami: Nieliczna jeszcze organizacja związkowa (ok. 500 osób, ale w tym przeszło setka emerytów) nie dorobiła się prężności działania i sprawności organizacyjnej. Komitet Zakładowy jest ostrożny w sprawach związku. Doświadczenie uczy, że linia partii — zwłaszcza jest cienka. Zerwać ją łatwo, a jednocześnie wcale nie chodzą, że była grubszą! Na dobrą sprawę wciąż uczymy się, wciąż wypracowujemy nową formułę współdziałania ze związkami. Są samorzadne i niezależne, nikt tego nie może kwestionować. A przecież partia nie może rezygnować z wpływu na wszystkie, co się w zakładzie dzieje?

Na obecnym etapie najważniejsza jest liczebność związku. Trudno sobie wyobrazić, żeby załoga mogła reprezentować organizację, która nie zrzesza nawet połowy tej załogi. Ale jaka będzie liczba optymalna? Na pewno nie sto procent, bo to z daleka pachnie lipą. A więc

# Wielki odpust

ze str. 1

Za trybuną funkcjonowała strzelnica i stał wskazywał namiot, w którym przebiegali artyści. Przebieralnie dla mężczyzn i kobiet za ozdobnym murkiem z prefabrykatów były nieczynne.

Gmina Zgierz oprócz sukcesu ma również kłopoty. Do bardziej dotkliwych należy problem telekomunikacji. Aby przybliżyć społeczeństwu sprawę najnowszej techniki, Wprowdźki Ośrodek Postępu Rolniczego z Bratoszewic zorganizował punkt pt. „Zastosowanie komputera Meritum w doradztwie rolniczym”. Ten sam WOPR wyeksponował również swoje broszury oraz piękne okazy swych plonów. Najbardziej jednak podobały się panie w stoisku z doradztwem z zakresu prowadzenia gospodarstwa domowego. Obiegali je młodzi chłopcy, którzy nie mogli się wprost napatrzywać na te śliczne dziewczyny.

Jednakże prawdziwe obłętnie panowało wokół wielkiego namiotu wojskowego. Nie prezentowano tam najnowszych rodzajów broni. Pod zielonym dachem funkcjonowała loteria fantowa, co drugi los wygrał. Do wygrania były kryształki, garnki, kury, króliki, gołębie, a nawet szpadle. I ludzie wygrać. W południe pewien chłopiec puszczał na zielonej trybunie czerwonego gołębia. Przed trybuną zaś młody rolnik męczył się w konkursie podnoszenia ciężarka w wadze 17,5 kg. Sekundował mu plutonowy MO z bronią niepańską, ale mimo to więcej chłopcy do ciężarka jakoś nie było. Natomiast inny szczęśliwiec spod namiotu wojskowego próbował oswajać wygraną kurę, sadząc ją na stolikach, przy których jedzono flaczki i pito piwo. Kura wyglądała na pijaną, ale pewnie przeżyła dożynki.

W dniu dożynek gmina Zgierz jakby zapomniiała o kłopotach dnia powszedniego, jak np. sprawa komunikacji PKP i PKS, melioracja gruntów czy niedostateczne nakłady na oświatę i kulturę. I słusznie, bo dożynki są od tego, żeby się weselić. Pani Maria Pastusińska, pracowniczka służby rolnej Urzędu Gminy, jako odpowiedzialna za organizację imprezy, dwoiła się i troiła, aby wszystko przebiegało sprawnie i ludzie byli zadowoleni.

Pod samym lasem falowały takie tłumy, jak przed otwartym kłopotem w stoisku „Centralu”. Wprawdzie w stoisku „Zabawki” były kosmetyki, a w stoisku „Obuwie” były głównie zabawki, ale naprawdę było co kupić. Tylko jakiś stary rolnik marudził na boku, że musi być już straszna bieda, skoro do lasu przywożą zabawki.

Komu się nie podobała cena zabawek, mógł sobie oświadczyć życie kręcąc na poczekaniu wala cukrowa. A w samej gawstwie pracowały barobusy i dymiące kuchnie polowe. Bigos, flaczki, kielbasa z rusztu i gorąca kielbasa z wody. W tej ostatniej gustowali rolnicy o takich twarzach, jakby całe życie spędzili z kosą za bierkiem. Serwowano też piwo „Mazowieckie” o cenach umiarkowanych, czyli różnych, pewnie ze względu na nową podwyżkę. Piwa łódzkiego jasnego pełnego pan ajent nie chciał sprzedawać po trzynastej, mówiąc, że wolono mu dopiero po czternastej. Wiedział, co robi, bo gdy przyszła ta godzina, wesoły konferansjer obwieścił radośnie, że z chwilą rozpoczęcia uroczystości dożynekowych handel zaprzestaje wszelkiej działalności.

Zachmurzyło się, pokropił deszcz i ktoś powiedział, że pewnie dlatego na szczyt wzniesienia musiały wjechać bojowe wozy strażackie. Ale to nie to, strażacy bowiem pokazali wraz z sprawną. Unosili się wraz z drabiną pod samo niebo, no, może na wysokość siedmiu pięt, bo wyżej drabina nie sięga, a zjeżdżali w dół na linach. Potem wzniesiono wielkie ognisko, w szalące płomienie wszedł strażak ubrany na białą i się nie spalił, na końcu wszystko zakryła góra piany, po której jeździła na rowerach dziecięci.



Fotor: Grzegorz Galasiński

Po pełnych emocjach występach strażaków, którzy wykazali hart ducha i odwagę, zaczęło się rozspędzać jak na zamówienie i na parking dla prominentów wjeżdżają pierwsze samochody służbowe. Wskłonił się skromnie pod ulubioną brzozią, żeby się zanadto nie zruszać władzy w oczy, ale dekonspiruje mnie wiceprezydent Lech Krowiranda, który odłącza od grupy oficjeli, potrząsa moją scherlają dłońią i pyta przyjaźnie o zdrowie, no i jak widzę dożynki. Odpowiadam, widzę wzruszony, że znakomicie, bo jest swojsko, świątecznie, prawie odpustowo...

— No, i tak ma być, Kochany! — Wykrzykuje inż. Krowiranda. — Dożynki to przecież święto radosne. A na wsi zawsze towarzyszy temu atmosfera odpustu. Ludzie się nahańdowali, zebrałi piękne, piękne plony, więc mają prawo się cieszyć!

Podchodzę z Lechem Krowirandą do stanowiska WOPR-u i nadzieję, że dowiem się, w jaki sposób komputer doradza chłopom w gospodarstwie, bo inżynier się na tym zna, ale wiceprezydent jako prawdziwy przyjaciel łódzkich rolników otacza wraz z nimi stoisko z produktami mlecznymi i degustuje publicznie, żeby nie myślano, iż jest to tylko na pokaz, albo też, co nie daw Boże, mało zjadliwie. Wkrótce przed trybuną wkraczają zastęp OSP z własną orkiestrą i przed publicznością prezentuje się godnie władza, zajmując całą szerokość trybuny. Są szefowie polityczno-administracyjnych władz wojewódzkich, gminnych oraz prezydent Zgierza. WK ZSL w Łodzi reprezentują wiceprezes Zdzisław Ignaciak i sekretarz Krzysztof Czajkowski, prezydent prezes Chojnacki jest na urlopie. Orkiestra dęta gra hymn państwowy i głos zabiera gospodarz dożynek, Dariusz Ziomek, prezes MGK ZSL w Zgierzu. Powitamy w wszelkim szczytnym gości i publiczności, omawia sukcesy rolników zgierskich oraz służby wspomagających rolnictwo.

Następnie wiceprezydent Lech Krowiranda składa w imieniu władz wojewódzkich serdeczne podziękowania tym wszystkim, którzy przyczynili się do sprawnego zebrania plonów, w tym robotnikom, którzy mają znaczny udział w tegorocznych zniwach. Wreszcie na estradę wchodzi starosta wie dożynek, Ewa Plucińska z Dąbrówki Strumiawy, hodująca na 10 ha bukaty, oraz Dariusz Karpiński ze Szczawina Dużego, gospodarzujący na 13 ha. Wręczają oni bochen chleba i sekretarzowi KE PZPR, Józefowi Niewiadomskiemu, który przyjmując ów dar z należnym szacunkiem. W myśl szeroko pojętej demokracji J. Niewiadomski przekazuje dorodny bochen chleba przedstawicielom klasy robotniczej województwa łódzkiego, wśród których jest m.in. Monika Szczepaniak z zakładów im. Dzierżyńskiego w Łodzi.

Z kolej następuje moment nie mniej uroczysty. Moment ten, gdy władza była jeszcze arogancka, niektórzy promieniowali w takich chwilach uciśkają z gminnych dożynek, szczególnie gdy zaczynał się folklor nie tyle na szkle malowanki, co cięty diamentem, w formie złotych przysięwek. Teraz wiele się zmieniło, no i szczebel, bądź co bądź, wojewódzki. Kiedy więc na trybunę weszły gospodynie z Kontrawersu, ze wzruszenia odebrało im głos, toteż pieśni prawie nie było słyhać, ale wieniec

dożynkowe wręczyły, komu trzeba.

Następnie prezydent Łodzi, Jarosław Pietrzyk, wręczał nagrody i dyplomy wyróżnionym rolnikom i ludzom wspierającym rolnictwo. Przedstawiciele władz gminnych honorowali zgierskich rolników. Z grupy doradców rolniczych najbardziej podobała mi się pani Zuzanna Wojciechowska, ponieważ pracuje w gm. Pabianice.

Podczas ubiegłorocznego wspaniałego posiedzenia KE PZPR i WK ZSL, na wniosek ludowców postanowiono reaktywować konkurs na najlepszego producenta rolnego. Podsumowanie nastąpiło na dożynkach. Wśród rolników indywidualnych pierwsze miejsce zajął członek ZSL, Jan Bitner z Sokolej Góry, najlepszy RSP okazała się spółdzielnia z Dąbrówki, a wśród pegerów pierwszy był Rzewał, który w nagrodę otrzymał talon na ciągnik.

Podczas dekoracji i wręczania nagród na estradzie panowało cudowne zamieszanie. Koleżanka Kasia Orzechowska z telewizji pokazywała swoim ślicznym dzieciakom tatusia, który otrzymał kwiaty, redaktor Udański sprawdzał czy wszystko się zgadza ze scenariuszem, który zdobył na konferencji prasowej, a ja patrzyłem ze zgrozą na jasnowłosego artystę, który wykonując fantastyczne figury z aerobiku fotografował, co się tylko dało. Był to, niestety, przedstawiciel „Odgłosów”, posługujący się obiektywem typu „G. Galasiński”. Ten młodzieniec twarzą cherubina tak się tam rozochocił, że uległ mego namowom i pomogłem mu wywieść w plener piękną solistkę zespołu „Boruta” i on zdejmował jej barwny strój ludowy. To znaczy fotografował, a ja pokazywałem, do kogo artystyka ma się uśmiechać.

Potem wystąpił reprezentacyjny zespół „Boruta”, który zwiędził już Polskę i kawał świata. Rozpoczął w stylu strójach i w wielkim piękny — polonezem! A wokół estrady chodzila starościna, pani Ewa Plucińska, i czestowała pokrojonym i drobne kromki chleba wesołym dożynek. Spożyłem swoją dożynkę z należąca czcią. Chleb był naprawdę smaczny i trzeba go sprawdzić, żeby nie było jak zabrakło.

W przerwach między występami „Boruty” wesoły konferansjer próbował nawiązywać kontakt z publicznością. Sądził takie kawały, że boką zrywał. Przeważnie na temat stosunków damsko-męskich, przy czym nie oszczędzał barbarskiej ani teściowej Barbary, która kojarzyła mi się z barbarzyńcą. Uderzał także w ton filozoficzny. W pewnej chwili wyciągnął wniosek, iż małżeństwo można porównać do pochodu pierwszorzemowego w Warszawie. Wola idzie jeszcze przedem, a Ochota to już dawno odeszła. W życiu nie słyszałem takiego zgrywsusa. Szkoda, że ludzie go nie doceniają, zwłaszcza mężczyźni oblegając barobusy z piwem, flaczkami i kielbasą.

Zmierzała. W lesie słyhać wiwały na czeszę święta plonów. To spracowana chłopka dłoń uderza z „roską w denko, żeby nie pękło. Ale że potajemnie dźwięki zagłusza muzyka na ludowo i głos wesołego konferansjera.

Dziękujemy gminie Zgierz za ofiarną, gospodarną i za gościnność. A za rok — nowa dożynki!

RYSZARD BINKOWSKI

ANDRZEJ KAROLCZAK

## Bez fanfar, ale skutecznie

nych zakładów, do firm polonijnych, wreszcie do własnych warsztatów. Czasem aż smutno i żość cziowieka ogarnia: oto skłedł niedawno świętyn konstruktor. Prowadzi zakład z warszawami! A trzeba tu dodać, że po kilku latach pracy w Jotesie opuszcza zakład znakomicie wyzakołony fachowiec. Tu się obrabia części z dokładnością do jednego mikrona. Dla cziowieka, nawykłego do tej skali praca w przemysie samochodowym na przykład, wydaje się śmiesznie prosta.

Ludzie szukają lepszych zarobków, choć w Jotesie wcale źle nie jest — przeciętna przekracza 24 tysiące, a przecież składają się na nią również zarobki wysokie kwalifikowanych pracowników, sporo wyższe od flaczkiowej.

### CO MOŻE ZROBIĆ ORGANIZACJA PARTYJNA

w sprawie fluktuacji? Bardzo niewiele. Nikogo siłą w zakładzie nie zatrzyma, nikomu ekstrad do poborów nie dołoży, żadnego cenionego fachowca z ulicy nie przyprowadzi. Może natomiast działać w kierunku integracji załogi, może dbać o stosunki międzyludzkie, o właściwy stosunek przełożonych do podwładnych, o bazę i zaplecze socjalne, o warunki pracy. A w tych dziedzinach Komitet Zakładowy robi co może. Związka duża wagę przywiązuje KZ do stałych, codziennych kontaktów z załogą. Do rozmów, do wsluchiwania się w nastroje i opinie załogi. Calej załogi, nie tylko członków partii. Pierwszy sekretarz Tadeusz Kaczmarek, sekretarz ds. propagandy Stefan Karczak, pozostali członkowie egzekutywy i liczna grupa funkcyjnych i „bezfunkcyjnych” aktywistów niestannie jest „na terenie”. W halach, magazynach, biurach. Wszędzie, gdzie są ludzie, których trzeba wysłuchać, którym trzeba coś wyjaśnić, do czegoś zachęcić. Obydają sekretarze pierwszą kadencję zasiadają na swoich twarzych, partyjnych stolikach. Może właśnie dlatego nie wpadli w rutynę i nie wycierają portek o te stoliki?

Załoga w ciągu roku ostatnich lat zmniejszyła się o około 1800 ludzi do 1200. Odeszli głównie młodzi — co ma źle i dobre strony. Złe — wiadomo, „niedostatek ręk do roboty, starzenie się załogi, rutyna. A dobre? Zostają najlepsi, najwyżej kwalifikowani, związani z zakładem uczuciowo, nie tylko przez kasę zapomogowo-pożyczkową. Znają się, pracują razem wiele lat, wiadomo kto jest kto i na kim można polegać.

Jak chyba w większości dużych zakładów w całym kraju, tak i w Jotesie pierwsze lata bieżącego dziesięciolecia wyszczerbiły szeregi partyjne. Liczebność partii w Jotesie zmniejszyła się z 500 towarzyszy do 230. Przyczyną są nie tylko polityczne: ogólny ubytek załogi, mniej młodzieży. Tzw. wskaźnik upartyjnienia utrzymuje się niezmiennie na poziomie 19 proc. Nowych kandydatów — niewiele. Także z obiektywnych przyczyn: fluktuacja, brak młodzieży. A minęły już dawno czasy „naboru” do partii — namawiania, „naciskania” itp. Nowych przyjmuje się bez pośpiechu, rozważnie i z poczuciem odpowiedzialności. Nikt się nie pali do rozdawania rekomendacji na prawo i lewo.

Partia powoli krzepnie w Jotesie. Nie jest to jeszcze proces zakończony (czy kiedykolwiek może być zakończony?), ale trwa stale, jest prowadzony konsekwentnie. Wiem to nie tylko od sekretarzy KZ, ale również od członków organizacji i od starszego instruktora Komitetu Dzielnicowego Łódź—Widzew, Ireneusza Głódzkiego. Gdybym powiedział, że organizacja partyjna w Jotesie jest produkująca w dziedzinie, skłamałbym — mówi Głódzki — skłamałbym również, gdybym powiedział, że jest to staba, zła organizacja. Towarzysze pracują tam w trudnych warunkach, piętrzą się przed nimi trudności, zwłaszcza zaopatrzeniowe, ale uparcie, krok po kroku idą do przodu. Jest to więc organizacja średnia, ale stale, używając języku sportowego, poprawia swoją pozycję w tabeli. Co jeszcze warto jest podkreślić, to systematyczność pracy KZ.

lie? 60 procent? A może ośmiadziąt? Cias tego nie wie na dobrą sprawę, nikt też nie wie, jakimi środkami propagandowymi — wyłącznie propagandowymi! — organizacja partyjna i kierownictwo związku mają przyciągać nowych członków do działalności lub chociażby tylko uczestnictwa w organizacji związkowej. A „Szczelczyk” ma takie piękne tradycje związkowe! W dwudziestolecie młodych wojennych dominowały tu klasowe, lewicowe związki, skutecznie walczyły o prawa robotników, przodowały w Związku Metalowców.

Także w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych związek zawodowy w Jotesie miał się czym pochwalic — rozwój pracy wycieczkowej, systematyczna poprawa warunków pracy, ożywna działalność kulturalna — wszystko to w znacznej mierze inspirował i realizował związek.

Organizacja partyjna w Jotesie żyje już zakładowa konferencja sprawozdawczo-wyborcza. Odbijają się zebrania przygotowawcze, na których prezentuje się nowy regulamin wyborczy i zmiany w statucie partii uchwalone przez X Zjazd. Przygotowuje się materiały sprawozdawcze i wstępne projekty uchwały programowej. Wszystko z wyprzedzeniem, żeby był czas na konsultacje i dyskusje. Ale przecież zakładowa organizacja i jej komitet nie mogą zamknąć się na trzy, cztery miesiące w problematyce wewnątrzpartyjnej. W końcu, tak czy owak

### NAJWAŻNIEJSZA JEST PRODUKCJA

Najważniejsza dla kraju, najważniejsza dla dyrekcji zakładów, dla organizacji partyjnej też istotna. A w tej dziedzinie kłopotów nie brakuje: starczy dla dyrekcji, starczy dla rady pracowniczej, starczy dla KZ-tu i jeszcze sporo magobyło, starczy dla obdziałenia innych ciał. Kłopot pierwszy i najgorszy, nóż na gardle fabryki: zaopatrzenie w odlewy.

Przed laty Jotes był właścicielem odlewni w Koluszach. Pracowała wyłącznie dla macierzystego zakładu, dawała dobre, wysokie jakości odlewy. Takie właśnie, jakich wymaga nowocześnie, precyzyjny przemysł obrabiarkowy. Tylko że u nas, czy coś dobrze funkcjonuje, czy nie to i tak musi być od czasu do czasu zreorganizowane. W wyniku reorganizacji odlewni w Koluszach została włączona do Kombinatu Stalowa Wola (głównie Krym... itd.). Kombinatu nie się zmieniło — odlewnia nadal produkowała dla „Szczelczyka”. Do czasu „Ostatnio odlewnia produkuje dla warszawskiego metra. Ogromne zamówienie, miliony ton. A wszystko w tych samych gabarytach, zunifikowane. Nikt się nie sprze takiemu zamówieniu, budżet że to i odlewni (metro w stolicy wjadłbym!) A co... a i wymagania jakościowe niższe niż dla Jotesu. No i masz babo placki! Dostawy do Łodzi zaczęły się urywać, zmniejszać i zachodzi obawa, że Jotes nie dostanie dobrych, koluszkowskich odlewów. A bez nich miotki można produkować, a nie nowoczesne, numerycznie sterowane szlifiarki!

Komitet Zakładowy wspiera administrację jak może. A to do posłanki Świdorskiej wystąpił, a to do sekretarza Woźniaka, a to o import z Czechosłowacji zabiega. Zresztą nie rezygnując z Koluszek: W najbliższym czasie odbędzie się spotkanie dyrekcji, gazetów, organizacji związkowych i samorządów pracowniczych Jotesu i koluszkowskiej odlewni. Może się dogadać? Może jeszcze nie całkiem stracone dla fabryki dobre odlewy z Koluszek?

— Kampanię sprawozdawczo-wyborczą zakończyć w grudniu, będzie trochę luzu i czas na złapanie oddechu? — pytam pierwszego sekretarza.

— Nie będzie „luzu” ani „oddechu”. W styczniu zaczynamy atestację stanowisk. Nie ma obawy, nudzić się nie będziemy. Do atestacji przygotowujemy się bardzo starannie, przywiązujemy do niej dużą wagę...



**P**rzytoczone przez Ciebie fragmenty wypowiedzi wygłoszonych w Radomiu rzeczywiście dają dużo do myślenia, ale w dyskusji przecieł różnie bywa. Często jakiś jeden fakt, jedno zdarzenie potrafi wpłynąć na jej ukiernkowanie. W spotkaniu radomskim brali udział znani także w „Solidarności” ekstremiści, jak np. Jan Rulewski, a więc czego innego można się było spodziewać? Nie zamierzamy stawać w obronie tego, co tam mówiono, ale dla władz państwa obowiązujące było ostateczne stanowisko zajęte przez uczestników spotkania, a nie najbardziej nawet szalenie pomysłowe rzucone na sali obrad.

Za najbardziej charakterystyczną cechą spotkania radomskiego należy uznać to, że choć z całą pewnością na sali nie brakowało osób o umiarkowanych poglądach, rej wodził ekstremiści. Co więcej, ci pierwsi nie zdobyli się na odwagę przeciwstawienia się tym, którzy uznali, że nadeszła już pora na wykopanie wojennego topora. Przecieł ostateczny wniosek, jaki można wyciągnąć z przebiegu spotkania, brzmi: koniec z dalszymi rozmowami z rządem, bo to nie ma sensu. Należy nastawić się na konfrontację w czasie, miejscu i w sprawie o problemie wygodne dla „Solidarności”. Co się tyczy przebiegu dyskusji, to prawdą jest, że w 1981 roku rzadko kiedy była ona spokojna, ugiadana, ale czy to oznacza, że w ocenie sytuacji politycznej, np. w jakimś konkretnym środowisku, można przejść obojętnie obok wygłaszanych tam poglądów? Sądzę, że nie. Byłoby co najmniej niezrozumiale, gdyby kierownictwo partii i rząd lekceważąco odniosły się do zasadniczego kierunku dyskusji, jaka toczyła się w Radomiu. Byłoby to wielki błąd polityczny. Zresztą zajrzyjmy do przyjętego tam przez Prezydium KK i przewodniczących zarządów regionów NSZZ „Solidarności” „Stanowiska”.

„Stanowisko” zaczynało się od oznajmienia, że „władze państwo-wykorzystały negocjacje ze Związkiem oraz ideą porozumienia narodowego dla wprowadzenia społeczeństwa w błąd”. Rozmowy o kluczowych postulatach „Solidarności” — kontrola zasobów żywności, samorząd terytorialny, reforma gospodarcza, praworządność, dostęp do środków masowego przekazu — okazały się bezowocne. Rząd zaskoczył Związek wnosząc do Sejmu projekt tzw. „prowizorium systemowego”, które „godzi w interesy ludzi pracy”. Istotnie, były to sprawy będące przedmiotem kontrowersji między rządem i „Solidarnością”, ale tylko dlatego, że ci, którzy z nami rozmawiali, postępowali według zasady: wszystko albo nic. Stali na stanowisku dyktatu. Przyjmiecie nasze propozycje, to złożymy swe podpisy pod wspólnym oświadczeniem, a jeśli nie, to oskarżymy Was, że postępujecie wbrew woli społeczeństwa. Przywódcy „Solidarności” nie po raz pierwszy demonstrowali arogancję na skalę wzwyższalową.

Dalej w „Stanowisku” stwierdzano, że w tajemnicy przed narodem, plenum KC PZPR postanowiło przeforsować ustawę o środkach nadzwyczajnych. Była to oczywiście bzdura. O żadnej tajemnicy nie było mowy. Gdyby projekty ustaw, o których już mówiliśmy, zostały wniesione pod obrady Sejmu, to jest rzeczą oczywistą, że jeszcze przed posiedzeniem Sejmu znalazłyby się w rękach każdego obywatela. Przecieł Sejm obradował jawnie, na oczach opinii publicznej. Przywódcy „Solidarności” zgromadzeni w Radomiu oświadczyli w „Stanowisku”, że w przypadku, gdy Sejm uchwali nadzwyczajne uprawnienia, Związek odpowie ogólnopolskim strajkiem protestacyjnym, a jeśli rząd zastosuje środki nadzwyczajne, „wszystkie ognia Związku i wszystkie zalogi winny przystąpić niezwłocznie do strajku powszechnego”. Jak wiadać zaplanowano stopniowanie akcji protestacyjnej.

Uczestnicy spotkania oprotowali także tzw. „prowizorium systemowe” na 1982 rok, utrzymujące — ich zdaniem — „w praktyce stary system zarządzania gospodarką... Równa się to przekreśleniu reformy oraz uchwalonych już przez Sejm ustaw o przedsiębiorstwie i samorządzie, przy jednoczesnym zagrożeniu liczących przedsiębiorstw bankructwem lub redukcjami i obniżkami płac”. Była to kolejna, nie pierwsza demonstracja pogardy dla faktów i demagogii.

Uczestnicy spotkania jednoznacznie odrzucili ideę porozumienia narodowego. Ich zdaniem, strona rządowa zmierzała do „przemalowanego Frontu Jedności Narodu... Takie ozdobicie nie znaczą „Solidarności” fasady starego systemu nie zlagodziłyby niczym kryzysu, a pozabawiliby jedynie Związek niezależności i wiarygodności”. (Waleśa na spotkaniu w „Radomiu”, które odbyło się 3 grudnia, powiedział m.in.: „Nie ma porozumienia narodowego, bo nie ma się z kim porozumieć”). Był to zarzut bezpodstawny, faktycznie należało go zakwalifikować jako insynuację. Udział w staraniach na rzecz osiągnięcia porozumienia narodowego uzależniono od spełnienia przez rząd szeregu warunków, jak np. wycofania się władz z „wszystkich represji antyzwiązkowych”. Tę sprawę trzeba wyjaśnić. Otóż przyjęło się w „Solidarności” uważać za represję antyzwiązkową każde działanie przedstawicieli władzy wobec osób należących do „Solidarności”, które ewidentnie naruszały istniejące w Polsce przepisy prawne. Inaczej mówiąc, domagano się traktowania członków „Solidarności” jako obywateli stojących ponad prawem. Taka była wymowa owego żądania. Wśród wspomnianych warunków domagano się wycofania się władz z tzw. prowizorium systemowego, uzgadniania ze Związkiem i wprowadzenia w życie reformy gospodarczej, przeprowadzenia demokratycznych wyborów do rad narodowych („nie zgodzimy się głosować na jedną listę, tak jak w latach poprzednich”) ustanowienia związkowej kontroli nad gospodarką, w tym zwłaszcza nad zasobami żywności, ponieważ „utrzymanie ich w tajemnicy przed narodem jest nie do przyjęcia”. Było to kolejne demagogiczne stwierdzenie. Aż trudno uwierzyć, że do rośli ludzie mogli w oficjalnym dokumencie umieścić tego rodzaju bzdurę. Nikt przecieł w kierownictwie partii i w rządzie nie był zainteresowany w ukrywaniu rzeczywistego stanu rzeczy w dziedzinie zaopatrzenia ludności w żywność. Przeciwnie, informując niemal codziennie o możliwościach zaspokajania istniejących potrzeb, pragnęliśmy uprzytomnić społeczeństwu grozę sytuacji. Owszem, nie infor-

owano o tzw. rezerwach państwowych, ale to była sprawa oczywista. Rezerwy państwowe okryte są tajemnicą z wielu zrozumiałych dla każdego myślącego człowieka powodów. Po co więc sięgnięto po tego rodzaju stwierdzenie? Odpowiedź: nie nastęca żadnych trudności. Chodziło po prostu o pozyskanie opinii publicznej dla tezy, że istnieją ogromne zasoby żywności, ale rząd nie chce ich ujawnić, ponieważ traktuje je jako ważny instrument walki z narodem.

W „Stanowisku” w trybie wykluczającym jakikolwiek sprzeciw stwierdzano, że Związek domaga się „przynajmniej Społecznej Radzie Gospodarki Narodowej kompetencji umożliwiających realny wpływ na decyzje rządowe i kontrolę nad polityką społeczno-gospodarczą państwa” oraz „zapewnienia tej Radzie, «Solidarności», Kościołowi i innym ośrodkom opinii publicznej dostępu do radia i telewizji”. Tak sformułowany postulat oznaczał, że odrzucono wszystkie argumenty, które przedstawiliśmy przywódcy „Solidarności” w chwili, gdy wyszli z propozycją utworzenia SRGN. Wielo-

żę podanie do publicznej wiadomości przebiegu spotkania radomskiego spowodowało istotny zwrot w nastawieniu wielu Polaków do „Solidarności” i miało wpływ na korzystne dla nas kształtowanie się nastrojów w następnych dniach i tygodniach.

Sądymy, że jest to trafny wniosek, ale powinniśmy odnotować także to, że były wówczas głosy, iż publikowanie nagrań było krokiem moralnie wątpliwym. Co innego, slyszeliśmy taką opinie, gdyby przywódcy „Solidarności” udostępnił przebieg spotkania prasie, radiu i telewizji.

Nie spotkałem się z takimi głosami i nie podzielałem poglądu, że był to krok moralnie wątpliwy. Po pierwsze, to przecieł przywódcy „Solidarności” nieustannie powtarzali, że wstępują w imieniu społeczeństwa, że nie mają nic do ukrycia, a więc ujawnienie tego, o czym mówiono w Radomiu, nie powinno być uznane za fakt naganny. Warto zresztą przypomnieć, że przywódcy „Solidarności” nie kwestionowali prawdziwości tego, co zostało podane do publicznej wiadomości. Przyjęto na-

## Czasy nadziei i rozczarowań

(19)

# W Radomiu postanowiono pójść „na całego”

MIECZYSLAW F. RAKOWSKI

krotnie mówiliśmy już, co kryło się za żądaniem tzw. dostępu do środków masowego przekazu. W Radomiu apetyt uległ wyraźnemu zaostreniu. W zakończeniu „Stanowiska” jego autorzy stwierdzali, że wyliczone przez nich żądania stanowią „minimalne warunki porozumienia narodowego, które umożliwią wspólną skuteczną walkę z kryzysem. Za takim porozumieniem opowiadamy się”.

Pa zapoznaniu się z treścią „Stanowiska” uznaliśmy, że przywódcy „Solidarności” przystąpili do palenia za sobą już ostatnich mostów — jeśli takowe w ogóle jeszcze istniały. Było widoczne jak na dłoni, że w Radomiu postanowiono pójść „na całego”. Władzom państwa zostało przedstawione ultimatum. Będzie porozumienie, jeśli zgodzicie się na nasze warunki, jeśli nie — nie liczcie na łaskę. Taka była wymowa „Stanowiska”. Wręcz humorystycznie zabrzmiało wydane 7 grudnia przez rzecznika prasowego Komisji Krajowej, Marka Brunne, oświadczenie, w którym stwierdził m.in. że „Prezydium KK nie odrzucało porozumienia narodowego ani nie stara się zastrzyć klimatu społeczno-politycznego w kraju”. Rozumień, że rzecznik nie innego nie mógł powiedzieć, ale przecieł były to dni, w czasie których w całej niemal prasie, wszak nie ustawionej przez rząd, rozlegały się głosy trwogi; powszechnie pisano i mówiono, że obrady w Radomiu wydatnie wpłynęły na wzrost napięcia w kraju. Również za granicą, także w przychylnym „Solidarności” prasie, pisano, że już tylko kilka dni dzieli Polskę od dramatycznej i tragicznej w skutkach konfrontacji. Poważną rolę w uświadomieniu społeczeństwu, jak dalece wszyscy siedzimy na beczce prochu, odegrała decyzja o nadaniu przez Polskie Radio fragmentów wystąpień uczestników spotkania w Radomiu.

— To prawda, że dla wielu ludzi był to pojętny wstrząs. Nas interesuje, jak doszło do opublikowania tych wypowiedzi.

Wspomniałem już w czasie naszej rozmowy, że w „Solidarności” od pierwszej chwili zaplanowała mania nagrywania wszystkich rozmów prowadzonych z przedstawicielami władz każdego szczebla. Z upływem czasu zwycajał ten tak bardzo się upowszechnił, że nagrywano wszystko, także rozmowy i dyskusje, jakie odbywały się w różnych gremiach „Solidarności”. Nie sądzę, aby czyniono to po to, by pozostawić po sobie ślady dla historyków. Myślenie historyczne było przywódcy „Solidarności” obce. Interesowało ich to, co działo się dziś. A zatem przebieg debat w Radomiu również nagrywano wiele osób siedzących na sali. W tych warunkach uzyskanie jednego lub dwóch nagrań nie było żadnym problemem. Już nazajutrz, w Urzędzie Wojewódzkim w Radomiu towarzysze słuchali buńczucznych wypowiedzi Rulewskiego i innych. Było to czwartego grudnia. Następnego dnia odbyło się posiedzenie Biura Politycznego, na które zostałem zaproszony. W przerwie posiedzenia, Jaruzelski poprosił kilka osób, w tym również mnie, do swego gabinetu. General Kiszczak poinformował obecnych o przebiegu obrad w Radomiu. Nie ukrywam, że po zapoznaniu się z kilkoma wypowiedziami ścierpiał mi skóra. Pomyślałem sobie, że to już rzeczywiście koniec, że zbliża się dzień, w którym trzeba będzie powiedzieć: dość, ani kroku dalej. Ale nie należało jeszcze rezygnować z żadnej próby powstrzymania pedzających na oślep przywódców „Solidarności”. Dziś może to być komuś wydać wręcz niepoważne, ale wówczas uważaliśmy, że udostępnienie społeczeństwu nagrań z przebiegu spotkania w Radomiu wpłynie otężewiająco na tych w „Solidarności”, którzy parli do gwałtownego zderzenia z władzą. Z pierwszych informacji, jakie zaczęły napływać do gmachu Komitetu Centralnego i URM po nadaniu przez Polskie Radio fragmentów wystąpień, wynikało, że rzeczywiście podzialały one na wielu ludzi szokującą. Nie przesadzę, jeśli stwierdzę, że wojownicze wypowiedzi Jaworskiego, Rulewskiego, zawołanie Modzelewskiego: „bój to będzie ich ostatni”, chytróść zawarta w tym, co powiedział Waleśa, zmieniły u wielu rodaków spojrzenie na „Solidarności”, zwłaszcza wśród tych, którzy przez wiele miesięcy sceptycznie odnosili się do wygłaszanych przez nas opinii o złowrogich nurtach i tendencjach, jakie zagnieżdżyły się w „Solidarności”. Twierdząc,

tomiałam linię obrony polegającą na twierdzeniu, że wypowiedzi zostały wyjęte z kontekstu, że to nie tak, że nie takie były intencje itp. Mając na uwadze tę linię obrony uznałem za stosowne dość obszernie zrelacjonować w naszej rozmowie przebieg obrad radomskich. Po drugie, w sytuacji, w której rosła liczba wydarzeń świadczących, że kraj nasz zmierza na skraj przepaści, każda próba przeciwdziałania temu kierunkowi była moralnie uzasadniona. Była mniejszym złem w porównaniu z użyciem siły, którą jednak — jak się okazało — trzeba było zastosować.

— W Radomiu jednym z dyskusyjnych tematów była sprawa tzw. „prowizorium systemowego” na rok 1982. „Solidarności” twierdziła, że w praktyce owo prowizorium utrzymuje stary system zarządzania gospodarką. Taka ocena znalazła się także we wspomnianym „Stanowisku”. O co właściwie chodziło w tej sprawie?

Był to jeden z klasycznych przykładów demagogii, jaką posługiwali się przywódcy „Solidarności”. Jak wiadomo, przez wiele miesięcy zarówno oni, jak i niektórzy ich doradcy starali się przekonać opinię publiczną, że rząd jest przeciwny reformie gospodarczej. Był to bardzo nośny temat. Wszelkie wyjaśnienia, że trzeba przecieł przygotować w szczególności przejście gospodarki opartej na metodach zarządzania nakazowo-zakazowego na system 3 „S”, były w gruncie rzeczy odrzucane. Świadomie podjudzano rozgorączkowane sale przeciwko rządowi. Przyzwyczajili się do nakazów i zakazów i nie chcą od takiego sposobu sprawowania władzy odejść! Taki był ostateczny wydykiewicz wszystkich wynurzeń „Solidarności” na temat reformy. Nie zważając na to czyniono przygotowania do wprowadzenia w życie reformy gospodarczej. Komisja d.s. Reformy Gospodarczej wyznaczyła dzień 1 stycznia 1982 roku jako początek wdrażania zasad reformy. 30 listopada Rada Ministrów na swym posiedzeniu przyjęła pakiet projektów ustaw związanych z reformą gospodarczą. A więc projekt ustawy o planowaniu społeczno-gospodarczym, o cenach, o gospodarce finansowej przedsiębiorstw państwowych, o opodatkowaniu jednostek gospodarki uspołecznionej, o prawie bankowym, ustawy o statucie Narodowego Banku Polskiego oraz uprawnieniach do prowadzenia handlu zagranicznego. Wymieniam szczegółowo tytuły ustaw, by wykazać, jak wielka praca musiała być wykonana, zanim można było przystąpić do wdrażania reformy gospodarczej.

Rada Ministrów przyjmując projekty ustaw przypominała, że wszystkie były przedmiotem szerokiej konsultacji. W połowie października projekty ustaw zostały przekazane do zaopiniowania wszystkim związkom zawodowym i organizacjom społecznym. Były także dyskutowane w Komisji d.s. Reformy Gospodarczej i w Radzie Legislacyjnej. Opinie i uwagi do nich zgłosiło 100 przedsiębiorstw konsultantów. Rada Ministrów stwierdziła, że zgłoszone w toku konsultacji uwagi i opinie w znacznym stopniu przyczyniły się do udoskonalenia proponowanych rozwiązań oraz do lepszego ich dostosowania do założeń reformy i wymogów praktyki gospodarczej. Na wspomnianym posiedzeniu rządu podjęto decyzję o przekazaniu pakietu projektów ustaw do Sejmu PRL. Nie zabrakło też kolejnego ukiłonu pod adresem „Solidarności”. „Rada Ministrów — czytamy w komunikacie — zaznajomiła się z opiniami i postulatami dotyczącymi wymienionych aktów prawnych, zgłoszonymi przez grupę negocjacyjną KK NSZZ «Solidarności» na spotkaniu dnia 27 listopada br. oraz uznała za celowe i potrzebne kontynuowanie rozmów między stroną rządową a przedstawicielami «Solidarności» w tej dziedzinie”. Wychodząc z założenia, że wprowadzenie kompleksowej reformy od 1 stycznia 1982 roku wymaga niezwłocznego przekazania przedsiębiorstwom nowych zasad działania, Rada Ministrów oświadczyła, iż jest gotowa „wprowadzić — w trybie autopoprawek — wszelkie udoskonalenia rozwiązań zawartych w projektach ustaw kierowanych do Sejmu i w uchwale o zasadach działania przedsiębiorstw państwowych w 1982 r., jakie wynikają z dalszych rozmów przedstawicieli strony rządowej z grupą negocjacyjną KK NSZZ «Solidarności»”.

Przypominam tak szczegółowo ten fragment

posiedzenia Rady Ministrów, ponieważ tego dnia zamknięty został ważny rozdział w pracach przygotowawczych, które musiały poprzedzić wprowadzenie reformy gospodarczej. Ale nie tylko do tego sprowadza się waga tego posiedzenia. Rzecz w tym, że Rada Ministrów zdjęła w ten sposób z porządku dnia wszystkie oskarżenia i zawołania na temat reformy niechęci rządu do wprowadzenia reformy gospodarczej. Skierowanie projektów ustaw do Sejmu i wyznaczenie daty otwarcia procesu wdrażania reformy potwierdziło prawdziwość stanowiska rządu. Zawsze stwierdzaliśmy, że jesteśmy zwolennikami reformy, tłumacząc jednocześnie, że jest to zbyt poważna sprawa, aby mogła stać się przedmiotem propagandowych rozgrywek. Kierując projekty ustaw do Sejmu, faktycznie wypuściliśmy powietrze z tych działaczy „Solidarności”, którzy wyspecjalizowali się w oskarżaniu nas o wrogość wobec reformy gospodarczej. Na marginesie miesiacami ciągnących się utarczek słownych na temat tego, kto jest za reformą, a kto przeciw, warto odnotować pewien fakt dość istotny dla przyszłych historyków. Otóż inicjatywa przystąpienia do prac nad reformą gospodarczą wyszła z kół politycznych i gospodarczych kraju, a nie od „Solidarności”, która zajęła się nią dopiero wtedy, gdy podjęto już prace przygotowawcze. W dniach poprzedzających podpisanie porozumienia sierpniowego w Gdańsku nikt z uczestników rozmów reprezentujących strajkujące zakłady, a także ci, którzy negocjowali z komisją rządową, o reformie nie myślał. Do tekstu porozumienia żądanie przeprowadzenia reformy gospodarczej zostało dołączone na skutek sugestii jednego z doradców strony rządowej. Natomiast w następnych miesiącach przedstawiciele „Solidarności” wypowiadali się o reformie tak, jakby to oni byli jej autorami.

No, ale powróćmy do przełomu listopada i grudnia. Powietrze zostało wypuszczone, strawa, którą się karmiono, odebrana. Od totalnej negacji wszystkiego, co podejmował rząd, przywódcy „Solidarności” nie byli w stanie jednak odejść, a więc szybko wymyślono nowy obiekt ataku — tzw. prowizorium systemowe. O co chodziło w tej sprawie? Na wspomnianym posiedzeniu Rady Ministrów rząd przyjął zasady działania przedsiębiorstw w 1982 roku. „Solidarności”, licząc widocznie na nalowność i bezkrytyczne przyjmowanie przez wielu ludzi wszystkiego, co obowieszczał jej przywódcy, stwierdziła, że owo prowizorium w praktyce utrzymywał będzie stary system zarządzania gospodarką narodową. Tymczasem prawda przedstawiała się zupełnie inaczej. Zgodnie z założeniami reformy, od 1 stycznia 1982 roku przedsiębiorstwa miały stać się samodzielnymi, samorządne i samofinansujące. Biorąc jednak pod uwagę wielkie niedostatki w dziedzinie zaopatrzenia materiałowo-technicznego, konieczność zapewnienia w pierwszej kolejności surowców i materiałów do produkcji towarów pierwszej potrzeby, jak np. leki i środki higieny, żywność, odzież oraz obuwie dla dzieci i młodzieży, Rada Ministrów uznała, że konieczne jest zachowanie centralnego sterowania kilkunastoma najbardziej deficytowymi surowcami i materiałami. Oto i całe tzw. „prowizorium systemowe”, które posłużyło przywódcy „Solidarności” do oskarżenia rządu o brak gotowości do przeprowadzenia reformy gospodarczej. Trudno powiedzieć, czy był to kolejny przejaw działalności machiny propagandowej pracującej na pełnych obrotach, czy też niechęć do uznania realiów gospodarczych. Nie jest też wykluczone, że sprawdził się w tym przypadku powtarzany w następnych latach, także przez gorliwych zwolenników „Solidarności” pogląd, iż organizacja ta nie posiadała pozytywnego programu gospodarczego? Przeciwnie ówczesny stan gospodarki był wszystkim dobrane znany. Jego cechą charakterystyczną były nie tylko puste półki, ale niemal kompletne rozregulowanie wszystkich mechanizmów, zerwane więzy kooperacyjne itp. Najbardziej widocznym prawem działającym w gospodarce było zawołanie: ratuj się, kto może. W tej sytuacji trzeba było z góry przewidzieć, że w pierwszej fazie wcielania w życie zasad reformy istniejące trudności mogą ulec pogłębieniu. Należało więc ubezpieczyć się, zwłaszcza że — jak pamiętamy — zdobycie pary butów stało się wielkim problemem. Przywódcy „Solidarności” zdawali się nie dostrzegać tych wszystkich nader ważnych i dokuczliwych dla ludności aspektów sytuacji gospodarczej.

W Radomiu, by zakończyć już ten temat, uchwalono jeszcze dwa oświadczenia, na które warto zwrócić uwagę. Jedno dotyczyło sytuacji w szkołach wyższych. Jak pamiętamy, w wielu z nich trwały jeszcze strajki. Otóż uczestnicy spotkania oświadczyli, że popierają protest środowisk akademickich; przypomnieli, że poszczególne uczelnie znajdują się pod opieką zakładów pracy, i w związku z tym ostrzegli, że „jakikolwiek próba rozwiązania siłowego konfliktu przez władze będzie traktowana jako atak na Związek...”. Wzwałi także Zarząd Regionu Ziemia Radomska o wytypowanie zakładów pracy, które natychmiast przejmą bezpodstawną opiekę nad WSI Radom — zarówno „w zakresie obrony przed aktami terroru i represji, jak i gwarancji przeprowadzenia demokratycznych, zgodnych z duchem społecznym wyborów w tej uczelni”. Tak, takim językiem przemawiał wówczas ten unikalny związek zawodowy. Jego kierownictwo myślało kategorią dyktatu i szantażu. Oczywiście, że w czasie trwania strajków studenckich żadnych aktów terroru i represji nie było. Studenci strajkowali już od kilku tygodni i nikomu włos z głowy nie spadł. To raczej nam i wielu obywatelom włos się jeżył na głowie, gdy przyglądaliśmy się wnoszącej się fali anarchii, demagogii i zwyczajnej głupoty. Drugie Oświadczenie głosiło, że Prezydium KK oraz przewodniczący regionów proponują Komisji Krajowej „objęcie gwarancją całego Związku pełnego zrealizowania postulatów strajkujących studentów-podchorążych oraz pracowników WOSP w Warszawie i zapewnienia im pełnej gwarancji bezpieczeństwa i studiowania”. Zaiste trudno pojąć celowość uchwalania takiego Oświadczenia. Szkoła została na mocy decyzji Rady Ministrów rozwiązana, strajkujących studentów już nie było. Prawdopodobnie chodziło znowu o zademonstrowanie, że Związek nikogo, kto jest w potrzebie, nie opuści.

C.D.N.







Tak to już jest sprytnie urządzone, że przeważnie są zamknięte, albo jest urlop, albo przyjęcie towaru, albo... No właśnie, można to oczywiście nazwać niesympatycznym zbiegiem okoliczności, ale bardzo często odchodzimy od szklanej szyby niebýt ukontentowani lub wręcz źli. Nieczynny bywa kiosk zwykle wówczas, gdy skończyły nam się bilety autobusowe albo papierosów zabrakło. Za mało ich czy źle pracują? Nasz pech czy niefortunnie ustawione dyżury kioskarzy? Przypatrzmy się więc pracy jednej z wielu placówek szacownej wielce instytucji pod tytułem „Ruch”...

Punkt sprzedaży detalicznej RSW „Prasa — Książka — Ruch” numer 284 na osiedlu Wdżew-Wschód nie należy z pewnością do gigantów w branży. Raczej do tych średniaków, zaopatrujących w niezbędne drobiazgi mieszkańców kilkunastu okolicznych bloków głównie. No i dobrze, bowiem i punkt odniesienia mamy średni, przeciętny, czyli — wiarygodny, Małżeństwo agentów — MIROSLAWA I JAN MACIASZCZYKOWIE pracują tu od ponad sześciu lat, znają ich więc wszyscy doskonale, a i oni — o czym mogłem się przekonać — znają upodobania i potrzeby wielu stałych klientów, widząc ich z daleka już wcześniej przygotowują, jak co dzień, tę samą „paczkę” z papierosami czy ulubionymi gazetami.

— Widzi pan, to taka przewrotna trochę sytuacja, bo agent to ja jestem z nazwy, taką mam umowę. Ale przecież nijk sam nie mogę się w towar zaopatrzyć, a to w tej robocie sprawa podstawowa. W minimalnym też zakresie decydować możemy z żoną o proporcjach dostaw. W większości przypadków jesteśmy bezsilni, zdani na łaskę i niełaskę „góry”, dystrybutora. O! powiedzmy, takie papierosy — nie mam „Mocnych”, „Łódzkich”, „Wiarusów”, „Carmenów” i wielu innych. Nie brakuje mi natomiast „Popularnych”, które całymi, dużymi opakowaniami biorą m. in. zatrudnieni w EC-IV robotnicy, dojeżdżający choćby z Jeżowa, Rokiczin czy Kurowic. U nich — jak mi mówią — leżą w „GS” tak poszukiwane „Caro”, „Piasty” czy „Ekstra Mocne”. Ale „Popularnych” — brak. I to jest dobra dystrybucja! — pan Jan odwraca się na chwilę do okienka, znów jakaś znajoma twarz.

— Nie mam jeszcze, panie Kazimierzu, tak mi przykro, może dziś przywiozła kremy do golenia, od dwóch tygodni mi przyrzekają...

— Cholera jasna, żeby głupiego kremu nie było — denerwuje się przystojny blondyn za szyba — daj pan z braku laku to dziecięce mydełko, dobrze się pieni...

W ciasnym wnętrzu siedzimy na razie we dwóch, pani Mirosława ma zjawić się lada moment. Do kłaustrafobi jeszcze daleko, ale sterty książek, pudełek z proszkami do prania, kartonów papierosów, zabawek-koszmarek, jakichś środków czyszczaco-zmywających przytłaczają człowieka dość skutecznie. Na dodatek za plecami duża półka z ciasno poukładanymi w przegródkach tezkami.

— Prenumerata?  
— Owszem, sto dwadzieścia tezek indywidualnych plus jedna tezka przedszkola. A w nich ponad 120 różnych tytułów, najczęściej się powtarzające to rzecz jasna „Kobieta i Życie”, „Motor”, „Przyjaciółka”, „Panorama”... — recytuje z pamięci Maciaszczyk. — Ale jest i wiele nietypowych, specjalistycznych pism i z nimi mamy najwięcej kłopotów, tłumaczyć się muszą przed ludźmi, a to przecież od mnie niezależne.

— Pewnie się nieco spóźniają?  
— Delikatnie powiedziane, „nieco”! Takie specjalistyczne „Plany modelarskie” choćby. To dwumiesięcznik, ale ostatnio dotarł z półrocznym opóźnieniem. Klienci się denerwują, często rezygnują z takiej nieaktualnej prenumeraty.

— Wszystkie kioski prowadzą prenumeratę?  
— Nie, tylko wytypowane, chyba około 30 procent ogółu, ale są i takie, które wyjątkowo nią się zajmują, choć wówczas mają koledy i po 500—600 tezek do obsługi.

— Panie Janie, uchyliły rąbka tajemnicy, czyli wyjaśnijmy sobie sprawę dla owego klienta podstawową: dlaczego tak dużo kiosków jest nieczynnych? A przy okazji — w jakich godzinach pański jest otwarty? — czas już był przejść do bardziej konkretnych pytań. By nie rzec — drażliwych...

— Nasz ma typowy układ godzin: cały tydzień czynny jest w godzinach 6—19, w „nieparzyste” miesiące, w soboty — pracujemy w godzinach 7—15, zaś w parzyste — 7—19, no i wreszcie w nieparzyste miesiące w niedziele i święta — od godziny 8 do 18...

— To rzeczywiście szalenie przejrzysty i łatwy do zapamiętania układ, choć można by jeszcze pofantazjować i wprowadzić choćby nieparzyste środy i parzyste poniedziałki po nieparzystych popołudniach niedzielnych, albo...

— Niech pan nie żartuje, tak nasz plan gry jest ustawiony. A przy okazji od razu odpowiem na pańskie drugie pytanie. Dużo ludzi rezygnuje z pracy kioskarza — to chyba główny powód. Jeśli jest to bowiem małżeństwo czy rodzina, to albo mają wciąż zajętą sobotę i niedzielę, a nawet jeśli ta druga jest wolna — to w sobotę pracują do późnego wieczora. Nie powiem panu dokładnie, bo nie wiem ile jest w mieście wolnych, czekających na chętnych punktów „Ruchu”, choć tu, w najbliższej okolicy wiadomym jest mi o sześciu placówkach, których ajenci z wspomnianych wyżej i innych jeszcze powodów z pracy zrezygnowali.

— Czy zarobki nie są magnesem przyciągającym do pracy w kiosku?

— Jakież to magnes! Jak pan zapewne wie, u nas pensja zależy od utargu, czyli jak to się zwykle określać — jesteśmy na prowizji. Ostatnio wyliczono nam w dyrekcji, że zarobiliśmy z żoną, za pierwsze półrocze, średnio 32 tysiące złotych miesięcznie. Czy to są przysłowiowe kokosy? Na dwie osoby to chyba nie jest tak wiele, a teraz będzie jeszcze kilka tysięcy mniej, bo w lipcu czy sierpniu ruch był jak zwykle mniejszy.

Wieloletnia praktyka — rzecz w zawadzie kioskarza ważna, podobnie jak tak zwana podzielność uwagi. Nie dość, że nie przeszkadza mojemu rozmówcy w normalnej sprzedaży dialog z natrętem, to jeszcze większe zdumienie budzić musi błyskawiczne wyliczanie kwot do zapłaty. Niczym komputer strzela pan Jan sumami za — „coś z krzyżówką, sznurówki, płyn do mycia naczyń” lub „pięć po sześć”, „Dziennik”, „Klubowe” i te proszki od bólu...

— No wie pan! Po tylu latach te typowe zamówienia mam już w małym palcu. A wracając

do problemu braku agentów, i zamkniętych placówek „Ruchu”, to trzeba też wspomnieć, że dla wielu podstawową przeszkodą są kłopoty z otrzymaniem urlopu.

— Czyżby wam nie przysługiwał?  
— To nie jest wcale śmieśnawe. Jeśli chcę wziąć urlop w okresie od czerwca do września, to wymagane jest znalezienie, zastępcy. A kto mi się tu zgodzi latem siedzieć? Zresztą potem mógłbym się w balaganie nie polapać. I bardzo trudno namówić jest dyrekcję na odstępstwo od tej zasady. Mnie się w tym roku

— A ta broszur Jeszcze białych gromadka?..  
— To żelazne pozycje, na pewno potrzebne, ale myślę, że powinny być prezentowane w jakiejś księgarni politycznej, nie w kiosku „Ruchu”. Proszę: „XX Plenum KC PZPR”, „XXII Plenum KC PZPR”, i inne, a tu tytuł z kolejnej broszurki, już chyba ze trzy lata leży: „Poprawa gospodarności i umocnienie państwa”. Jaka to gospodarność, ja się pytam, skoro u mnie tych książeczek nikt nie kupi, bo to i nie miejsce dla nich.

Znów kilka osób w kolejce, więc na chwilę

## „Wyszedłem z siebie, już nie wrócę...”

udało w czerwcu dwa tygodnie „urwać”, a przy okazji wielu „cegieł” się pozbyłem...

— Też widzę, że u państwa stosunkowo mało tych pozólkich, miesiacami spoczywających w słonku wydawnictw, których nikt nigdy nie kupował i nie kupi...

— Po prostu oddałem je wraz z prasą na czas urlopu i przetrucili do innych — kiosków. Niech tam zalegają półki. Przecież ja mam robić jak największy utarg, to jest w moim i przedsiębiorstwa interesie. I o wiele więcej bym zrobił niż ten przeciętny milion z groszami, ale towaru nie ma. Sam pan słyszał i sam widzi: kremu do golenia brak tygodniami, w papierosach niewielki wybór, a bez przerwy pytają o te droższe gatunki. Z proszków mam tylko „dyżurny” Dixan za jedyne 290 złotych. Jest za drogi, a tych tańszych — jak na lekarstwo. Marny wybór płynów do mycia naczyń — tylko „Astra” i „Lim” — firmy polonijnej. Ale nie idą żbytnio, drogie i ludziska jakoś nie mają przekonania do wyrobów tych „polonusów”, mówią, że tylko opakowanie efektowne, a ceny — ho, ho...

— Obserwuję przez chwilę ładny, taktycznie rozegrany przez agenta dialog ze starszym mężczyzną, który pyta o „jakis kryminał albo coś w podobie”. Ostatnie dni się na „coś z ciekawą krzyżówką”. I wówczas otrzymuję do garści lekko przyłożonego „Związkowca”...  
— No, gładko poszło — pan Jan zaciera ręce, kontent wielce. — Żeby prosił pana nie te krzyżówki, to by tu takie gazetki chyba do remontu leżały nietknięte.

— To samo jest z... e, lepiej nie mówić, chociaż papier to ma taki, że aż żal patrzeć. Albo „Odrodzenie”, które biorą tylko ci, co już nigdzie nie mogą dostać programu telewizyjnego. Parę razy widziałem — gość program wyciągnie, a resztę — ślip do kosza...

— Proszę pana, przecież to jest postawione na głowie — kontynuuje agent lekko jakby rozeźloni. — Ludzie pytają o te nieszczęsne kryminały, romanse różne, ale natychmiast zniknąby także Sienkiewicz, Bunsch, Prus. Jak dostałem parę egzemplarzy „Cichego Donu”, po 800 złotych, nie taki tani, to w dwie godziny zniknęły. Ale kto to kupi, o proszę: „Republika Boliwijska”, „Szlaki wodne Śląska”, cała sterta częściowo nieaktualnych map samochodowych.

przerwywamy rozmowę — tym bardziej że zjawia się żona — pani Mirosława Maciaszczyk, w towarzystwie czarnego pudła. A za szybą znów sami pechowcy: starsza pani żaluje, że nie ma już „Dziennika” (— Dlaczego tak mało zamawiacie? — dopytuje się), młodzieniec z wyraźną mutacją nie dostanie nic o komputerach, dziewczyna w berecie odchodzi bez płaskich baterii. I znów pytanie o krem do golenia, o „Veto”, a także (tu mała satysfakcja):

— Proszę pana czy są już „Odgłosy” — ładna blondynka wiek — w sam raz, wzrost i cała reszta — również...

— Będą po trzynastej, razem z „Expressem”.  
— Pokazywałeś panu nasz nowy kiosk? — dopytuje się go gospodarz (i po kobiecemu też) pani Mirosława. — Bo ten poprzedni to przegnił od dołu zupełnie, można się było zapasać. W tym, choć większy nie jest ciepłej, zamontowano chociaż takie płytki ogrzewcze nakoło, to i w zimie będzie można wytrzymać i papierosy nie będą wilgotnieć...

— Oj, ty o takich rzeczach, ciepłej odzieży ochronnej na zimę też nie dają i co? Włosy mam z głowy rwać? Czy z roboty jak inni zrezygnować? — denerwuje się pan i władca. — Ale niech pan jeszcze o gazetach skończy...

— Czy ma pan w ogóle możliwość jakiegokolwiek manewru w przypadku nakładu gazet? Czy jakieś wasze sugestie są brane pod uwagę?

— Teoretycznie — tak, praktycznie — różnie to bywa. A najgorsze, że nigdy nie wiem, o której mi przywiozają!! Z „Dziennikiem” i „Głosem” mogę jakieś małe rozszady robić, zamawiać mniej lub więcej. Z tym, że muszą mieć gazetę w kiosku o szóstej z minutami najpóźniej, kiedy ludzie do pracy śpieszą. Dziś zamówiłem 150 „Głosów”, 100 „Dzienników”, ale zjawili się z nimi dopiero o godzinie 7. No i proszę: „Dziennik” — poszedł, ale minimum jedną trzecią „Głosu” będą musiał zwrócić.

— A ile państwo otrzymujecie egzemplarzy „Odgłosów”?

— Mało, choć to i nie kiosk w centrum. Te niecałe trzydzieści egzemplarzy jak przywiozł w środę po południu, to nie zdarzyło się by do piątku coś zostało. Minimum piętnaście sztuk więcej bym sprzedał bez najmniejszych kłopotów. Nie możecie tam wywalczyć trochę

więcej papieru, żeby i kioski więcej „Odgłosów” dostawały? Bo wiem, że u kolegów też szybko waz tygodnik znika...

— A inne, najbardziej popularne tygodniki?

— No cóż; „Panorama” i „Przegląd Tygodniowy” idą chyba najszybciej, a już „Przekrój” leży długo. Takie „Veto” to zależy jakie zdjęcie ma na okładce i co zapowiadają ciekawego. Czyli jak kobiłka roznegliżowana i coś o naturystach w środku — to sprzedaje się niczym świeże bułki, jak tych atrybutów nie ma — ciężko idzie...

— Są jeszcze pewnie rarytasy, czyli tytuły nie tylko u państwa trudno dostępne?

— Oczywiście. To wciąż „Kobieta i Życie”, „Przyjaciółka”, „Sezam”, „Tylko dla ciebie”, „Wykroje i wzory”, „Motor”, „Bajtek”, „Komputer”, „Młody technik”

— I w przypadku tychże, jak i „Przeglądu Tygodniowego” czy „Odgłosów” wszelkie sugestie kioskarza nie odnoszą rezultatów?

— Takie sygnały dyrekcje każdego oddziału mają praktycznie na bieżąco, ale niemal w każdym przypadku słyszymy tylko że nie ma możliwości zwiększenia nakładu.

— A nie ma możliwości przetrucania gazet z kiosków, gdzie zalegają do tych, które mają „luzy”?

— Takie możliwości z pewnością są, tylko kto to ma zorganizować? Kto by sprawdzał, gdzie pańskie „Odgłosy” poszły lepiej, gdzie gorzej? Dyrekcja? Czyż nie mają większych problemów na głowie...

— I niech pan jeszcze napisze — dopowiada pani Mirosława, wyczuwając, że będą się powoli zbierać do wyjścia — że ta praca w niedziele i święta niemal wszystkich kiosków to nieporozumienie. Takie założenie naprawdę nie stanowi bodźca, a wręcz przeciwnie — odstrasza od podjęcia pracy. A chętnych na pewno by nie brakowało. Ja przecież nie sugeruję, by wszystkie były pozamykane, ale wystarczyłyby, powiedzmy, co piąty, zwłaszcza w centrum, w rejonach dużych skrzyżowań z komunikacją miejską, w pobliżu dworców.

— To naprawdę przykłady z życia — wtrąca się małżonek. W niedziele, od godziny 14 do 18 to mogą nawet spać na ławie i żaden klient mnie nie obudzi. Bo go po prostu nie ma. W tygodniu utarguję średnio około 50 tysięcy złotych dziennie. W niedziele — w granicach 7,5 — 8 tysięcy. I to samo jest w święta, na przykład w Nowy Rok. Pamiętam dokładnie, bo żli byliśmy wtedy jak osy. No, proszę pana: otworzyliśmy punktualnie o godzinie 8, a pierwszy klient zjawił się tuż przed 12, przyszedł kupić szampon do włosów...

— Rozumiem. Dyżury w soboty i niedziele, żadne cudowne zarobki, kłopoty z otrzymaniem urlopu latem... I jeszcze na dodatek denerwujący brak wpływu na zaopatrzenie. Te coś państwa trzyma w tym kiosku tyle lat? Tylko proszę mi nie opowiadać, że wyłącznie przywiązanie do klientów...

— Nie tylko, choć miło jest mieć wielu dobrych znajomych także wśród kupujących. Plusów tej pracy nie ma zbyt wiele. Ale w naszym przypadku argumentem przemawiającym „za” jest fakt, iż z domu do pracy mamy niewiele ponad 30 metrów...

— Czy tylko dlatego nie pojawiają się tu — tak słyszałem — te denerwujące kartki z napisami w rodzaju: „Zaraz wracam”, „Wyszedłem do dyrekcji”?

— Również i dlatego, choć to przede wszystkim sprawa dobrej organizacji. Choć gdy tak patrzę jak tu się o nas dba i zachęca do dobrej roboty, to mam ochotę wywieść kartkę „Wyszedłem z siebie, już nie wrócę”...

Rozmawiał:  
**DARIUSZ DOROŻYŃSKI**



Foto: Grzegorz Gatasiński



(Partido Socialista Unificado Mexicano) będący zarazem przewodniczącym Niezależnego Związku Zawodowego Robotników Rolnych i Chłopów.

Kiedy spytałem: dlaczego? odparł:

— Bo czerwieni się od krwi. Jest tam również trochę krwi polskiej. Niewykluczone, że będzie jej więcej. Honorowych dawców nie brakuje. Zgłaszają się, jak Roman, na ochotnika. Są, jak się wkrótce będę mógł przekonać, także kobiety i dzieci. Nie te biedne, którym w kraju żyje się ciężko, lecz te, które stać na bilet za ćwierć miliona i które w chwili przekraczania granicy mają przy sobie więcej niż kiedykolwiek zobaczy na oczach polska robotnica.

Za chlebem, kurwa jego mać! Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego Meksykanie przestali wizażować nam paszporty. Od dzisiaj trzeba mieć zaproszenie, prośbę państwa. I słusznie! Ostatnia większa grupa Polaków przepłynęła się do Stanów w czasie Mundialu.

8.

Nie to, abym odezwał potrzebę spaceru, ale opuściłem hotel, żeby zabić trochę czasu. Pucybut, który siedział na chodniku przed wejściem przyrzekał się bez większej nadziei moim białym, szwedzkim tępom i zapytał:

— Nie ma pan czarnych pantofli?

— Nie.

— A brązowe?

— Zostały w kraju.

— Szkoda — bąknął ciskając w górę szcztokę i chwytając ją z nonszalancją wirtuoza. Potem wykonał serię innych, szybkich ruchów świadczących wymownie o biegłości, którą zdobył w swoim pożytecznym fachu. — Pan jest Gringo?

— Jestem Polakiem.

— Papier?

— Papier.

— W porządku! — Szcztoka znów poszybowała w niebo, ale tym razem złapał ją lewą ręką, która zamarkowała płynny, obrotowy gest glancowania. Najwyraźniej doskwierała mu bezczynność.

— Te pańskie tropy możemy najwyżej przemasować.

— Ile kosztuje normalne czyszczenie?

— Dwieście pesos. Jeśli but jest z cholewką — trzysta. Jeśli trzeba najpierw oskrobać go z błota — czterysta. Zmiana koloru wynosi pięćset, jeśli dziemi?

— Przykro mi, ale wolę białe.

— A ja bym wolał...

— Nie gniewasz się?

— W żadnym wypadku!

Fajny był ten meksykański szcztok. Próbowałem wręczyć mu kilka drobnych monet, lecz zachnął się:

— Nie jestem żebakiem, proszę pana.

— Wiem. I przepraszam. Chcesz powiedzieć, że zarabiasz na życie?

— Czasami tak, czasami nie.

— Co jest lepsze w twojej branży: słońce czy deszcz?

— Słońce. W deszcz ludzie uciekają do domu i nie przejmują się brudnym obuwem.

— Ale czyszczą je nazajutrz?

— Si, señor.

— Ile możesz wyciągnąć w dobry dzień?

— Pięć — sześć tysięcy pesos.

— Prawie dziesięć dolarów.

— Prawie.

Podszeł gość i postawił nogę na wysmarowanej pastą skrzynce. Chłopak zagryzł drobnymi, zdrowymi zębami dolną wargę i zabrał się z pasją do dzieła. Naprawdę był fajny. Miał w sobie tę wrodzoną, kasztylejsko-indiańską godność, która sprawia, że w Meksyku za-

den pracujący człowiek nie żebrze, a żebrak prosi cię o jałmużnę tylko raz.

Zapytałem go jeszcze, gdzie jest Calle Rio Lerma. Nie podnosząc głowy wyjaśnił, że muszę przeciąć park przy Pomniku Matki i wejść w pierwszą prostą ulicę, po czym skrócić troszkę w prawo. Zrobiłem tak i niebawem stanąłem przed hotelem, pod którym zostawiłem Romana.

4.

Zmienił się recepcjonista w międzyczasie. Uwaga dla korekty: zwrotu „w międzyczasie”

## Meksyk (2)

# Chwył odwetowy

używam z rozmysłem twierdząc na przekór purystom językowym, że jest on we współczesnej polszczyźnie niezbędny i nie do zastąpienia. Zmienił się więc recepcjonista. Ale ten też był miły. Kiedy wymówiłem nazwisko Romana, zaczął wertować księgę hotelową pod właściwym znakiem alfabetu. Zrobił to dokładnie, kilka razy i pokręcił głową.

— Nie ma takiego.

— Mogę zerknąć?

— Proszę.

Pomagając sobie palcem przejrzałem księgę jak klient państwowej loterii pieniężnej sprawdzający tabelę wygranych. Jedno z nazwisk było niemal identyczne, miało jednak obcą końcówkę i należało do kobiety.

— Są wolne pokoje? — zapytałem.

— Są.

— Więc on na pewno zaraz przyjdzie. Wpisaliśmy się w południe na listę oczekujących.

Facet sięgnął pod kontuar i wyjął tę listę.

— O, widzi pan? Tu! Maco-

wieci to ja — powiedziałem.

— A on?

— Jego nie ma. Pański kolega twierdził, że wystarczy, jeśli wpisze się jeden z nas.

— Jasne. — Prawa ręka zginęła za plecami recepcjonisty. Kiedy pojawiła się znowu, był w niej klucz.

— Por fawor. Drugie piętro. Placi pan z góry?

— Panie, ja w ogóle nie plaćę! Ja tylko szukam przyjaciela. Adios.

— Que le vaya bien!

— Gracias!

— Nada!

Zajrzałem jeszcze na ciche, kipiące od kwiecia patio i do pustej restauracji, w której przy jedynym zajęтым stoliku dyżurował jakiś miłośnik alkoholu. Nie był to Roman. Roman wyznał mi w samolocie, że nie upił się jeszcze nigdy w życiu. Mężczyzna pijany to jest śmieć. Mężczyzna pijany to jest zero. A tu trzeba uderzyć nie-

— Skąd pochodził?

— Z miasteczka, którego podobno nie ma już na mapie. Cziemno.

— Może Chelmno?

— Cziemno.

— Bo Chelmno jeszcze na mapie jest. — Ugryziłem kęs hamburgesa. Wrażenie było mniej więcej takie, jakby wzbuchła mi w ustach bomba atomowa.

— Pica mucho — powiedziałem. — De todos modos, muy sabroso, proszę pani. Ostrel

— Demasiado?

— No.

— Wszyscy Polacy znają castellano?

— Z tych, co przyjeżdżają do Meksyku — tak. Najbardziej w tej sztuce są nasi dziennikarze sportowi, a jeden umie nawet po hiszpańsku jodłować.

Niewiasta była jak gdyby trochę znuzona. Zapłaciłem i wyszedłem. Pospieszyl za mną gość, który pił kawę po drugiej stronie szynkwasiu. W reportażu jak w kartach. Jak idzie to idzie. Potwierdziło się prawo seriali.

5.

— Buenas noches — pochylił czoło i nie wyciągnął ręki.

W pierwszej chwili pomyślałem: sutener. Był w garpiturze. Pod marynarką kamizelka, czysta koszula i krawat. Wleczory w Meksyku są chłodne, można chodzić w płaszczu. Zaczynał deszcz, a on mówił:

— Zrozumiałem, że jest pan Polakiem. Mucha gusto. Bardzo cenię Polaków...

Zamierzał rozwinąć myśl, przerwałem mu jednak:

— Za co ich pan cenii?

— Za odwagę. Cziopen, papier, piłkarze...

— Fakt, piłkarzy mamy cudownych — powiedziałem. — Najlepszy polski piłkarz to Dziekanowski, ale rozmiął się z powołaniem. Powinien występować w balecie.

Mexicano przytakiwał głową z taką powagą, jakbym przytakiwał mu fragment sejmowej ustawy. Rzeki ze smutkiem:

— Pomyliłem się.

— Naprawdę?

— Si, sądziłem, że pan szuka przewodnika.

— Takiego, który mógłby o-

prowadzić mnie po mieście?

— Proszę nie żartować, se-

nor. Takiego, który mógłby pana przeszwarzować za granicę.

Uśmiechnąłem się, ale obleciał mnie strach. Boże drogi! Zaczynałem wierzyć, że polska sprawa w Meksyku nie zawęża się do sporadycznych incydentów.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Dziękuję za rozmowę.

— Niestychane! Mój ojciec też był Polakiem.

Nie lubię słowa: fart. Ale Meksyk był dla mnie fartowny od początku. Czulem, jak po kilku spokojnych, literackich latach burzy się we mnie reporterska krew. Wziąłem w dwa palce rękę kobiety i złożyłem na niej pocałunek.

— Możemy zatem mówić po polsku. — I zacząłem mówić po polsku.

— Och, nie! Znam tylko parę pojedynczych słów. Tata przyjechał do Buenos Aires, jak miał siedemnaście lat i ożenił się z Argentyką. Odszedł, kiedy byłem małym dzieckiem.

— Skąd pochodził?

— Z miasteczka, którego podobno nie ma już na mapie. Cziemno.

— Może Chelmno?

— Cziemno.

— Bo Chelmno jeszcze na mapie jest. — Ugryziłem kęs hamburgesa. Wrażenie było mniej więcej takie, jakby wzbuchła mi w ustach bomba atomowa.

— Pica mucho — powiedziałem. — De todos modos, muy sabroso, proszę pani. Ostrel

— Demasiado?

— No.

— Wszyscy Polacy znają castellano?

— Z tych, co przyjeżdżają do Meksyku — tak. Najbardziej w tej sztuce są nasi dziennikarze sportowi, a jeden umie nawet po hiszpańsku jodłować.

Niewiasta była jak gdyby trochę znuzona. Zapłaciłem i wyszedłem. Pospieszyl za mną gość, który pił kawę po drugiej stronie szynkwasiu. W reportażu jak w kartach. Jak idzie to idzie. Potwierdziło się prawo seriali.

5.

— Buenas noches — pochylił czoło i nie wyciągnął ręki.

W pierwszej chwili pomyślałem: sutener. Był w garpiturze. Pod marynarką kamizelka, czysta koszula i krawat. Wleczory w Meksyku są chłodne, można chodzić w płaszczu. Zaczynał deszcz, a on mówił:

— Zrozumiałem, że jest pan Polakiem. Mucha gusto. Bardzo cenię Polaków...

Zamierzał rozwinąć myśl, przerwałem mu jednak:

— Za co ich pan cenii?

— Za odwagę. Cziopen, papier, piłkarze...

Fakt, piłkarzy mamy cudownych — powiedziałem. — Najlepszy polski piłkarz to Dziekanowski, ale rozmiął się z powołaniem. Powinien występować w balecie.

Mexicano przytakiwał głową z taką powagą, jakbym przytakiwał mu fragment sejmowej ustawy. Rzeki ze smutkiem:

— Pomyliłem się.

— Naprawdę?

— Si, sądziłem, że pan szuka przewodnika.

— Takiego, który mógłby o-

prowadzić mnie po mieście?

— Proszę nie żartować, se-

nor. Takiego, który mógłby pana przeszwarzować za granicę.

Uśmiechnąłem się, ale obleciał mnie strach. Boże drogi! Zaczynałem wierzyć, że polska sprawa w Meksyku nie zawęża się do sporadycznych incydentów.

ANDRZEJ MAKOWIECKI C.D.N.

## Między Scyllą a Charybdą

Z gościem 47 Zjazdu Polskiego Towarzystwa

Botanicznego w Łodzi, profesorem botaniki ogólnej

na Uniwersytecie Ruhry w Bochum, prezydentem

przyszłorocznego Światowego Kongresu Botanicznego

w Berlinie, KARLEM ESSEREM rozmawia PAWEŁ

TOMASZEWSKI.

— Panie Profesorze, wymieranie całych gatunków roślin i zwierząt jest zjawiskiem tak starym, jak życie na naszej planecie. Od pewnego czasu jednak dzieje się to tak szybko i na taką skalę, jak nigdy przedtem, a to za sprawą człowieka, który jako jedyny żyjący gatunek nauczył się przekształcać środowisko przyrodnicze dla swoich potrzeb. Czy zdaniem Pana proces wymierania gatunków uda się kiedyś sprowadzić znowu do jego poprzednich, naturalnych rozmiarów?

— Nie przypuszczam, aby tak się stało. W toku ewolucji pewne gatunki roślin i zwierząt zawsze ulegały eliminacji. My na przykład staraliśmy się eliminować z naszego otoczenia wszystkie pchy, wszy, pluskwy i nie widzimy w tym nic złego, choć przecież głosząc potrzebę ochrony środowiska, powinniśmy także i te chronić. Nie robimy tego, gdyż chcemy dobrze żyć. Dlatego też uważam, że podejście do tego zagadnienia wymaga pozbycia się niepotrzebnych emocji, jakie mu zwykle towarzyszą.

Faktem jest natomiast, że wielkie szkody w środowisku człowiek poczynił już w czasach Cesarstwa Rzymskiego, dwa tysiące lat temu. Miało to miejsce w całym basenie Morza Śródziemnego. Obecnie podobny proces dokonuje się w krajach tropikalnych, gdzie masowo wycina się lasy dla pozyskania drewna lub je wypala, aby założyć nowe plantacje. Co gorsza, nie ma dziś żadnej możliwości kontrolowania tego w niepodległych krajach Afryki czy Ameryki Południowej.

Z kolei w Europie największe zniszczenia środowiska powoduje przemysł. Na przykład w Czechosłowacji przy granicy z RFN znajdują się duże kopalnie węgla brunatnego i elektrownie, a zanieczyszczenia z nich szkodzą także lasom w Republice Federalnej. Niestety, Czechosłowacy nie robią nic, aby temu zapobiec. Zresztą problem ten jest znany także polskim ekologom. Proszę ich o to zapytać.

— A jakie działania podejmuje się w RFN dla ochrony środowiska?

— W Republice Federalnej jest to bardzo poważny problem, gdyż mamy bardzo rozwinięty przemysł, motoryzację... Ale muszę powiedzieć, że ochrona środowiska zaczęła się w Niemczech już w czasach Bismarcka. Tak było w Zagłębiu Ruhry, gdzie są kopalnie, stalownie i gdzie dziś w rzekach można pływać i łowić ryby. Ryby polawiają się już także w Renie, który — jak wiadomo — wypływa ze Szwajcarii i zachacza także o Francję. To właśnie z tych krajów dociera do nas już zanieczyszczony przez przemysł chemiczny. My również mamy wielki przemysł chemiczny w miastach nad Renem takich jak Kolonia, Ludwigshafen, Mannheim, ale istniejące od 10 lat surowe przepisy zobowiązują zakłady chemiczne do ochrony wód przed zanieczyszczeniami. Na razie przynosi to ujemne skutki, gdyż ogromnie podraża koszty produkcji. Dla przykładu w Holandii są one niższe, gdyż tam zanieczyszczenia można odprowadzać wprost do morza. I z tego powodu problem ochrony środowiska znajduje się między Scyllą a Charybdą. Kiedy się chce tylko chronić środowisko, trudno nam żyć. Kiedy znowu się je niszczy, trudno będzie żyć w przyszłości. Trzeba znaleźć jakąś wyśrodkowaną drogę.

— A jaki jest Pana stosunek do partii Zielonych, która domaga się rygorystycznej wreszcie ochrony środowiska?

— Zieloni to w połowie idealści, a w połowie karierowicze. Przez swój radykalizm na razie najbardziej szkodzą sprawie ochrony środowiska, niż jej pomagają. Większość społeczeństwa jest przeciwko nim. Poza tym Zieloni są przeciwko elektrowniom atomowym, w których uzyskuje się energię elektryczną w najbardziej czysty sposób. Moim zdaniem, wykorzystywanie węgla jako paliwa nie powinno już mieć miejsca. Na przykład we Francji aż 70 proc. energii elektrycznej pochodzi z siłowni jądrowych, i nikt tam przeciwko temu nie protestuje. U nas — zaledwie 30 proc. i ciągle słychać protesty Zielonych. Oczywiście wiem dobrze o katastrofie w Czernobylu i jej skutkach, nie zmienia to jednak mego poglądu, że przyszłość energetyki należy właśnie do elektrowni atomowych. To, że zawalił się dom mego sąsiada nie znaczy przecież, iż miałbym z tego powodu rozebrać swój.

— Często można spotkać się z poglądem, iż na ochronę środowiska mogą sobie pozwolić tylko bogaci. Czy zgadza się Pan z tym poglądem?

— Nie można odpowiedzieć na to jednoznacznie, gdyż często bieda i bogactwo są trudne do określenia. Poza tym, ochrona środowiska to jednak przede wszystkim problem państw uprzemysłowionych. Każdy kraj, który buduje przemysł, początkowo stoi na bazie potrzeb ekonomicznych i ekologicznych możliwości, a te są przecież różne. Wspominałem, że w Zagłębiu Ruhry chroni się środowisko już od stu lat, między innymi rekultywując grunty zniszczone w wyniku eksploatacji węgla brunatnego. W Stanach Zjednoczonych, które są krajem niewątpliwie bogatym, do niedawna nikt się tym problemem nie przejmował, gdyż była tam wystarczająco duża powierzchnia ziemi. Dopiero teraz zaczyna się tam o tym myśleć.

— W różnych krajach stopień zaangażowania działań zmierzających do ochrony środowiska jest różny. Gdzie, Pana zdaniem, jest on największy? — Innymi słowy: od kogo moglibyśmy się w tej dziedzinie uczyć?

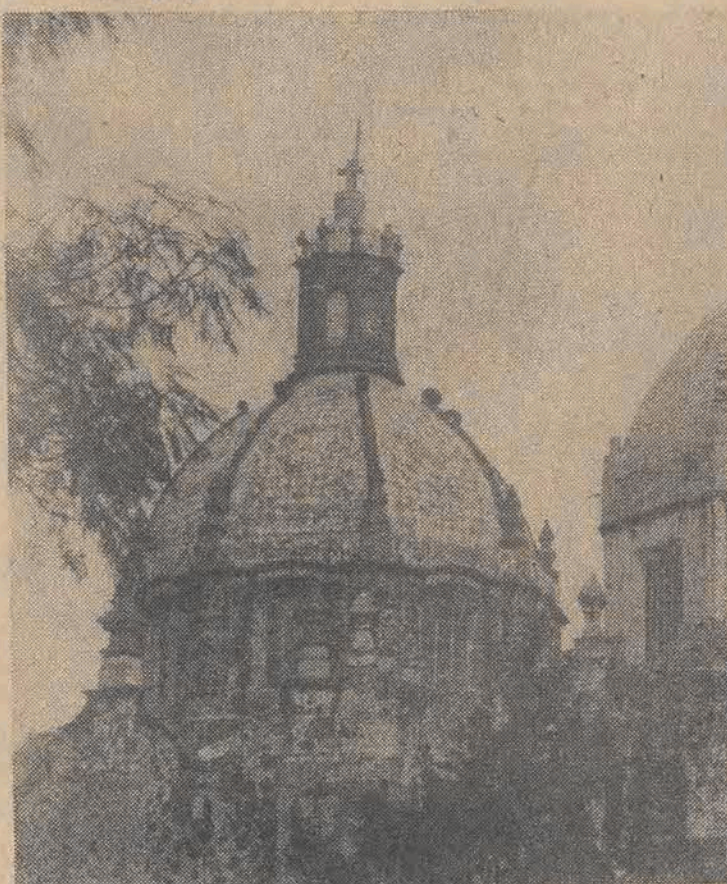
— Nie jestem ekologiem, lecz botanikiem i trudno mi odpowiedzieć na tak postawione pytanie. Nie znam też dobrze sytuacji w poszczególnych krajach. Jeżeli chodzi o Republikę Federalną, to obowiązują u nas bardzo surowe prawa w zakresie ochrony środowiska, a my, botanicy mamy w tej sprawie sporo do powiedzenia. W Polsce byłem dwa lata temu i mam bardzo dobre zdanie o poziomie polskiej botaniki środowiskowej oraz ekologii. Na przykład łódzki ośrodek reprezentuje poziom międzynarodowy. Myślę więc, że Polska nie potrzebuje się od nikogo uczyć. Natomiast wasze władze wiele mogłyby nauczyć się od waszych profesorów którzy najlepiej wiedzą, co należy robić i dlatego powinni mieć wpływ na ustalanie praw w zakresie ochrony środowiska. Ale już w Biblii napisano, iż nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Botanicy i biolodzy środowiskowi wszędzie mają kłopoty z przekonaniem władz do swoich racji. Możemy więc robić tylko małe kroki.

— W przyszłym roku w Berlinie odbędzie się Światowy Kongres Botaniczny. Co możemy sobie po nim obiecywać?

— Przede wszystkim mam nadzieję, że w kongresie uczestniczyć będzie wielu polskich botaników. Jak już mówiłem, wyniki badań Polaków oceniam bardzo wysoko i byłoby dobrze, gdyby były one lepiej znane w świecie. Niestety, jest poważna bariera, ponieważ wielu polskich naukowców publikuje prace tylko po polsku. Myślę, że kongres w Berlinie pozwoli im zaprezentować swe osiągnięcia szerzej i pełniej, a kiedy jego echo dotrze do Polski, być może i władze trochę inaczej spojrzą na problem ochrony środowiska.

Poza tym chcielibyśmy, aby fakt zorganizowania kongresu właśnie w Berlinie, na styku krajów wschodu i zachodu, przyczynił się do większej integracji środowisk naukowych państw socjalistycznych i kapitalistycznych. Uważam, że jest to jedno z ważniejszych zadań, jakie przed nami stoją.

— Dziękuję za rozmowę.





## Klatka

Gniewnymi okami  
typie śleć  
na rybę mlotającą się w niewoli

Koń chwycony w sidła uzdy  
siódła i kaleczącego język wędził  
musi trzymać radosne rżenie  
za swolmi śmiesznymi zębami

Klatka drapieżną ręką drzewiczek  
trzyma ptaaka  
schwytanego na chybił trafił

Człowiek wije sobie gniazdko  
z drutu betonu smoły dymu  
gazu smogu i drżących rąk  
choć sam wchodzi dobrowolnie  
do klatki schodowej — ale nie widzi  
że pozbawił się wolności

## Obłęgorek

Tu w rogu salonu z wesoło trzaskającym kominkiem  
Zagłoba opowiada swe przygody o tym jak to  
w czasie podchodów na Wołyniu i Podolu  
niejednym fortelem psikusa wyplatał Kozakom i Tatarom

W innym z kolei fragmencie pałacyku pan Keftling  
jak swykie eleganci i szarmancki stara się przekonać  
pannę Krzysię że ją okrutnie miłuje

A tuś obok z jakiegoś przypieczowego zakamarka  
wyłazi Axja — zaś kilka kroków dalej Kuklinowski  
warczo i zablaka gotowy służyć każdemu —  
i do przyłączenia się do jego mocodawców fiskalnych  
wycieczkę szkolną — błękitną jak pamiętni hallerczycy — kaptuje

Tutaj już ksiądz Kordecki z okrzykiem „Sursum corda!”  
snak krzyża nad nami czyni i do oporu  
przeciw okupantom wszelakiego autoramentu zachęca  
w imię miłości Ojczyzny czyli w imię Boże

Zaś w tej komnacie pan Kmieć do wizyty się gotuje  
u panny Oleńki: włożył już żupan ze srebrnej lamy dźlerzany  
z rzyty gwiazdki pod szyją zapięty wielkim szafirem  
na to kontusz z błękitnego aksamitu a także pas biały  
i srebrzysta szabla usłana szafirami u pasa  
na jedwabnych rapciach a za pasem buczygan rotmistrzowski  
i przygląda się temu sam pan Sienkiewicz  
siedzacy opodal przy mahoniowym biurku

# Z komiksu na scenę

Nie jestem w najłatwiejszej sytuacji „przymierzając się” do oceny najnowszej premiery Teatru im. Jaracza (Sceny 7.15), nie było mi bowiem dane wychowywać się na komiksach. Trochę się pośpieszyłem — moja strata. Jedno co z początków przebijania się tej formy wypowiedzi spamiętałem, że mianowicie uchodziła ona w pewnym okresie za „podejrzana” ideowo i artystycznie. Nie myślę o czasach przedwojennych czy wcześniejszych, kiedy się komiks dopiero u nas wykluwał, lecz o bodajże wczesnych latach pięćdziesiątych. Lekki i oporny dawno na szczęście minęły, stąd też niektóre opowiadki komiksowe zdążyły już zdobyć sobie pozycję klasyki, czytanej (lub raczej oglądanej) od co najmniej dwóch pokoleń, jak właśnie „Tytus, Romek i A'Tomek”. Do ich pierwotnej akcji stałe można coś nowego dopowiedzieć, i nawet ją aktualizować, jak w powieści radiowej o dniu powszednim takiej czy innej rodziny, z tym, iż komiks lubi zdarzenia niezwykłe, często zabawne. Nie inaczej jest z utworami Henryka Chmielewskiego, którego bohaterowie doczekali się już kilku kolejnych książkowych wydań swoich przygód. Może jednak moje położenie jest szczęśliwsze niż mi się z początku wydawało, szczęśliwsze niż ogromnej części widzów, której komiks ten jest znany i wobec tego domagają się, by adaptacja sceniczna była jak najzgod-

niejsza z ich wyobraźnią, jeśli można mówić o wyobraźni tam, gdzie rysunek i podpis wodzą człowieka za nos. Przypuszczam więc, że widzowie ci oczekują raczej podobieństwa z komiksowym rysunkiem, z którego pozostają w pamięci dość wyraziste fizjonomie postaci, gdy tekst słowny stanowi tylko skromne dopełnienie. Co do mnie, to oczekiwałem tak potwornej nudy, jaka wieje na mnie zawsze z komiksowych koszmaków, wydających z siebie prymitywny belkot, stąd mój niespodziewany zysk, polegający na tym, że bawiłem się na przedstawieniu całkiem nieźle. Po trosze w tym zasługa scenografii, po trosze choreograficznego czuwania nad ruchem scenicznym, i oczywiście reżyserii, choć ta nie przez cały czas spisywała się jednakowo skutecznie. Sam początek, owszem, nadal wartki tempo akcji, od początku też czytelna prowadzona, później jednak często tempo siadało, wydaje mi się, że zwłaszcza tam, gdzie komiksowy pierwowzór (rysunkowa akcja) nie uzasadniał znaczniejszej rozbudowy dialogu, ale gdzieś od połowy drugiego aktu, czyli od pojawienia się „robotów”, znów potoczyła się zwawiej. Ujawniło się też, że nie wszyscy aktorzy są jednakowo predysponowani do grania dla małego widza, a zwłaszcza wcielania się w postaci chłopców i dziewcząt. To zresztą zawsze niesłychanie trudna sprawa, nawet w specjalnych



Anna Amarylis, Jerzy Bom: „Tytus, Romek i A'Tomek”. Na zdjęciu: Stanisław Jaskółka i Grzegorz Heromiński. Foto: Romuald Sakowicz

## Dziennikarze

Ciężkie czasy u nas nastały  
bo co drugi to magister a co trzeci — doktor  
(który nie jest niestety lekarzem)  
a co czwarty to docent; i jak tu mówić o dobrobycie  
gdy pracować nie ma kto — a jeśli chodzi o myślenie  
to można je nazwać zwyczajnym marzeniem ściętej głowy  
— jak opowiadał mi z oburzeniem żurnalista  
czyli mój przyjaciel ze „Słowa Ludu” (pracującego)  
: a gdzieś daleko stąd swoją skomplikowaną grę  
prowadzą dziwni dziennikarze: jeden — lękając pastylki  
został Murzynem aby na własnej skórze poznać  
los ludzi tego podgatunku amerykańskiego  
— inny pozwolił się zamknąć na rok w domu wariatów  
i potem sporo forsy zarobił na szokującym repertożu  
— jeszcze inny został ciężko ranny w wojnie domowej  
na Dalekim Wschodzie zaś jego ambitny kolega  
ujawnia sfałszowane wybory i nadużycia władzy:  
tylko u nas nie się nie dzieje oprócz dożynek  
i wykonania planu dlatego nie ma tu żaden dziennikarz szans  
na błyskotliwe zrobienie kariery — chyba że wybierze los  
Kapuścińskiego w E!

## Biesy

A więc jest on podobno straszny ten Czart od czarowania  
Nie tak bardzo jednak jak go malują: z wioska jest to  
Diabeł zwany Dymkiem Czczotem Borowikiem lub sumeryjskim  
Szatanem  
Rokitą Laskowikiem Leszym Bierką Leszkiem Bielem (od bania się)  
Zezem patrzącym na nas szlacheckim Borutą błotnym i lasowym  
Echem ze średniowiecza wlecze się za nami czarniejszy od Murzyna  
Jakby te cechy natury ludzkiej chciał nam pokazać od czasu  
Gdy zbuntowany anioł — teraz bóstwo zła i wiecznego poszukiwania —  
Razu pewnego został strącony do piekła przez Najwyższego:  
Udobruchany nalewką prześwietną opowiada mi o tym mój diabeł  
domowy  
Na dobitkę pozujący mi do obrazu pilnujący domu i ostrzegający  
przed ludźmi.

teatrach młodego widza — żeby nie pokazywał młodości bohaterów ze zbyt „dorosłym” dystansem, lecz raczej w całkowitym z nimi utożsamieniu, wtedy mały widz bierze ich za swoich. Podziwiać aktorów, którzy odważają się grać dla dzieci!

Chyba najlepiej to się udawało GRZEGORZOWI HEROMIŃSKIEMU w roli sympatycznego malpizsona Tytusa, uwikłanego w proces „uczłowieczenia”. Jego emplot (z którego w Łodzi go znamy) cechuje się wielką łatwością i swobodą we wcielaniu się w postać natwonego w swej szczerości „swojego chłopaka”, wiarygodnym tym samym dla młodszego części widowni. Na samym początku popisał się zwłaszcza imponującą sprawnością fizyczną, później jednak z konieczności dozwolił ją od czasu do czasu, żeby widownia nie zapomniała — kim i jakim jest.

Drugą co do ważności postać Zosi, nieco pretensjonalnej pannicy, pozującej na dorosłość, jak to często w wieku podlotkowatym bywa, zagrała BOŻENA MILLER-MAŁECKA. Tego rodzaju pozy dziecko (jak pamiętam) widzi ostro i ocenia bardziej bezlitośniej niż dorośli, których stać już na wyrozumiałość i sądzić, że aktorka dość zrzęcznie te sprzeczne oczekiwania „wypośredkowała” i konsekwentnie przeprowadziła do końca.

W ogóle aktorstwo było w tym przedstawieniu sumienne, dopracowane, a najbardziej przekonujące z pozostałych postaci zarysowano wizerunek gorliwego w nauce i przykładnego A'Tomka (ZBIGNIEW BIELSKI) i dobroliwie ufnego Profesora Talenta (SŁAWOMIR MI-SIUREWICZ), co, zważywszy na pozytywne cechy postaci, nie było chyba zadaniem łatwym. Ponadto w głównych rolach wystąpili ADAM MARIANŃSKI — Romek, STANISŁAW JASKÓŁKA — Docent Pokretny, ROZA CHRABELSKA — Kasia, GRAŻYNA WALASEK — Gosia. Dobrą obsadę otrzymały też epizody.

Co do muzyki, to przebiega ona po części niezauważalnie i nie zapada łatwo w pamięć, nie zda egzaminu nieczysty playback.

O wychowawczej wymowie przedstawienia nie mam zdania. To i dobrze, iż morał nie leży jak na dłoni, że nie jest podawany deklaracyjnie, ale — jaka jest jego wymowa? Sprytnemu i leniwemu malpizsonowi nie imponują żadne nauki, nie jest wart gry w piłkę nożną, a jego powrót do kompanów od piłki witany jest przez nich ze zrozumiałą radością, ale także ze zrozumieniem przez młodą widownię. A zresztą — czy nie więcej od życia uzyska on profitów strzelając z każdej pozycji bramkę, niż z naukowych wynalazków? Rzecz dzieje się bowiem w Polsce, o czym każdy wiedzieć powinien.

### JERZY KWIECIŃSKI

Anna Amarylis i Jerzy Bom „Tytus, Romek i A'Tomek”, sztuka muzyczna na motywach komiksu Henryka Chmielewskiego. Reżyseria — Ewa Markowska, scenografia — Barbara Zawada, muzyka — Zofia Maj, Romuald Żyliński, kierownictwo muzyczne — Piotr Hertel, choreografia — Janina Niesobka.

# Bigos hultajski

## Mieszanka firmowa literacko — obyczajowa

### KRÓL I DZIECI

Król Stanisław August przechodząc koło szkoły miejskiej w Warszawie, spostrzegł chłopców wybiegających ze szkoły i od zimna drżących.

— A cóż to — zapytał — czyli wam w szkole nie pałają?

— A pałają — ozwał się mały filutek — i to tego pałają, ale... w skórę! — i pobiegł czym prędzej dalej.

„Nowiny” 1854 nr 7

### NA KOŃCU STOŁU

Pewny towarzysz od senatora zaproszony na obiad, widząc że przed innymi gośćmi wielkie, przed nim zaś same tylko drobne były zastawione ryby, każda z osobna biorąc, do ucha przytykał. A gdy go o przyczynę tego spytano: „miałem” — odpowie — ojca, który utonął, pytam się więc teraz tych rybek, jeżeli o nim nie wiedzą, ale mi one powiadają że są młode i starszych się ryb pytać o to kazał.”

Zebranie gładkich i dowcipnych powieści i listów. Warszawa 1790

### SPRAWIEDLIWOŚĆ

— Ach, wydarł mi niewinność, wydarł mi skarb najdroższy — narzekala z płaczem iadna, ale trochę zalotna Różia przed sędzią powiatu, oskarżając swego uwodziciela.

— Dobrze — odpowie sędzia — widzę, że obwiniony niczym się zasłonić nie może od wynagrodzenia ci krzywdy. Ze zaś dla przeszkód rodzinnych żenić się z tobą nie jest w stanie, musi ci tu natychmiast złożyć czterysta złotych.

Winowajca, lubo się w głowę poskrobał, zapłacił jednak ilość wyrokem naznaczoną. Różia porwała chciwie nagrodę i ukłoniwszy się nisko odbiegła pełna radości.

— Idź za nią — rzecze sędzia obwinionemu — wydrzyj pieniądze i odnieś je tu na powrót.

Usiłowania jego były daremne. Przyszedł wnet z oznajmieniem, że ją znalazł silniejszą i nie mógł żadnym sposobem dopełnić tego rozkazu. Posłano za dziewczyną, ażeby się wróciła.

— Prawdaż to, że ten zuchwałec gwałtem ci znowu nagrodę chciał odebrać?

— Tak, mości sędzio — odpowie Różia z uśmiechem — lecz mam dość siły, że się obronić potrafię.

— Otóż ja odmawiam wyrok i skazuję cię na zwrot pieniędzy — rzecze roztropny sędzia — Gdybyś z podobnym usiłowaniem bronila swego honoru, jak bronila nagrody, nigdy by cię znieważać nie potrafił. Idź i bądź mędrszą na przyszłość!...

„Pszczółka Krakowska” 1819 t. 1

### RÓŻNICĘ RAKI ZJADŁY

Anegdotę poniższą opowiadał zesłańcowi politycznemu Zdzisławowi Dębickiemu kapitan Jerłykow, zastępca sprawnika w guberni orenburskiej:

Pewnego razu wiosną, kiedy w jarach stepowych dużo jeszcze jest wody, w jednym z takich jarów utonął jakiś Tatar, uganający się za dzikim ptaństwem, które zeruje nad takimi jarami. Z chwila, kiedy woda w jarze wyschła, spostrzegł topielca przejeżdżający tamteży uradnik. Nie mógł jednak ustalić jakiej płci był trup i zaznaczył to w opisanym przez siebie protokole.

— Przeczytałem protokół i, zdziwiony jego brzmieniem — opowiadał Jerłykow — pytam uradnika: jak to, nie było żadnej różnicy, po której można byłoby rozpoznać, czy to mężczyzna czy kobieta?

— Nikak niet, Wasze Wysokoblagorodie. Różnicę raki sjełi — odpowiedział z tupetem zagadnięty.

Z. Dębicki, Grzechy młodości. Warszawa 1929

### RECEPTA NA MIŁOŚĆ

Weź zalotnie dwa spojrzenia,  
Cztery długie rąk ściśnienia  
I tęsknoty cztery gramy,  
Czytelniku mój kochany.  
Wrzuc do tego łożowych łuski,  
Dodaj gramów sześć zawiści,  
Jedną uncję namiętności,  
Ze trzy łyty usyp zazdrości —  
Przysiąg... z kwartę, tylko całą  
i daj, by się gotowało.

Przedcedź potem mieszanie  
I zadawaj co godzinę,  
A dziewczucha, choć nie płoża,  
Wnet szalenie cię pokocha...

Księga wszechwiedzy... Toledo (Ohio) 1918

### GŁOS W DYSKUSJI

Gdy zamierzano sprowadzić do kraju prochy Mickiewicza i ulokować je na Wawelu, w gronie krakowskich rajców miejskich zastanawiano się nad wysokością kosztów, jakie pociągnie za sobą sprowadzenie prochów wieszczą. Wówczas jeden z radnych, w prostocie ducha, oświadczył:

— Przecież pan Mickiewicz umarł już tak dawno, że popioły jego muszą być lekkie i niezbyt kosztowne do przewozu.

Lanus humoru. Warszawa 1935

### Opracował: ANDRZEJ KEMPA



Jedną szczególnie zapowiedź zawiadnęła wyobraźnią uczestników tegorocznego zjazdu filmowców, aktorów, krytyków i kibiców polskiego kina. Oto w trakcie festiwalu miał się odbyć specjalny pokaz filmu Romana Polańskiego — według słów Zygmunta Kalużyńskiego — naszego czołowego, narodowego gwiazdora. Niemal jak w Cannes! Tyle tylko, że słynny galeon nie wypłynął do Zatoki Gdańskiej.

Zaproszenia na „Piratów” wydawano pod administracyjnym rygorem i takimiz obstrzeżeniami, jakie mogłyby na przykład obowiązywać podczas bezpłatnej wycieczki na wyspy Bahama. Nim rozpoczęła się projekcja ogłoszono, że oto sam mistrz zjawia się na jej koniec; samolot już wystartował z Warszawy i znajduje się nad Modlinem. Podczas seansu z nieskazitelną kopią z wycieczkami polskimi napisami (o co zadbał operatywny jak zwykle dyrektor ŁZWK Jerzy Zak) atmosfera Wielkiego Wydarzenia jakby zaczęła opadać. Najnowsze dzieło Napoleona światowego kina okazało się zwyczajnym filmem przygodowym, na którym dobrze będzie się bawić publiczność dzieci i nastolatki. Inaczej mówiąc, „Piraci” to konfekcja filmowa o wysokim standardzie kroju i szycia. Można sobie wyobrazić westchnienia wielu rodzimych reżyserów: gdybym to ja miał te 38 milionów dolarów, zrobiłbym takich filmów z pięci. Jednak gdy rozbiły się na widowni światła, gdy rozjarzyły się reflektory, a na estradzie wbiegł Roman Polański owacjom nie było końca. W osobie reżysera witano mit, legendę i siawę, oklaskiwano człowieka sukcesu, ale także własne marzenia i własne utrudy.

Zacząłem od „Piratów”, bo ten przykład w ogromnej mierze skupia problemy i nadzieje współczesnej kinematografii. Czy ma być dziś kino, jaka jest jego przyszłość? Jak najlepiej nawigować między Sycylią sukcesu i frekwencyjnego a Charybdą sztuki ambitnej? Ten ostatni dylemat zaczął przewijać się od jakiegoś czasu przez łamy czasopism fachowych nie tylko w Polsce. Krytyka filmowa zaniepokojona pustkami w kinach coraz częściej zaczyna zajmować się statystykami, arytmetyką i bucharterią. Dylemat ow odciśniętą się też na świadomości twórców kina, wpędził ich w kompleksy, zrodził stresy i frustracje, bo oto producenci i sponsorzy dłużej niż kiedyś zastanawiają się sygnując bankowe czeki.

Mówiło się o tym nie bez gorczy na tradycyjnym podczas gdańskiego festiwalu forum Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Najślusniejsi owe gorzkie żale podsumował w swojej wypowiedzi Jerzy Hoffman. Nieszczęściem polskiego filmu ostatnich lat jest to, że obraz, który w założeniu miał być produkcją popularną dla szerokiej publiczności ponosi porażkę frekwencyjną tak jak dzieło zrodzone z wysokich aspiracji i ambicji twórczych, a więc przeznaczone dla wąskiej publiczności, ponosi klęskę artystyczną. A to dlatego, że trzy czwarte naszych reżyserów — mówi Hoffman — nie opowiadało w stopniu dostatecznym podstawowej umiejętności filmowego opowiadania, kinowego abecadka, zatem dywagacje na temat co robić, aby zatrzymać widza w kinach, mają u nas walor pozorny.

Punkt widzenia twórcy filmowego „Potopu” potwierdził repertuar gdańskiego festiwalu. Uzmyslił także, iż mankamenty polskiego kina mają swoje źródła już na etapie scenariusza. Na 28 filmów pokazanych w konkursie trzy czwarte to adaptacje powieści i nowel. Kino wprawdzie zawsze inspirowało się literaturą, zawsze usiłowało wspierać się jej wartościami, ale zawsze też próbowało przekroczyć granicę zwykłego przekładu słowa na obrazki. W tym potopie adaptacji jakby zalewa polskie kino jest i strach przed mówieniem własnym głosem, i chęć do wartościowania własnego dzieła cudzym uznaniem i cudzą popularnością, ale i także strach przed tematem współczesnym, przed komisją zatwierdzającą scenariusze, obawa porażki. Ta fala adaptacji jest w końcu zwyczajną koniecznością, bo po prawdzie nie istnieje u nas profesja zawodowego scenarzysty, który rozumie wymogi kina i który chciałby, i potrafiłby, tym wymogom sprostać. Jedno czy dwa nazwiska, które można byłoby podać nie zmieniają ogólnego obrazu sprawy.

Przyjrzyjmy się więc co, z jakimi intencjami i jakimi efektami zaadaptowali na ekran nasi reżyserzy. Zaczę od „Siekierzady” Witolda Leszczyńskiego, bo film — według mnie dość nieoczekiwanie — uhonorowało jury nagrodą w Gdańsku najwyższą. Z tytułu i napisów w czołówce wynika, że jest to adaptacja powieści Edwarda Stachury. Wiem, że oceniając film winniśmy abstrahować od pierwowzoru, wiem, iż ekranowy efekt stanowi dzieło integralne i samoistne. Jeśli tak, to odbieram „Siekierzadę” Leszczyńskiego jako opowieść o młodym człowieku, który ni postać, ni zowad, zjawia się w lesie wśród drwali, trochę z nimi pracował, a potem gdy przysniła mu się dziewczyna z pustymi oczami postanowił wyjechać i rzucić się pod pociąg. Czy w tych obrazach zimowej puszczy, którym towarzyszy muzyka Vivaldiego, albo rodzajowych scenkach z drwalami najchętniej rozmawiającymi o zasobach alkoholowych pana leśniczego zawiera się coś jeszcze? Tylko wtedy, gdy rzecz całą odniesiemy do twórczości Stachury, do jego liryki, radości życia z naturą, do mitologii, którą zaszczerpił w świadomości młodych. Film Leszczyńskiego zaledwie to sugeruje, a może nawet i fałszuje. Bo oto usłyszałem w kuluarach taką interpretację: to film ważny społecznie, bo ukazuje tragiczny skutek (śmierć samobójcza bohatera) tych bezsensownych ucieczek od życia i rzeczywistości tak wśród naszej młodzieży obecnie rozpowszechnionych. Czy o to chodziło Leszczyńskiemu? Choć film ma swoją urodę i zrealizowany został z reżyserką maestra, nie powtarza pamiętnego sukcesu „Żywotu Mateusza”, a nazwisko Stachury jeśli sprowadzi jego miłośników do kina, to tylko po to, aby mogli potem zniechęcać tych, co filmu jeszcze nie oglądali.

Z trzech kolejnych adaptacji: „Dziewcząt z Nowolipiek” Poli Gojawiczyńskiej w reżyserii Barbary Sas, „Nad Niemnem” Elizy Orzeszkowej zrealizowanej przez Zbigniewa Kuźmińskiego i wyreżyserowanej przez Ryszarda Bera „Cudzoziemki” Marii Kuncewiczowej jurorzy dostrzegli tylko tę ostatnią obdarowując ją Nagrodą Specjalną Jury i nagrodą za najlepszą rolę kobiecą dla Ewy Wiśniewskiej. „Dziewczęta z Nowolipiek” w wersji filmowej powstały z myślą o sukcesie u publiczności, która dotąd chętnie odwiedzała kina wyświetlające adaptacje popularnej klasyki. Tym razem (film jest już od wielu tygodni na ekranach) mimo rzetelnej rekonstrukcji czasów przedwojnia, mimo bardzo dobrego aktorstwa, równie dobrej roboty realizatorskiej, kina świecą pustkami. Widza zda się nie obchodzić zgrzebna egzystencja młodych dziewcząt z biednych kamienic przedwojennych Nowolipiek. Obawiam się, że i całkiem dobra adaptacja „Cudzoziemki”, choć na mój gust nadto tradycyjna i warsztatowo solenna, aż czasami nużąca, może się sprawdzić tylko w telewizji. Duży sukces mogą natomiast wróżyć filmowi Kuźmińskiego „Nad Niemnem” w jego realizacji obala wiele rozpowszechniony mit, że powieść Orzeszkowej to staroświecka ramota o „problematyce pracy”, który notabene zgłajszachtowały wypracowania szkolne. Jury, jak widać z wedyktu, przeszło nad tym tytułem do porządku dziennego, a publiczność festiwalowa obdarowała film po projekcji długotrwałą owacją. Zaden inny tytuł pokazywany w Gdańsku pod tym względem z adaptacją Kuźmińskiego nie może rywalizować. Klaskano bo klaskano, raz żywiej, raz tylko z grzeczności, po „Nad Niemnem” najjaśniej. Czy jurorzy nie powinni zadać sobie pytania: dlaczego? Tym bardziej, że była to przecież publiczność złożona z fachowców, a nie wielbieli Stefani Harper. Szkoda więc, że film Kuźmińskiego nie otrzymał żadnej nagrody, a zasłużył to na staranną realizację, klarowną dramaturgię, dobrą aktorstwem. Nie można oglądać tej adaptacji bez wzruszenia i bez refleksji nad mądrymi i ważnymi przesłaniami, które niesie, a które dotyczą naszej narodowej przeszłości i teraźniejszości.

Z dawnej klasyki obecnej na ekranie festiwalowym można było zobaczyć adaptację A. Musseta „Spowiedź dziecięca wieku” w realizacji Marka Nowickiego, trawestację opowiadania G. de Maupassanta w filmie Stanisława Różewicza „Diabeł” oraz „Osobisty pamiętnik grzesznika”, obraz Wojciecha Hasa powstały na podstawie powieści J. Hogg. Zadziwiające to pomysły, które zmuszają do zastanowienia się nad intencjami adaptatorów. Żeby jeszcze z tych intencji zrodziły się dobre filmy! Film Hasa otrzymał nagrodę za scenografię, bo też rzeczywistość musi zwracać uwagę na gigantyczne nagromadzenie stołów, komodek, draperii,

zastaw, to bogactwo wnek, stryżków i innych zakamarków wypełnionych do ostatniego centymetra. W tych wnętrzach snuje reżyser opowieść też tajemniczą co nudną, rozciągniętą powolnym rytmem i długimi ujęciami. Obok filmu Piotra Szulkina „GA-GA chwala bohaterom”, piramidalnym absurdzie łącie surrealistycznym (ni to komiks, ni pastisz, ni kosmiczna wizja pełna dymów, huków i krzyków) obraz Hasa jest drugim przykładem artystycznej dekadencji, takiej kinowej „sztuki dla sztuki”, rafinady dla nikogo.

Adaptuje się też literaturę współczesną, prozę Dobraczyńskiego, Iwaszkiewicza, Dygata i Konwickiego. Na podstawie opowiadania pierwszego z tych autorów powstał debiutancki film Wojciecha Żółtowskiego „W cieniu nienawiści”, opowieść o latach okupacji i trudnej pomocy, jaką udzielali Polacy społeczności żydowskiej. I tym razem reżyserowi przyświecały szlachetne intencje. Jednak fałszywie i bez umiaru zastosowane w tym filmie środki artystyczne, koturnowo i z patetyczną przesadą, spowodowały, że opowiadana w filmie historia młodej Polki ukrywającej żydowską dziewczynkę gubi swoją wiarygodność i dramatyczny realizm. Można także mieć pretensje do sposobu prowadzenia aktorów (Bożena Adamkówna oparła swoją rolę na jednym grymasie, tworząc ją z histerycznym brakiem umiaru), do montażu, do metody wykorzystania ilustracji muzycznej.

Niejakiej sławy na festiwalu zażywała adaptacja opowiadania Iwaszkiewicza pt. „Zygfryd” dokonana przez Andrzeja Domaga-

## XI Festiwal Polskich Filmów Fabularnych

— Gdańsk '86

# Nie jest tak źle

GRZEGORZ GAZDA



NAD NIEMNEM  
REŻYSER: GRZEGORZ GAZDA

lika (nagrada za debiut w zakresie filmu kinowego). Najpierw po projekcji, a potem już codziennie do końca festiwalu, gdzie tylko było można, wychalał ów film bez umiaru baron Münchhausen polskiej krytyki filmowej (pozwól Czytelniku, że poprzestaną na takim pseudonimie). Trzeba przyznać, iż ten przykład prozy Iwaszkiewicza o strukturze opowiadania z wyraźnie zaznaczoną rolą narratora nie był łatwy do adaptacji. Trzeba było więc wymyślić dialogi i monologi, trzeba było, wyraźniej skontekstyzować to wszystko co u autora „Panien z Wilka” jest tylko aluzją, nie dopowiedzianą sugestią. Reżyser to wszystko zrobił, tyle tylko, że „humanista o wszechstronnych zainteresowaniach” Stefan Drawicz (tę rolę gra jakby bez przekonania G. Holubek) opowiada niebotyczne banały, a samobójczy gest Zygfryda (u Iwaszkiewicza wynika on z motywacji egzystencjalnych) w wersji filmowej staje się kryminalnym elementem wymyślonej przez Domagalikę anegdoty. Gdyby nie sympatyczny w końcu od twórcy roli tytułowej Tomasz Hudziec, film trzeba byłoby odbierać jako wprawkę reżyserką.

Więcej szczęścia miał Dygat i Konwicki. „Jezioro Bodeńskie” tego pierwszego, w reżyserii Janusza Zaorskiego, pojawiło się w Gdańsku w aurze laureata głównej nagrody na festiwalu w Locarno. Film to rzeczywiście interesujący i — jak się często powiada — zrealizowany z dużą kulturą. Może zbędne i nazbyt ornamentyczne jest dosmaczenie tego obrazu ramą współczesną (podobne zastrzeżenie można zgłosić do filmu Andrzeja Wajdy według „Kroniki wypadków miłosnych” T. Konwickiego), która niczego nie dopowiada. Dzięki Dygatowi film Zaorskiego skrzy się mądrym sceptycyzmem na temat naszej historii, naszych narodowych uroszczeń i mitów. Mroźkowsko-gombrowiczowska to aura, która każe także przyrzeć się uważniej polskiej przeszłości ostatnich lat, żeby nie powiedzieć, młodości. To chyba zadecydowało o nagrodzie w Locarno jako podzwonne do rozbuchanej w świadomości Zachodu „sprawy polskiej”. Jury jakby w obawie nadmiaru szczęścia dla reżysera nagrodziło tylko aktorów Krzysztofa Pieczyńskiego (za najlepszą rolę męską) i Marię Pakulińską (za rolę drugoplanową).

„Kronika wypadków miłosnych” Andrzeja Wajdy prezentował poza konkursem. Może to był gest wielkiego mistrza, który pozostawił wielokodnie pole turniejowe młodym, a może decydowały o tym względy jeszcze inne — nie wiem. Tak czy inaczej publiczność z sympatią przyjęła ostatnie dzieło twórcy, a jego samego wraz z dużą ekipą gorąco aplaudowała w sali kina „Leningrad”. Projekcję zaszczyli także Roman Polański i był to pierwszy od lat film polski, który zdołał być obejrzyć. „Kronika wypadków miłosnych” jest tym dla Wajdy, czym była dla Konwickiego: w twórczości każdego artysty jest moment do powrotu we własną młodość „górną i durną”, we własną przeszłość na polu sielska, na polu dramatycznym. Tak też odbiera ów film Wajdy publiczność, tym bardziej, iż zrealizowany został w nieskazitelnym stylu, ze znakomitymi zdjęciami Edwarda Klosińskiego, z ujmującym „naiwną” grą młodych aktorów.

Nim przejdę do filmów o tematyce współczesnej jeszcze jeden tytuł jeszcze jednej adaptacji, także pokazanej poza konkursem, bo jej twórca, Jerzy Majewski, pełnił funkcję przewodniczącego jury. „Czy kino jest jeszcze potrzebne? Takie pytanie — mówił — na łamach „Gazety Festiwalowej” — wisi w powietrzu. Jeszcze nikt nie ośmiela się wprost go stawiać, ale tkwi ono w tych licznych utyskiwaniach, pretensjach, raportach o kryzysie, o spadku frekwencji, o astronomicznych kosztach, niewyobrażalnych nakładach, deficytach i dotacjach”. Cytuję tę wypowiedź nie bez przyczyny, bo oto Jerzy Majewski, twórca wystylizowanych i „eleganckich” filmów, żeby przypomnieć choćby „Sublokatora” i „Lokisa”, stworzył film populistyczny — albo żeby powiedzieć wprost — koszarowa komedie, do oglądania której ustawiać się będą długie kolejki (już je widziałem), „C.K. Dezertery” w jego reżyserii na pewno nie będą filmem deficytowym, a to dzięki po mistrzowsku wprowadzonej komediowej dramaturgii, dzięki bly-

skotliwie zagrany rolom, dzięki dowcipowi i gagom, które są prawdziwie śmieszne. Czy można chcieć więcej od polskiej komedii?

Wreszcie temat współczesny i filmy, które powstały w oparciu o oryginalne scenariusze, albo o teksty literackie mniej znane i wyraźniej przetworzone. Narzeka się na tę dziedzinę uprawianą przez polskie kino. I trzeba rzec, że — mimo różnorodnych obiektywnych a negatywnych uwarunkowań — słusznie. Tegoroczny gdański festiwal przyniósł jednak parę tytułów, o których warto mówić. Myślę tu przede wszystkim o jednym z najlepszych w Gdańsku, jeśli nie najlepszym, filmie Tomasza Zygadły „Sceny dziecięce z życia prowincji”, opowieści o „dojrzwaniu ideowym” młodego nonkonformisty z końca lat siedemdziesiątych. W realistycznej konwencji chłodnej obserwacji twórca przemieszcza bohatera ze środowiska pazernego rzemieślnika w sferę wojewódzko-prowincjonalnych prominentów, aby dopełnić jego edukację sentymentalną i światopoglądową w rodzinie rządzonej autorytarnie przez emerytowanego polityka i działacza z najwyższych szczebli władzy (absolutnie znakomity w tej roli Henryk Bista, który wystylizował ją z wewnętrznym ciepłem, nieco zgrzytliwym sceptycyzmem i mądrością). „Sceny dziecięce...” nawiązuje w sposób nader jawny do fabuły „Czerwonego i czarnego” Stendhala, którego bohater Julian zdobywa swoją wiedzę egzystencjalną i społeczną tym razem w warunkach socjalistycznej Polski u schyłku lat edwardiańskich. Pomysł, zdawałoby się, ryzykowny. Jednak w rezultacie powstał dobry i ważny film, który w niebłahy sposób przynosi prawd o naszej psychologicznej i socjologicznej rzeczywistości. Film nie otrzymał w Gdańsku żadnej nagrody.

Równoległe ze znanymi i uznanymi filmami, takimi jak „Dreszcze” Marczewskiego i „Wahadko” Bajona powstawał „Wielki bieg” Jerzego Domaradzkiego. Oglądamy go dopiero teraz czyli mniej więcej po pięciu latach. I szkoda, bo dzisiaj ten film odbiera się po trosze w kategoriach socrealistycznego folkloru lat pięćdziesiątych, folkloru już po wyżej wymienionych filmach (można jeszcze tu przypomnieć i „Człowieka z marmuru” i inne mniej oglądane tytuły) nieco przebrzmiałego lub włońskiego. Jednak i dzisiaj jeszcze, dzięki bardzo dobremu zamysłowi scenariuszowemu (Feliks Falk), profesjonalizmowi warsztatu (Srebrny Lew za reżyserię) i dobremu aktorstwu film jest wart oglądania.

Dziennikarze naprawili oczywisty błąd jury i obdarowali swoją nagrodą film Magdaleny Łazarkiewicz „Przez dotyk”. Wprawdzie można argumentować, że nic się nie stało, bo film już dostrzeżono i honorowano (także za granicą) zatem niech i inni mają coś z laurów. Tyle tylko, że nagrodzono w Gdańsku wiele innych filmów, którym daleko, w sensie myślowym i artystycznym, do debiutu Magdaleny Łazarkiewicz, która w sposób lirycznie subtelny opowiada o granicy między życiem i śmiercią, między miłością i nienawiścią. Film bergmanowski — ktoś powiedział. Może dlatego, że bohaterkami są dwie kobiety (w roli jednej z nich Maria Clunelis — wielka przegrana gdańskiego konkursu — której aktorstwo błyszczało jeszcze w „Dziewcząt z Nowolipiek”) postawione w obliczu spraw ostatecznych? Artystyczne zasługi tego filmu zawierają się także w fotografii: autor zdjęć Krzysztof Pakuliński otrzymał nagrodę jury. W wedykcie przy jego nazwisku wymieniono jeszcze „Ucieczkę” Tomasa S. Szadkowskiego, uhonorowanego raczej za zasługi w nagrodzie za debiut w kategorii filmu telewizyjnego. Zastrzeżenie wyrażające się w słowie „raczej” bierze się stąd, że doceniając umiejętności realizacyjne młodego reżysera mam wątpliwości co do walorów scenariusza (autorem jest sam reżyser), o konwencjonalnych i już wyeksploatowanych przez literaturę i film pomysłach. Podróż „przez życie” dziewczyny z marginesu z niedorozwiniętym uciekinierem ze szpitala psychiatrycznego nie tworzy zbyt wielu nowych treści i myślowych przesłań.

Dalej, dwa filmy „gorące”. Jeden to „Weryfikacja” ze scenariuszem i w reżyserii Mirosława Gronowskiego (środowisko dziennikarzy po grudniu 1981 roku); drugi, to kontynuacja „Godności”, również w reżyserii Romana Wionczka, zatytułowany „Czas nadziei” (rodzina Szostaków w społecznych i politycznych sytuacjach stanu wojennego). W obu przypadkach trudno coś pozytywnego powiedzieć. Film Gronowskiego rozsada nieprawdopodobieństwo rozwiązań fabularnych i jakby obawa przed wypowiedzeniem pewnych prawd wprost, natomiast film Wionczka rozpada się na szereg „żywych obrazów” z nazbyt nachalnie wyłożoną tezą. Jak „Godność” ogląda się nie bez emocji, tak „Czas nadziei” wydaje się chłodny i zbanalizowany niekiedy aż do przesady.

Na marginesie filmu Wionczka trzeba zauważyć, że nader rzadko udaje się reżyserom, którzy wracają do dawniej podejmowanych wątków, powtórzyć poprzedni sukces. Przykładem tego były w Gdańsku dwa dalsze filmy. Pierwszy to Feliksa Falka „Bohater roku” (Srebrny Lew za reżyserię), który przynosi wodzireja znanego widzom z filmu sprzed kilku lat w czas teraźniejszy. Nazbyt prosty to zabieg, który oprócz paru istotnych społecznie obserwacji, nie już do charakterystyki postawy Danielaaka nie wnosi. Scenariusz wika go w sprawy, które są kalką sytuacji znanych i eksploatowanych w „Wodzireju”. Drugim przykładem są „Podróże Pana Kleksa” Krzysztofa Gradowskiego. Ale o tym filmie niech dyskutują ci, dla których reżyser swój film zaadresował.

Chęć podjęcia tematu współczesnego kierowała intencjami twórców kolejnych dwóch filmów prezentowanych w Gdańsku. Mieczysław Waśkowski w obrazie „Epizod Berlin-West” usiłował przedstawić tragiczny finał polskiego pisarza, który zdecydował wracać do kraju i „wybrał wolność”. Nie udało się ten film a to przede wszystkim ze względu na zgrzytliwe dysonanse między obrazem i słowem, między szlachetnymi intencjami realizatora a miłkami banałami, które wypowiada ekranowy pisarz. Widz nie może przyjąć z powagą przemysia egzystencjalnych literata, gdy ogląda go w tym momencie w dość wymyślnej pozie seksualnej z kapitalistyczną prostytutką. To wszystko musiało być widoczne w scenariuszu (Jerzy Ofierski) i aż dziw bierze, że tak doświadczony reżyser zabrał się do jego realizacji.

Nie odniósł sukcesu swoim ostatnim filmem Franciszek Trzeciak zatytułowanym „Na całość”. Ten sensacyjny dramat kryminalny zwłaszcza w swoim prologu (ilustracja tezy „z żyru biesiasty”) nastroja odbiór komediowy a przecież nie jest to komizm zamierzony. Potem rzecz się stabilizuje i jeśli bohaterowie nie wypowiadają żadnych kwestii, film staje się całkiem strawnym. W każdym razie nie wywołuje irytacji, jak to dzieje się co raz w przypadku „Złotego pociągu” Bohdana Poręby. Fabularnym kościem tego filmu jest historia ewakuacji polskiego złota we wrześniu 1939 roku z Warszawy przez Rumunię do portu nad Morzem Czarnym. Czy można sobie wyobrazić lepszy materiał na emocjonujący film w konwencji westernu (o takich swoich intencjach mówił reżyser)? Tyle tylko, że trzeba byłoby to umieć dobrze opowiedzieć. Łamie się dramaturgia, urywa ją wątki, gubi się widz. A i aktorom postawiono zadania ponad ich warsztatowe możliwości (Ewa Kulińska w roli Renaty jest po prostu śmieszna). Tombakowy to — niestety — pociąg, a szkoda.

Tyle o przedstawianych na festiwalu filmach. Wiele z nich w tym sprawozdaniu pominąłem, bo albo już są dobrze znane polskiej publiczności (np. „Kochankowie mojej mamy” Radosława Piwowarskiego — nagroda za scenariusz dla Janiny Zajacówny i Radosława Piwowarskiego oraz telewizyjna „Lucyna” Andrzeja Barańskiego) albo umknęły mojej uwadze. Nikt w Gdańsku w ciągu tygodnia (8—15 września) nie był w stanie obejrzyć wszystkiego (konkursowi towarzyszyła tzw. sekcja informacyjna, w ramach której pokazano całą resztę wyprodukowanych ostatnio filmów).

Tytuł tego sprawozdania, a i jego treść wyraźnie chyba wskazuje, z jakimi wrażeniami na temat polskiego filmu wyjeżdżałem z Gdańska. „Arcydzieła nie było” — stwierdził na zakończenie samokrytycznie prezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich Jerzy Majewski. I rzeczywistość. Jednakowoż z tego co nasi filmowcy na festiwalu zaprezentowali da się wybrać i „coś dla ludzi” i sporo, dla wymagających krytyków. A że przydarzyło się kilka ewidentnych gniotów? Takie jest ryzyko każdej działalności artystycznej.



# Polemiki • Listy • Opinie

W związku z publikowaniem w Waszym Tygodniku nr 31, 32 i 34 artykułów dotyczących ochrony środowiska w rejonie Belchatowskiego Okręgu Przemysłowego — przesyłam w załączeniu informacje na poruszone tematy. Rozumiejąc i podziwiając troskę autorów o ochronę środowiska naturalnego nie sądzę, aby byli przeciwni rozwojowi naszej gospodarki i aby byli wrogami postępu. Nie sądzę również, aby sami z tego postępu nie korzystali np. rezygnując z użytkowania prądu elektrycznego, czy poruszając się po terenach BOP na piechotę.

Dlatego dziwię mnie niektóre sformułowania zawarte w wymienionych wyżej artykułach oraz podanie wielu nieścisłych lub nawet nieprawdziwych informacji wprowadzających w błąd opinię publiczną. Nie sądzę aby taki cel przyświecał Redakcji i dlatego będę bardzo zobowiązany za opublikowanie naszego sprostowania stosownie do art. 32 Prawa Prasowego.

MGR INŻ. STANISŁAW DROZDOWSKI

Dyrektor Kopalni Węgla Brunatnego Belchatów w budowie

## Czy „Belchatów” spowoduje katastrofę ekologiczną?

Takie pytanie nasunie się każdemu z nas po przeczytaniu artykułu Panów Redaktorów R. Kubiaka i P. Tomaszewskiego pt. „Nasz Belchatów — świat, który musi zginąć”.

Las, torfowiska, laki pachnące, trudno przejezdne i podmokłe drogi, gnienie dziesiątki małe skupiska ludzi. Drewniane chaty pokryte strzechą, brak światła, a przede wszystkim niska stopa życiowa, spowodowana małą dochodowością gospodarstw o słabych glebach. Słowo — piękny, sielski krajobraz, niczym w „Starej baśni” Kraszewskiego.

I nagle sensacja — jest węgiel — jest rok 1960. Kopać — czy nie kopać? Zdaniem rządu — tak, zdaniem autorów artykułu — nie!

„Nech ludzie żyjący w tym sielskim krajobrazie rozwijają się dalej, ale w inny sposób, np. z rolnictwa na glebach klasy V i VI, kowactwa lub zbieractwa runa leśnego.

I w tym miejscu można postawić pytanie — czy autorzy artykułu poprzez negowanie celowości budowy ZGE Belchatów, negują również wszelką działalność przemysłową, gdyż nie można jej sobie wyobrazić bez ingerencji w środowisko.

To, że zmiany jakie nastąpiły w środowisku naturalnym przedstawiono w artykule w sposób tendencyjny i że pewne zjawiska i fakty zostały przekolorowane, to my budowniczości ZGE wiemy, ale czy Czytelnik nie będzie miał wątpliwości co do celowości budowy „Belchatowa”?

Oczywistym jest, że mimo realizacji szerokiego programu oszczędzania energii elektrycznej — elektrownie trzeba w Polsce nadal budować, to my wszyscy wiemy. Wiemy również, że istnienie na mapie gospodarczej kraju kompleksu paliwowo-energetycznego „Belchatów” jest niezbędne dla bieżącego funkcjonowania gospodarki oraz jej dalszego rozwoju i poziomu życia społeczeństwa.

Z drugiej jednak strony naturalnym i zrozumiałym jest zaniepokojenie społeczeństwa wpływem budowy odkrywkowej kopalni węgla brunatnego i elektrowni spalających to paliwo — na otaczające środowisko.

W bieżącej 5-letniej przystawie energii elektrycznej kraju opiera się w sposób zdecydowany na bazie elektrowni „Belchatów” i gdyby „Belchatowa” nie było, to już dzisiaj Panowie Redaktorzy pisaliby zapewne swój artykuł w blasku świecy. Można zadać sobie także pytanie: czy budowa — tak potrzebna — zagłębia paliwowo-energetycznego jest ewenementem w skali światowej? Jak przedstawia się sytuacja na świecie?

Obecny zapas węgla brunatnego stanowi 18,9 proc. rozpoznanych zasobów energetycznych świata. Węgiel kamienny stanowi 11,5 proc. naszych zasobów, ropa naftowa 5,9 proc., gaz ziemny 1 proc., a uran 1,9 proc. (dane z 1981 r.). Liczby te wskazują na bezsprzecznie doświadczenia węgla brunatnego w energetyce światowej w przyszłości. W 1981 r. przy światowej produkcji węgla brunatnego 1.001 mln ton — Polska wydobyla 36 mln ton, zajmując 7 miejsce (11 miejsce NRD — 260 mln ton).

Największym światowym ośrodkiem wydobycia węgla brunatnego, wykorzystywanego od 75 lat do produkcji energii elektrycznej jest Nadrenie w RFN. Łączne wydobycie sięga tam 120 mln ton rocznie, a moc zainstalowana elektrowni wynosi 12.500 MW. Wszystkie te elektrownie mają zdecydowanie gorsze warunki wyrzutu spalin (kominy 1-przewodowe wysokości max. 160 m), nie posiadają dotychczas urządzeń odsiarczających spalin. Skuteczność odprowadzenia spalin w elektrofiltrach wynosi 93—99,5 proc. W NRD na Łużycach pracuje kilka elektrowni opalanych węglem brunatnym. Po zakończeniu budowy Elektrowni Janschwalde łączna ich moc wyniesie 9.800 MW. Elektrownie te nie są wyposażone w instalacje odsiarczania spalin. W Australii pracują elektrownie opalane węglem brunatnym o łącznej mocy 7.000 MW, które również nie posiadają tych urządzeń. W USA pracują dwie elektrownie opalane węglem brunatnym i planuje się budowę dalszych. W samym tylko Teksasie w 2000 r. łączne wydobycie sięgać będzie 200 mln ton rocznie.

Już z tego krótkiego przeglądu ważniejszych zagłębi paliwowo-energetycznych wynika, że budowa w Polsce BOP-u nie jest przedsięwzięciem ułgakim. Warto natomiast dodać, że zagłębia paliwowo-energetyczne pracujące w świecie niejednokrotnie już po kilkadziesiąt lat, mimo skupienia na stosunkowo małym obszarze, posiadają większe zdolności „producyjne” i dużo gorsze warunki wyrzutu spalin niż spowodowałyby nigdzie inne ekologicznie.

Skala przemian w rejonie BOP-u dla ludzi spoza kręgu uczestniczących w realizacji tej inwestycji może być zrzęczywiście zaskakująca, ale nie jest to równoznaczne z degradacją środowiska, a tym bardziej z tragedią ekologiczną.

Ta wielka inwestycja przyniosła większości mieszkańców tego rejonu dobrodziejstwo w postaci poprawy standardu życia, czego na uboższych terenach nigdy by nie osiągnęli.

Przykrym jest fakt, że w artykule nie znajdujemy słowa na temat działań podejmowanych przez budowniczych BOP-u, aby świat, o którym piszą autorzy artykułu nie musiał zginąć. Ponieważ nie ma takiego kierunku wpływu szkodliwego oddziaływania kompleksu górniczo-energetycznego Belchatów na środowisko naturalne, którego by nie przewidziano, nie przebadano w formie naukowych opracowań prognostycznych i nie zmierzano do całkowitego wyeliminowania lub skutecznego ograniczenia, dlatego też w wielkim skrócie przedstawiamy działania Kopalni i Elektrowni Belchatów na rzecz ochrony środowiska, związane głównie z rekultywacją gruntów, zmianą stosunków wodnych i zanieczyszczeniem powietrza.

W 1960 roku, we wsi Piaski leżącej kilkanaście kilometrów na południe od Belchatowa — Przedsiębiorstwo Poszukiwań Naftowych z Pły wywierciło otwór, w którym stwierdzono występowanie grubej warstwy węgla brunatnego. Po szczegółowych badaniach stwierdzono występowanie zasobnego złoża, nazwanego złożem Belchatów, zawierającego ponad 2 mld ton udokumentowanych zasobów przemysłowych węgla energetycznego.

Wartość energetyczna złoża w przeliczeniu na inny rodzaj paliwa stanowi równowartość: ponad 600 mln ton węgla kamiennego lub 400 mld m sześć. gazu ziemnego, albo też 360 mln ton ropy naftowej.

Czy można przejść obojętnie obok takiego bogactwa?

Budowę KWB „Belchatów” rozpoczęto w 1975 r. na podstawie Uchwały Rady Ministrów nr 163/75. Wpływ tej inwestycji na środowisko jest różnorodny i wyraża się on w zmianach walorów:

— naturalnych (krajobrazowych, klimatycznych, hydrologicznych, przyrodniczych),  
— kulturowych (turyistyczno-wypoczynkowych, zmiany struktury i charakteru zabudowy),  
— gospodarczych (zmiany w zakresie infrastruktury i bonitacji gleb).

Do najbardziej zauważalnych należy zaliczyć zmiany w charakterze użytkowania gleb. Ulegała ona przeobrażeniu mechanicznym podczas zbierania nadkładu w celu udostępnienia złoża oraz w trakcie tworzenia zwałowisk zewnętrznych nadkładu. Najbardziej jednak istotne są zmiany ukształtowania powierzchni terenu, powstające w wyniku eksploatacji węgla.

Widoczne z daleka zwałowiska odsoniaste, niekiedy powstające po wybraniu złoża, obiekty przemysłowe — te wszystkie elementy

znaczą najpikarniejszą nawet okolicę. Jednak roboty ziemne zakrojone na tak wielką skalę stanowią zarazem jedną w swoim rodzaju szansę stworzenia nowych walorów przestrzennych, wprowadzania form z góry przystosowanych do przejęcia przyszłych funkcji. Przy zachowaniu równowagi hydrogeologicznej, zapewniającej normalną wegetację roślin, umiejętnym wkomponowaniu dróg i obiektów architektonicznych w teren oraz dodatkowych zadrzewień — można zapobiec degradacji krajobrazu, a czasem wręcz podnieść jego waloryzacja. Przykładem może być rejon odkrywkowej eksploatacji węgla brunatnego koło Kolonii w RFN. Na ogromnym obszarze zwalowskim urządzono tereny rekreacyjne, za które autorzy koncepcji uzyskali „Nagrodę Europy”. Jako podobny przykład można podać ośrodek Knappensee koło Budziszyna w NRD. W przypadku Kopalni Węgla Brunatnego „Belchatów” przed przystąpieniem do eksploatacji złoża rozważano wszystkie możliwe warianty eksploatacji, przeprowadzono analizy jakości i wielkości zmian, jakie spowoduje ona w środowisku oraz analizy nakładów koniecznych dla przeprowadzenia rekultywacji i zagospodarowania terenu dla nowej funkcji. W rezultacie takiego postępowania, poprzez odpowiedni dobór czynników górniczo-technologicznych, technologii eksploatacji, zwalowania i odwodnienia — wielominnowano już na etapie projektowania wiele mogących wystąpić trudności, a szkody jakie spowodują budowa kopalni w środowisku naturalnym, zmniejszono do minimum.

## REKULTYWACJA TERENÓW POEKSPLOATACYJNYCH

W środowisku naturalnym Belchatowskiego Okręgu Przemysłowego występuje przekształcenie grożące istotnym zaburzeniem systemu ekologicznego. Łagodzenie i naprawa tych zmian, spowodowanych między innymi wylesieniami i zajmowaniem znacznych powierzchni użytków rolnych odbywa się przez szybką rekultywację tych terenów i ponowne ich zagospodarowanie. Kierunków rekultywacji terenów poeksploatacyjnych Kopalni „Belchatów” nie ustalono na podstawie panującej mody, lecz na podstawie obiektywnych przesłanek, po wcześniejszym rozpoznaniu czynników siedliskowych i rozmaitych elementów towarzyszących. W rozstrzygnięciu regionie planowano przede wszystkim odtworzenie harmonijnie funkcjonującego ekosystemu.

Wszystkie tereny zajęte przez Kopalnię — bezpośrednio po zakończeniu na nich prac górniczych poddawane są zabiegom rekultywacyjnym, które zapoczątkowano w 1977 r., tj. w momencie usypiania pierwszego fragmentu skarp starych zwałowiska. Do końca 1985 r. zrekwitywowano 390 ha skarp starych zwałowiska (w tym budowa biologiczna objęła 367 ha), 18,5 ha wierzchowy zwałowiska i 93 ha terenów pomocniczych. Wyszadono około 3,9 mln szt. drzew i krzewów, średnio około 15 tys. szt./ha. Roczne zużycie sadzonek sięga 300 tys. sztuk, przy czym ze względu na trudności w nabyciu tak potrzebnych ilości materiału sadzonego i wysokie koszty — Kopalnia w ramach eksperymentu, we własnym zakresie podjęła produkcję sadzonek na zwałowisku i u jego podnóża.

Obudowa biologiczna skarpy zwałowiska prowadzona jest na podstawie wyników doświadczeń polowych, rozpoczętych w 1978 r. przez Instytut Kształtowania i Ochrony Środowiska AGH w Krakowie. W ramach tych doświadczeń Instytut analizuje wzrost i rozwój różnych gatunków i odmian drzew i krzewów w warunkach odmiennych siedlisk gruntowych występujących na zwałowisku, opracowuje metody właściwego doboru gatunkowego roślin, skutecznego nawożenia mineralnego oraz bada sposoby neutralizacji gruntów toksycznych. Wynikiem tych badań są wycieczne dla wdrożenia działalności rekultywacyjnej leśnego zagospodarowania skarpy zwałowiska. Ponadto na prawie 20 ha wierzchowy zwałowiska prowadzone są prace doświadczalne nad rolniczym kierunkiem jej zagospodarowania. Do budowy 1,5 m warstwy urodzajnego gruntu wykorzystuje się możliwość selektywnego zwalowania na wierzchownie gębotwórczych, czwartorzędowych mułków i piasku, obficie zalegających w nadkładzie złoża węgla. Wg opinii naukowców istnieje szansa na stworzenie warunków do powstania w ten sposób gleby bardzo dobrej jakości, nadającej się do intensywnej produkcji polowej, sadowniczej i warzywniczej. Wiosną 1984 r. rozpoczęto doświadczenia w zakresie doboru właściwych zabiegów agrotechnicznych i najlepiej plonujących roślin. Badania te prowadzi Instytut Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa Puław, a ich wyniki wykorzystane zostaną w projektowaniu kierunków rekultywacji przyszłych zwałowisk.

W ramach zagospodarowania terenów pomocniczych, przed 6 laty na 13 ha założono sad jabłoniowy, nawadniany kropelkowo. Instytut Sadownictwa i Kwiaciarstwa w Skierniewicach prowadzi tu prace badawcze nad możliwością sadowniczego wykorzystania gruntów w warunkach deficytu wodnego. W przypadku uzyskania pozytywnych wyników planuje się powiększenie upraw sadowniczych do około 200 ha.

Przedmiotem konsultacji z tymże Instytutem jest także możliwość założenia na południowym zboczu zwałowiska doświadczalnego sadu z uprawa ciepłolubnych krzewów jagodowych i drzew pestkowych.

Doświadczalnie prowadzi się również rekultywację o kierunku specjalnym, tj. przystosowanie części zwałowiska zewnętrznego do celów rekreacyjnych. W ramach tego eksperymentu wybudowana została na jego wschodnim zboczu trasa narciarska o długości 780 m i różnicy wysokości 126 m. Narciostada — wyposażona w wyciąg orczykowy oraz tzw. „wyrwiączkę” — cieszy się ogromnym powodzeniem wśród narciarzy, o czym świadczy zarówno frekwencja, jak i znaki rejestracyjne samochodów amatorów tego typu rekreacji.

Obecnie, wyrażona w liczbach bezwzględnych powierzchnia gruntów zrekwitywanych w stosunku do zajętych wydawać się może niewielka. Pamiętaj jednak należy, że Kopalnia „Belchatów” znajduje się w okresie budowy, zaś rekultywacja prowadzona być może tylko na terenach, na których zakończono już działalność górniczą.

Rozważając problem rekultywacji gruntów i poprawy ich jakości — w aspekcie działań Kopalni na rzecz ochrony środowiska — wskazać także należy na zaistniałą szansę odkwaszenia gleb w tutejszym regionie, których przed budową ZGE aż 90 proc. wykazywało nadmierne zakwaszenie. Kreda leżająca, zalegająca w nadkładzie węgla w sposób nieciągły, w postaci pięciu pól — oceniona została przez UJOP Puław pozytywnie pod względem przydatności dla rolnictwa. Wobec dużego zapotrzebowania lokalnego rolnictwa na nawozy wapniowe, jak i brak innych lokalnych źródeł tego surowca — stała się ona cennym nawozem wapniowym, przy czym posiada także zalety jak: stosunkowo duża miękkość i brak skłonności do zbrznięcia się. W bieżącym roku wydobycie 88.211 ton tego surowca, a w najbliższej przyszłości planuje się wydobycie na poziomie 500.000 ton rocznie.

## ZMIANA STOSUNKÓW WODNYCH

Możliwość eksploatacji złoża węgla brunatnego wiąże się z koniecznością wczesniejszego odwodnienia górotworu. Wody kopalniane, pochodzące z odwodnienia, ze względu na jakość określane są jako:

— wody czyste — odpowiadające I i II klasie czystości, pochodzące z odwodnienia węglanego, odprowadzane bezpośrednio do odbiorników,  
— wody brudne — ujmowane w wyrobisku odkrywkowym, które po oczyszczeniu do II klasy czystości w osadniku wód brudnych — również odprowadzone są do odbiornika powierzchniowego, tj. do rzeki Widawki. Wody kopalniane trzucane do Widawki polepszają jakość jej wód poprzez zmniejszenie mineralizacji ogólnej, a także wyraźnie powodują obniżenie poziomu azotanów, których stężenie małe jest 6,69 mg NO<sub>3</sub>/dm sześć. do 0,42 mg NO<sub>3</sub>/dm sześć. oraz wskaźnika BZT<sub>5</sub>, który zmniejsza się z 2,53 do 1,43 mg/dm sześć.

Na podstawie wieloletnich obserwacji oraz analiz jakości wód zrzuconych przez urządzenia odwadniające teren odkrywkowy można stwierdzić, że poziom zanieczyszczeń w zakresie takich parametrów jak: tlen rozpuszczalny, BZT<sub>5</sub>, utlenialność, chlorki, siarczany, twardość całkowita i substancje rozpuszczone — nigdy nie przekroczył stężeń dopuszczalnych dla I i II klasy czystości wód powierzchniowych, a Kopalnia nie ponosiła żadnych kar z tytułu przekroczenia poziomów zanieczyszczeń wód. Przykładem na ponacze powyższego stwierdzenia może być sprawnie funkcjonujący Górniczy Ośrodek Wypoczynkowy „Wawrzokowizna”, zlokalizowany na odcinku rzeki Widawki — za zrzućtem wód kopalnianych, 22-hektarowy zbiornik wodny, obficie zarosnięty, zbudowany na bazie wód z pompowania węglanego i oczyszczonych wód z pompowania powierzchniowego — jest przyrodniczym „rajem dla wędkarzy”.

Bezpośrednim ujemnym skutkiem odwodnienia Kopalni jest powstanie leja depresyjnego. W wyniku licznych, terenowych doświadczeń prognostycznych jego średni docelowy promień zasięgu określano na 16 km — co daje powierzchnię 805 km kw. Na koniec 1985 r. zasięg

leja depresji wynosił średnio 11,9 km i był mniejszy od wielkości prognozowanej.

W wyniku oddziaływania leja depresji następuje zanik wody w płytkich studniach gospodarskich. Dlatego też w ramach naprawy tej szkody górniczej — dla wszystkich osiedli w obrębie prognozowanego, maksymalnego zasięgu depresji zaprojektowano budowę głębokich studni ujęciowych wraz ze stacjami uzdatniania i sieciami wodociagowymi. W zasięgu wpływu odkrywkę Belchatów i Szczerców przewidziano budowę 47 głębokich ujęć podziemnych o łącznym zapotrzebowaniu na wodę w ilości 6.730 m sześć. na godzinę. Ujęcia te będą zasilały sieć grupową, obejmującą 350 wodociągów wiejskich. Dotychczas wykonano 44 studnie, stanowiące 23 ujęcia wody oraz ukończono budowę 18 grupowych sieci wodociagowych o łącznej długości 1.652 km. Dotychczasowy koszt tego przedsięwzięcia wynosi 2.558 mln zł, a woda dostarczana jest do prawie 14 tys. odbiorców, którzy dopiero teraz, po wybudowaniu wodociągów — mają ciastki dostęp do czystej, zdrowej wody.

Obniżenie zwierciadła wód podziemnych wpływa na zmianę stosunków wodnych w glebach. Pierwsza praca dotycząca destrukcyjnego wpływu leja depresji na plonowanie gruntów rozpoczęła została w 1973 r., tj. przed rozpoczęciem odwadniania złoża. Pierwotne prognozy wpływu Belchatowskiego Okręgu Przemysłowego na środowisko przyrodnicze niejednokrotnie przedstawiane były jako katastroficzna zagłada ekologiczna regionu.

Dziś, po jedenasztu latach działalności Kopalni i pięciu latach pracy Elektrowni, wyniki badań terenowych, prowadzonych przez szereg liczących się w kraju placówek naukowo-badawczych w zakresie uwilgotnienia gleb, ich przemian fizyko-chemicznych i produktywności — nie potwierdzają zaistnienia pierwotnie zakładanych rodzajów i wielkości zmian w użytkach rolnych. Dotychczas nie odnotowano bowiem zauważalnych zmian w plonach upraw na gruntach ornych, a powstałe szkody w użytkach zielonych są znacznie mniejsze od pierwotnie prognozowanych. Opracowanie i stała weryfikacja prognozy szkód górniczych na gruntach ornych i użytkach zielonych na podstawie pomiarów plonów żyta, owsa, ziemniaków i siana w wertypach gospodarkach rolnych prowadzi Instytut Kształtowania i Ochrony Środowiska AGH Kraków.

Prognoza została opracowana dla 250 wsi usytuowanych w zasięgu leja depresji i podaje spadki plonowania w użytkach rolnych, uśredniane ze spadkiem produktywności gleb, który wyniesie: Spadek plonowania w proc.: 0,10—20, 20—30, 30—40.

Powierzchnia gruntów w proc.: 53,3, 20,2, 10,3, 7,2.

## ZANIECZYSZCZENIE POWIETRZA

Bedaca w budowie Elektrowni Belchatów I — przy swej docelowej mocy 4.320 MW i roboczym czasie wykorzystania mocy zainstalowanej 6.500 h — będzie zużywała rocznie około 36 mln ton węgla brunatnego i będzie niewątpliwie dużym źródłem zanieczyszczeń powietrza atmosferycznego. Nie podważając konieczności budowy elektrowni można zadać pytanie: co zrobiono, by ów wpływ elektrowni na środowisko był jak najmniejszy i czy grozi nam, jak sugerują wręcz autorzy artykułu, tragedia ekologiczna w środku Polski?

Prace nad lokalizacją elektrowni prowadzone już w latach 1972—1974. Jednym z głównych kryteriów tych prac była maksymalna ochrona środowiska naturalnego. Prace te prowadzi Energoprojekt w Warszawie i Krakowie przy współudziale szeregu innych placówek naukowo-badawczych, dzięki czemu już na etapie projektowania najnowocześniejsze środki techniczne, mające na celu zmniejszenie wpływu elektrowni na środowisko naturalne. W myśl obowiązujących przepisów, Elektrownia — jako przedsiębiorstwo prowadzące działalność gospodarczą, a więc zanieczyszczające środowisko — uzyskała od terenowego organu administracji państwowej stopnia wojewódzkiego decyzje określające dopuszczalne wartości zanieczyszczeń, które może emitować do atmosfery nie powodując przekroczeń dopuszczalnych wartości poszczególnych stężeń określonych odpowiednimi normami. Należy tutaj dodać, że maksymalne dopuszczalne wartości emisji określone w decyzji, jeżeli są tylko dotrzymany przez zakład, nie powodują większych zmian w środowisku przyrodniczym, jak i też nie wpływa ujemnie na zdrowie i życie ludzi.

Jak przedstawiła się na tym odcinku sytuacja w Elektrowni Belchatów? Otóż z jednego bloku energetycznego elektrowni może emitować do atmosfery w ciągu godziny: 4.042 kg — dwutlenku siarki, 1.184 kg — pyłu, 1.817 kg — tlenków azotu. Tymczasem w 1985 r. średnia emisja godzinowa wynosiła: 2.635 kg — dwutlenku siarki, 428 kg — pyłu, 207 kg — tlenków azotu, co stanowiło odpowiednio: 51,8 proc. wartości dopuszczalnej, 36,2 proc. wart. dop., 11,4 proc. wart. dop.

Elektrownia zobowiązana również do utrzymania sprawności eksploatacyjnej elektrofiltrów na poziomie 98 proc. — w 1985 r. osiągnęła średnią skuteczność odprowadzenia 99,2 proc.

A więc z tych fundamentalnych obowiązków elektrownia wywiązuje się należyście. Dane te nie są li tylko wymysłem samej elektrowni, lecz kontrolowane są i sprawdzane przez państwowe służby ochrony środowiska. Ponadto na 9 stacjachach do ciągłych pomiarów wokół elektrowni prowadzi się pomiary wpływu zakładu na stan powietrza atmosferycznego i wód opadowych. Wyniki te jednoznacznie wskazują na niewielką uciążliwość elektrowni na otaczające środowisko, znacznie niższą niż to zakładano w założeniach techniczno-ekonomicznych tej inwestycji. Można również stwierdzić, że prowadzone pomiary opadu pyłu w 1984 r. — nie różnią się istotnie od pomiarów pyłu przed uruchomieniem Elektrowni Belchatów. Wizualem obrazem tego stanu jest obserwowany w dni pogodne przez mieszkańców Belchatowa brak jakiegokolwiek dymu unoszących się z elektrowni. Obrazem pracy elektrowni jest jedynie unosząca się z chłodni kominywych para wodna, niekiedy interpretowana jako „kłęby dymu”. Sądziwy, że dziennikarze „Odroślości” taką właśnie interpretację przyjęli w swoim artykule na temat wpływu Elektrowni Belchatów na otaczające środowisko.

Należy dodać, że elektrownia wykonuje ponadto pomiary i opracowania dotyczące zawartości w emitowanym pyłe ponad 20 metali, w tym również pomiary stężeń naturalnych pierwiastków promieniotwórczych. Prowadzone są także badania porównawcze stanu degradacji drzewostanów pozostających w strefie oddziaływania Elektrowni Belchatów. Badania te, prowadzone przez Instytut Geodezji i Kartografii w Warszawie nie wykazują istotnych różnic między drzewostanami okieszanymi jako uszkodzone i drzewostanami zdrowymi. Wszystkie elementy zrzucające na drzewostan, a więc: zadrzewienie, zasobność, siedliska — są w ww. drzewostanach zbliżone. Nieprawda jest twierdzenie autorów artykułu, że projektowana elektrownia Osiny nie będzie posiadała urządzeń odsiarczających spalin. Posiadanie takich urządzeń jest warunkiem koniecznym, by elektrownia ta w ogóle powstała. Co więcej już w Elektrowni Belchatów prowadzone są prace mające na celu zmniejszenie emisji dwutlenku siarki, poprzez zastosowanie kredy feziornej, wydobycwanej przez Kopalnię. Pierwsze próby potwierdzone pomiarami wypadły pomyślnie i aktualnie opracowuje się dokumentację techniczną na wykonanie niezbędnych do odsiarczania instalacji.

Enigmatyczne jest też stwierdzenie redaktorów co do pomiarów ciągłych emisji SO<sub>2</sub> oraz to, że Elektrownia nie wykonuje zaleceń Państwowej Inspekcji Ochrony Środowiska w tym zakresie. Prawda jest taka, że ani w Polsce, ani na świecie nie ma takiej aparatury, która by całkowicie sprostata wymogom stawianym przed tego typu pomiarami.

Należy nadmienić, że elektrownia sama finansuje prace badawcze wykonywane przez jednostki naukowo-badawcze, mające na celu skontrolowanie aparatury do ciągłych pomiarów emisji SO<sub>2</sub>. Pierwsze prototypy już powstały i aktualnie odbywa się ich testowanie oraz wnoszone są niezbędne udoskonalenia i poprawki.

## PROBLEMY GOSPODARKI ZIEMI

Konsekwentnie do postępującego procesu uprzemysłowienia ZGE Belchatów następuje wyraźny i odczuwalny spadek tak w zakresie zainteresowania rolnictwem, jak i poziomem jego produkcji. Obserwuje się wzrost arealu gruntów ekstensywnie uprawianych lub w ogóle nie użytkowanych. Są to grunty nie tylko państwowe (PFZ, SKR) oraz grunty zbudne na cele inwestycyjne, a wklepione przy likwidacji gospodarstw, ale także bedace często własnością tych, którzy z typowych rolników zmienił się w „dzwurawodów”. Mimo powszechnie odczuwanego wzrostu stopy życiowej w wyniku podjęcia pracy w przemyśle — warsztat rolny stał się dla nich drugoplanowym źródłem dochodu, zabezpieczającym bieżące potrzeby



właścicieli i ich rodzin. Prowadzi to do spadku ilości zatrudnionych na 100 ha użytków rolnych, zmniejszenia obsady inwentarza żywego i zasobów siły pociągowej, stopnia usprzętowania oraz stopnia zużycia zasobów budynkowych mieszkalnych i inwentarskich.

Faktom tym nie da się zaprzeczyć. Trudno się jednak dziwić, że stosunkowo wysokie zarobki w Kopalni czy Elektrowni konkurują z małą dochodowością w tym rejonie gospodarka rolna, na glebach klasy V i VI i że w takiej sytuacji rolnicy nie biją się o każdy kwadrant ziemi — jak to ma miejsce w innych rejonach kraju na urodzajnych glebach. Trudno się także dziwić, że potęgą się niechęć miejscowej ludności do prowadzenia racjonalnej gospodarki i inwestowania w warsztaty rolne — gdy artykułami w stylu „Nasz Belchatów” rozłącza się przed nimi widmo rychłej zagłady środowiska przyrodniczego. Opini takiej sprzyjały również niekorzystne w ostatnich latach warunki atmosferyczne (długie okresy suszy lub deszczu w czasie wegetacji upraw), które i na terenach poza zasięgiem leża depresji objawiły się odczuwalnym spadkiem plonów. Tymczasem ocena wyników uzyskiwanych w Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Łększynie czy w kopalnianym ośrodku rolnym pozwala na stwierdzenie, że budowa zagłębia górniczo-energetycznego nie koliduje z możliwością osiągania dobrych wyników przez tutejsze rolnictwo. Doceniając jednak wagę niekorzystnych zjawisk w tutejszym rolnictwie i konieczność przeciwdziałania im — już w marcu 1982 r. Dyrekcja Kopalni wystąpiła do Ministerstwa Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej z prośbą o wnikiwe rozpatrzenie przedstawionych wówczas problemów i podjęcie próby unormowania kwestii zagospodarowania gruntów zbednych i wcześniejszego wykupu gospodarstw podupadłych.

Kopalnia ponowiła swoje wystąpienie w sierpniu 1983 r., w którym wskazując na ww. problemy zgłoszone zostały postulaty o:

1. Podjęcie decyzji o zwolnieniu tutejszych rolników z podatku gruntowego oraz czynszu dzierżawnego od gruntów PFZ, a także wprowadzenie zasady dobrovolności w placeniu składki emerytalnej.
2. Podjęcie decyzji o utworzeniu PGR-u, który prowadziłby kompleksowe zagospodarowanie gruntów PFZ zbednych na cele lawestycyjne oraz gruntów wykupionych wcześniej na żądanie właścicieli.

Kolejne Uchwały nr 168/75 i 193/82 Rady Ministrów stawiały przed resortem rolnictwa konkretne zadania w zakresie przeprowadzenia zmian w rolnictwie rejonu BOP, przewidując na cele ochrony i przebudowy struktury produkcyjnej rolnictwa i gospodarki leśnej kwotę 9,7 miliarda złotych. Niestety, dotychczasowe wyniki realizacji tych uchwał są bardzo skromne.

Nadmienić trzeba, że na zlecenie Kopalni Instytut Podstaw Inżynierii Środowiska PAN w Zabrzu wykonał w listopadzie 1983 r. inwentaryzację i oparł na naukowych podstawach analizę problemu rolnego w rejonie ZGE pt. „Zagospodarowanie gruntów zbednych wykupowanych przy realizacji zadań inwestycyjnych KWB „Belchatów”. Przedstawił w nim także propozycje środków zaradczych, które w skrócie sprowadzają się do:

1. Utworzenia PGR na bazie istniejącej RSP.
  2. Aktywizacji sektora prywatnego poprzez:
    - bezpłatną dzierżawę gruntów państwowych bądź kupno po niższych cenach.
    - rezygnację z rygору odbierania kartek żywnościowych rolnikom „długowodowcom”, co wyraźnie rzutuje na niechęć młodych następców na przejmowanie gospodarstw.
    - bezpłatne wapnowanie gleb i obniżkę ceł nawozów.
    - zwolnienie z podatku gruntowego.
    - udzielanie kredytów na budowę lub remont bazy budynkowej.
    - udzielanie preferencji w przydziale pasz treściwych.
- Opracowanie to przekazane zostało do Wydziału Geodezji i Gospodarki Gruntami Urzędu Wojewódzkiego w Piotrkowie Trybunalskim.

Czy zatem sugestie autorów artykułu, że Kopalnia i Elektrownia czynią wokół tylko szkody nie uważając na trudne niewątpliwie problemy gospodarki rolnej znajdujące potwierdzenie w rzeczywistości?

## PODSUMOWANIE

Problematyka ochrony środowiska w ZGE Belchatów budząca szerokie zainteresowanie wśród instytucji naukowych i specjalistów — we wszystkich aspektach tego zagadnienia — zajmuje poczesne miejsce w zadaniach postawionych do realizacji jego budownictwem.

Podjęta 3 września 1982 r. Uchwała nr 193/82 Rady Ministrów w sprawie dalszej realizacji budowy ZGE Belchatów oraz inwestycji towarzyszących — zobowiązuje realizatorów tej inwestycji do kontynuowania w szerokim zakresie, na bazie dotychczasowych doświadczeń i wyników badań naukowych działań zmierzających do ograniczenia i eliminowania ujemnych skutków funkcjonowania zespołu górniczo-energetycznego. Sprawami ochrony środowiska zajmuje się około 50 instytucji, wykonanych zostało ponad 200 opracowań specjalistycznych, w tym 60 prac naukowo-badawczych. Zorganizowano też wiele konferencji naukowo-technicznych, na których omawiano wyniki prowadzonych badań. Odbływały się systematyczne kontrole prowadzone przez instytucje powołane do tego celu.

Na zakończenie pragniemy dodać, że działalność zarówno Kopalni, jak i Elektrowni Belchatów w zakresie ochrony środowiska pozytywnie oceniona została:

1. Na konferencji naukowo-technicznej zorganizowanej w Belchatowie w listopadzie 1982 r., na temat: „Ochrona środowiska naturalnego w ZGE Belchatów”.
2. Na 43 sesji Rady Naukowo-Technicznej nr 2 ds. Górnicztwa Odkrywkowego w ramach stałej Komisji RWPG ds. współpracy w zakresie przemysłu węglowego, która odbyła się w październiku 1984 r.
3. Na sesji wyjazdowej Zespołu Ochrony Środowiska przy Radzie Krajowej PRON, zorganizowanej wspólnie z Radą Wojewódzka KRAJOWEJ PRON w Piotrkowie Tryb., w październiku 1984 r.
4. Na konferencji prasowej zorganizowanej na zakończenie corocznego rajdu samochodowego dziennikarzy w 1985 r. w Elektrowni Belchatów.
5. Na konferencji zorganizowanej przez Komisję ds. Ochrony Terenów Górniczych przy Wyższym Urzędzie Górniczym w Katowicach w 1986 r.

W uzupełnieniu powyższej informacji należy jeszcze zauważyć, że w dobie dzisiejszego kryzysu paliwowego, gdy węgiel kamienny podlega ścisłej reglamentacji dla indywidualnych odbiorców — niebagatelne znaczenie dla kilkunastotysięcznej załogi ZGE Belchatów oraz szerokiego kręgu mieszkańców tutejszego regionu ma możliwość dodatkowego zapotrzebowania się w węgiel brunatny. Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom i potrzebom społeczeństwa Kopalnia realizuje budowę sortowni węgla, która zostanie uruchomiona jeszcze w III kwartale br.

Na uwagę zasługuje również koncepcja doprowadzenia i wykorzystania ciepła z projektowanej Elektrowni Belchatów II — jako czynnika grzejącego dla miasta Łodzi. Byłaby to szansa na likwidację zapylenia i zanieczyszczenia środowiska spowodowanych pracami tamtejszych elektrociepłowni.

CZYTELNIKU! Mamy tu do czynienia z bezmyślną degradacją czy planowym przekształceniem?

**Opracował:**  
**dr inż. JERZY WAŚOWICZ**

Kierownik Działu Ochrony Środowiska,  
Szkół Górniczych i Wywiastwień.

**OD REDAKCJI:** Za treści na kolumnie „Polemiki — Listy — Opinie” zauszczamy odpowiedź red. Romana Kubiaka i Pawła Tomaszewskiego na powyższą publikację.

## Z HISTORII SZPITALA WOJSKOWEGO W ŁODZI NA PRZEŁOMIE 1939/40

Evakuacja Łodzi rozpoczęła się 5 września 1939 r. w godzinach popołudniowych. Miasto opuścili władze cywilne i wojskowe. Nawet straż ogniowa, składnice sanitarne, karetki pogotowia i tabory odcieczania miasta wyjechały na wschód Polski. W okresie pomiędzy ewakuacją miasta przez władze polskie a wkroczeniem wojsk niemieckich, ukonstytuowały się i zorganizowały nowe władze miejskie — Komitet Obywatelski Miasta Łodzi.

Komitet Obywatelski m. Łodzi już 7 września przystąpił energicznie do tworzenia aparatu wykonawczego w tym sekcji, których zadaniem było kierowanie pracą poszczególnych placówek miejskich. M. in. utworzono Sekcję Zdrowia, której zadaniem było zorganizowanie opieki społecznej i lekarskiej w mieście, w tym nadzór i opieka nad szpitalami łódzkimi, potrzebującymi lekarzy, lekarstw i żywności oraz grzebanie zmarłych. Pracami sekcji kierował znany lekarz dr Antoni Tomaszewski z siedzibą przy ul. Narutowicza 65. Pierwsze dni, tj. do 16 września 1939 r. były okresem dużej aktywności Komitetu Obywatelskiego, który swoją opieką objął również rannych i chorych żołnierzy polskich.

W dniu 4 września ewakuowano Szpital Wojskowy przy ul. Żeromskiego nr 113, pozostawiając tylko ciężko rannych i chorych, grupę lekarzy oraz siostrę przełożoną Apolonię Gordon z przyrzuconymi pielęgniarkami. Komendantem szpitala został dr Dengel. W kostnicy pozostało 30 zmarłych.

Po ewakuacji szpitala, w budynku zapanowała głucha cisza, pełna niepokoju i niepewności oraz przykre oczekiwania na najeźdźcę. W tym stanie szpital pozostawał do 6 września. Tego dnia, przed szpitalem zebrała się grupa mieszkańców okolicznych domów, przeważnie robotnicy i robotnice zapytując, czy jest potrzebna jakaś pomoc. Siostra Gordon prosiła przybyłych o zajęcie się grzebaniem zmarłych, gdyż z tym był poważny problem, bowiem podczas ewakuacji zabrano wszystkie karetki pogotowia oraz miejskie samochody pogrzebowe. W krótkim czasie przed szpitalem pojawili się ci sami ludzie z wozami fabrycznymi „rolwagami” i trumnami, po czym pomogli wywozić zmarłych na cmentarze. Grupa robotników wioząca ostatnich czterech zmarłych powróciła w popołudniu, donosząc, że napadli na nich uzbrojeni w rewolwery Volksdeutsche. Uciekli, wóz pozostawił, a co się stało z nieboszczykami nie wiadomo.

W dniu 9 września przybył do szpitala oficer niemiecki z lekarzami i pielęgniarkami. Zażądał od dra Dengla i siostry Gordon kluczy od pokoi siostr i magazynów oraz opróżnienia górnych pięter z chorych i rannych. Było ich około 600. Przeniesiono ich na 2 dolne piętra.

Po opróżnieniu górnych pięter (3 i 4 piętro) zaczęto przywozić rannych żołnierzy niemieckich. Gdy Niemcy zorientowali się, że nie pomieszczą swoich rannych, ponownie wezwali dra Dengla i siostrę Gordon żądając zupełnego opuszczenia szpitala i to w ciągu kilku godzin. Nie czekając na przetransportowanie, kazali naszym chorych i rannych wynieść na noszach i pozostawili na ulicy przed szpitalem. Ciężko chorych przewieziono do szpitala przy ul. Sterlinga 1/3, a leżących rannych i chorych do Państwowej Szkoły Włókienniczej przy ul. Żeromskiego nr 115. Szpital przy ul. Sterlinga 1/3 był przygotowany do przyjęcia chorych i rannych. Pozbawiony był tylko odpowiednich zapasów żywności. Po obejrzeniu szkoły okazało się, że nie nadawała się na pomieszczenia zastępcze dla chorych. Podłoga pokryta była smarami, sale puste, nawet nie było słomy. Do tych pustych sal, z konieczności, przetransportowano chorych.

I tym razem przyszło z pomocą społeczeństwo łódzkie, znoszące prycze, łózka, siomę, materace, sienniki, poduszki, koce, koldry, a nawet pierzyny. Postarano się o stoły, stolki, krzesła, białeżną pościelową i osobistą. Ponieważ ten prowizoryczny szpital nie był aprobowany przez Niemców, zdany był tylko na pomoc społeczną. I ta pomoc okazała się nadzwyczajną. Od godz. 6 do 19 znoszono bez przerwy żywność w takich ilościach, że zaistniał problem z jej przechowywaniem. Wobec tego jej nadmiar zanoszono do fabryki Rosenblatta przy ul. Żwirki 36, w której przetrzymywani byli polscy jeńcy.

Ta spontaniczność obywatelskiego działania była również pobudzana wezwaniami Komitetu Obywatelskiego, który skupiał działaczy społecznych cieszących się zaufaniem mieszkańców Łodzi. W jednej z odezw proszono mieszkańców, aby „przyszedł z pomocą naszym Sekcjąm przez niezłomne składanie darów w postaci przedmiotów potrzebnych naszym szpitalom”, gdyż „opieka nad rannymi żołnierzami armii polskiej sprawowana jest w bardzo trudnych warunkach”.

M. in. w ramach tej akcji działali także kapłani niosący pomoc duchową żołnierzom, lecz po pewnym czasie władze niemieckie zabroniły oficjalnego wkraczania duchownych na teren szpitali.

Wkrótce przeniesiono rannych z obiektu szkolnego do dawnego koszar przy ul. Żeligowskiego. Tutaj utworzył się samorządnie zakonspirowany „Samorząd społeczny”, w skład którego wchodził: lekarze, niektórzy pielęgniarki i ranni oficerowie. Zbierano się w suterenie, czytano nielegalną prasę, przekazywano informacje, naradzano się nad sposobami ucieczek ze szpitala itp. Wszelkie starania o cywilne ubrania. Siostry: Krystianowa, Szulcowa, Pawlicka, Leśniewska Śmiałkowska, Warszawska przynosiły z miasta ubrania i obuwie męskie. Przenosiły je na sobie, po trochu, żeby nie budzić podejrzeń u wart niemieckich. Siostry te miały przepustki na miasto, więc mogły się swobodnie poruszać. Odeźwie męską, żywności, „lewy” dokumenty dostarczały również harcerki i harcerze współpracujący z wtajemniczonym personelem szpitala.

W marcu 1940 r. zwolniono część żołnierzy, a pozostałych oficerów przewieziono ze szpitala w koszarach 28 pułku Strzelców Kaniowskich do prowizorycznego szpitala w budynku Państwowej Szkoły Włókienniczej. Byli to przeważnie oficerowie 28 i 31 pp i od tej chwili władze niemieckie objęły zaprowiantowanie szpitala.

Nie przeszkadzało to społeczeństwu polskiemu nadal dostarczać żywność, a nawet siostry Lenartowiczówny przywoziły wozami żywność zebraną od polskich gospodarzy z pobliskich wsi.

Z rannymi i chorymi z koszar przybyli pielęgniarki z przełożoną, odnosiłone której personel miał wiele zastrzeżeń. Ograniczono więc działalność konspiracyjną i łączność z kierownictwem organizacji wojennej Związek Walki Zbrojnej (AK). Nadal jednak trwały ucieczki oficerów, za co cierpiali pielęgniarki podejrzewane o pomoc, co nie miało się z prawdą. 22 września 1940 r. nastąpiła całkowita likwidacja szpitala. Pozostałych oficerów, którzy nie zdecydowali się na ucieczkę razem z lekarzami odwieziono do obozu w Ostaszewie.

Aresztowaną pielęgniarkę Apolonię Gordon, Janinę Krystianową, Genowefę Leśniewiczową, Władysławę Nowak i Elżbietę Warszawską. Po kilkumiesięcznym (3 miesiące) pobycie w więzieniu przy ul. Gdańskiej 13 (Frauengefängnis), zwolniono je z poleceniem natychmiastowego opuszczenia tzw. Kraju Warty (Warteland), tj. obszaru wcielonego do Rzeszy.

W tych bardzo trudnych warunkach staranną opieką otaczali rannych i chorych m. in. lekarze: Chojecki — komendant, Gontarski, Zrębowski, Leśniewski, Jasiński, Ciesielski, Dengel, Bogacki, Puzyrniewicz i Dziembowski. Pielęgniarki: Apolonia Gordon, Janina Krystianowicz, Genowefa Leśniewicz, Władysława Nowak, Elżbieta Warszawska, Aleksandra Szulc, Władysława Świerkowska, Barbara Pawlicka, Maria Pawełska, Aleksandra Lebidówna i Eugenia Mackiewicz. Sanitariusz: Antoni Stys. Kapral Jan Nargiello i inni.

Wśród uciekinierów m.l. byli: por Zbigniew Kutnik, uczestnik kampanii wrześniowej w 63 pp, ranny w bitwie nad Bzurą, po ucieczce włączył się do działalności niepodległościowej w ZWZ-AK na terenie Łodzi. Później został komendantem Obwodu Kutno, uczestniczył w Powstaniu Warszawskim. Ppor. Franciszek Jabłonna ps. „Michał” z 25 p. art. lek. szef BIP w Komendzie Okręgu ZWZ-AK w Łodzi, aresztowany latem 1942 r. i rozstrzelany w Oświęcimiu, kpt. Franciszek Polkowski, ppor. Czesław Rutkowski, por. Harfinger i inni.

Opracowano w oparciu o relacje przełożonej Apolonii Gordon i własne wspomnienia.

**JERZY JĘDRZEJEWSKI**

## WODA TAM JESZCZE CZYSTA, TRAWA ZIELONA, A CISZA AŻ W USZACH DZWONI...

Obszary tzw. Podlasia Zachodniego leżą między Bugiem a Liwem — rzeką, stanowiącą w dawnych wiekach zachodnią granicę całego Podlasia lub — jak kto woli — wschodnią granicę Mazowsza. Obecnie, większa część Podlasia Zachodniego leży w granicach województwa siedleckiego, w północno-wschodniej jego części. Dolina Bugu pływającego przez te części Podlasia zaliczana jest do obszarów krajobrazu chronionego, atrakcyjnego pod względem turystycznym, aczkolwiek zagospodarowanego w niewielkim jeszcze stopniu.

W gminie Jabłonna Lacka, w dawnym powiecie sokołowskim, znajduje się wieś Gródek, położona na wysokim brzegu Bugu. Miejsce to niegdyś obronna, o czym świadczą resztki fosy i wałów ziemnych. Nazwa wsi także wskazuje na to, że niegdyś musiał tu się znajdować gród obronny. Tutaj właśnie mieścił się ogólnie dostępny, aczkolwiek mało znany, ośrodek wypoczynkowy, prowadzony przez Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji w Sokółce Podlaskiej. Na miejscu znajduje się budynek pensjonatu (hotelowy) z pokojami 2- i 3-osobowymi, a także kilkadziesiąt domków campingowych, doskonale utrzymanych, wyposażonych m.in. w łodówki i aparaty radiowe. Stołówka, mieszcząca się w budynku hotelowym, czysta i przestronna, serwuje smaczne, urozmaicone i obfite posiłki, podawane przez grzeczne, miłe i sprawne kelnerki. Cały teren ośrodka, bogato zadrzewiony, utrzymany jest w czystości, ładzie i porządku. Na miejscu biblioteka z bogatym księgozbiorem, gdzie można także przeczytać bieżącą prasę i obejrzeć program telewizyjny, dzieci zaś mogą grać w gry świetlicowe. Jest również boisko do siatkówki i w pawilonie pod dachem stół do ping-ponga. Dwa razy w tygodniu wyświetlane są dla wczasowiczów (bezpłatnie) filmy na wolnym powietrzu. Największą wszakże atrakcją zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych, jest rzeka Bug, który w tym miejscu kreśli jakby wielką literę „S”, jest niezwykle malowniczy. Z ośrodka prowadzi do rzeki szerokie, betonowe schody, w rzecze zaś wydzielone są linami granicę bezpiecznej kąpiel dla dzieci i dla dorosłych. Ze woda w Bugu jest jeszcze czysta, świadczą przynieszone do domków przez wczasowiczów — wędkarzy ryby. Amatorzy grzybobrania, jeśli rok jest „grzybny”, także przynoszą z okolicznych lasów obfite trofea.

Obok ośrodka znajduje się drewniana, unicka cerkiew z XVIII wieku (obecnie kościół parafialny), konstrukcji zrębowej, z wężką zwieńczoną cebulastym hełmem. Przy kościele drewniana dzwonnica, również z XVIII wieku. Posiadacze własnych pojazdów (choć można korzystać także z autobusów PKS) mogą użyczyć wycieczki po okolicy, z których najatrakcyjniejsza jest chyba wycieczka do Drohiczyzna (około 20 kilometrów), niegdysiejszego stolicą tzw. Ziemi Drohiczyńskiej i województwa Drohiczyńskiego, o którym pierwsze wzmianki historyczne pochodzą z XI wieku, dziś niewielkiego miasteczka nad Bugiem, leżącego już w województwie białostockim. (O turystycznych atrakcjach Drohiczyzna — w następnej korespondencji).

Największą wszakże atrakcją urlopową Ośrodka Wypoczynkowego w Gródku jest spokój i cisza. „Że aż w uszach dzwoni”. Nie ma tu „salonów gier”, kiosków ze szkaradnymi pamiętkami, sprzedawców „firmowych napojów” w plastikowych woreczkach, nie ma smażalni placków, frytek i tym podobnych przysmaków. Nie unosi się na Gródkim woń przesmażonego oleju. Nie ma knajpy, z której dobiegałyby pijąckie śpiewy, nie ma nawet kawiarni czy jej namiastki.

Nie namawiam więc na wczesny do Gródka, tych, którzy na urlopie szukają rozrywki i możliwości zabawienia się. Tutaj wycieczki nie ma na co wydawać pieniędzy. Nie ma nawet kiosku „Ruchu”. (Najbliższy mieści się w Jablonnie Lackiej, w odległości 3,5 km). Natomiast wszyscy, którzy na urlopie szukają ciszy i absolutnego spokoju, którzy pragną odpocząć fizycznie i zrelaksować się psychicznie i nerwowo, znajdą to wszystko „w pełnym wymiarze”. Z myślą właśnie o tych przesyłam niniejszą korespondencję.

Kończy się tegoroczny sezon urlopowy, moja informacja jest więc nieco spóźniona. Jeśli jednak ktoś chciałby ją wykorzystać w roku przyszłym, podaję adres, gdzie można uzyskać informacje szczegółowe i dokonać zakupu miejsce w domku campingowym: Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji, 08-300 Sokółki Podlaski, ul. Lipowa 54.

I jeszcze dwie informacje: Gródek leży około 120 km od Warszawy. A koszt 14-dniowego pobytu, z pełnym wyżywieniem, wynosi w bieżącym roku niepełna 12 tysięcy złotych.

**PIOTR SIKORSKI**

## W SPRAWIE ALEI ZASŁUŻONYCH

Tak się złożyło, że kiedy inaugurowano Aleję Zasłużonych dla m. Łodzi w Parku na Zdrowiu — przebywałem poza Łodzią. Odwiedziłem tę Aleję dopiero ostatnio, po wakacjach. Znalazłem tam szereg nazwisk godnych uczczenia i upamiętnienia — jest to więc inicjatywa ze wspaniałym miar zasługująca na uznanie.

Brakuje mi tam jednak dwóch nazwisk — i stąd moja propozycja, adresowana za pośrednictwem „Odgłosów” do kompetentnych czynników. Pierwsze z nich to: STANISŁAW CZERNIK, Włókiennik, poeta, prozaik, eseista, uczestnik kampanii wrześniowej, w okresie wojny pracownik emigracyjnego szkolnictwa polskiego (przed wojną wieloletni nauczyciel). W r. 1947 powrócił do kraju i zamieszkał na stałe w Łodzi. Od pierwszych lat powojennych aż do chwili śmierci (1969) brał czynny udział w życiu kulturalnym naszego miasta, współpracował z Wydawnictwem Łódzkim i był jego pierwszym redaktorem naczelnym, przez szereg lat przeosował Łódzkiemu Oddziałowi Związku Literatów Polskich. Otrzymał szczególną opieką młodych pisarzy, wielu z nich zachowało go do dziś we wdzięcznej pamięci. W uznaniu jego zasług przyznano mu Nagrodę m. Łodzi, a twórczość jego pokwitował nagrodą minister kultury i sztuki. W r. 1984, w rozmowie nagranej dla Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia, wyznał mi, że wiele swoich wierszy, a nawet powieści „wychodził” właśnie w Parku na Zdrowiu — tu zrodziły się ich pomysły i zarysy, jest przeto ten park miejscem najbardziej sposobnym dla zachowania pamięci o tym szlachetnym, skromnym, a wielce zasłużonym dla naszego miasta Człowieku.

Drugie nazwisko to: ANTONI KASPROWICZ. Fragmenty eseju reportażowego o jego życiu i pisarstwie drukowałem w „Odgłosach” przed rokiem („On jeden starczy na łódzką sagę”), na tym miejscu przypomnę więc tylko, że Antoni Kasprowicz to rdzenny łódzianin, widzianek wywodzący się ze środowiska robotniczego, poeta i prozaik, który prawie całą swoją twórczość poświęcił naszemu miastu. Trudno wyobrazić sobie literaturę o Łodzi bez jego książek, które obrazują w sposób realistyczny i nie pozbawiony specyficznego łódzkiego humoru życie rodzin robotniczych w okresie międzywojennym i po wojnie. Jego „Poemat łódzki” do którego wstęp napisał Władysław Broniewski jest jedyną w swoim rodzaju poetką syntezą dramatycznych dzieł łódzkiej klasy robotniczej. Kasprowicz to prawdziwy bard tej klasy i „miasta kominów”.

Antoni Kasprowicz nie narzucał się nikomu, nigdy nie zabiegał o sławę i popularność — tym bardziej więc przysługuje mu miejsce w Alei Zasłużonych. Dodam jeszcze, że w grudniu tego roku przypadnie pięta rocznica śmierci Poety.

**TADEUSZ GICGIER**



Niewiele wiemy o tym kraju. Jedno jest wszakże pewne: od lat trwa tam nieustająca, bratobójcza wojna. Z jednej strony spokoju i ładu strzegą siły afgańskiej armii i milicji oraz wojska radzieckie, z drugiej — szaleją oddziały „duchów”, czyli przeciwników systemu politycznego, jaki usiłuje w tym kraju wprowadzić legalna władza.

Przedstawiamy przeto naszym Czytelnikom relację przedstawiciela „Literaturnej Gazety” Giennadija Boczarowa, który wraz z dwoma swoimi kolegami odwiedził jedną z jednostek radzieckich stacjonujących na terenie Afganistanu. Relacja Boczarowa w dużym stopniu daje obraz współczesnej sytuacji w tym, ogarniętym pożarem wojny, kraju.

1.

Jeśli podróżujesz po drogach tego kraju, a nie zatrzymasz się w Kabulu, to bardzo szybko zaakceptujesz miejscowe zwyczaje... Jazda bez osłon na BMP i BTR (samochody pancerne) — to jedyna z osobliwości dzisiejszego Afganistanu. Nie jest to brawura i nie jest to fanfanarada. To szansa dla żołnierza. Jeśli bowiem opancerzony transporter lub BMP trafia na minę (co w kraju okrutnej wojny minowej nie należy do rzadkości) możesz się uratować waląc się na ziemię. O tym wie tu każdy. I jadą nie osłonięci.

Nad naszymi głowami, nad całym podgórzem, ku któremu zdążamy, wisiały bojowe helikoptery. Oni zawsze mają dużo roboty. Latają parami, nigdy w pojedynkę. W ten sposób poszerza się pole obserwacji, a mówiąc potocznie, obserwuje się w „czworo-

rze Witalija także błyszczą medal „Za odwagę”. Oczywiście rodzicom w Tiumeńskim obwodzie (ojciec — wiertniczy, matka — laborantka) napisał o nagrodzie, ale przemleczła za co ją otrzymał.

8.

Pod wieczór dotarliśmy do batalionu piechoty zmotoryzowanej. Po wielogodzinnym jazdoci BMP glosy otoczyły nas żołnierze, wycie wiatru i szczerkanie dwóch szalejących z radości psów wydały się ciche i głuche, jakby na życie ktoś położył watek. Major Auszew przyjął raport dowódcy. Zapytał o kogoś.

Dowódca odpowiedział:

— Poszedł do szpitala.

— Na przechowanie? — uśmiechnął się Auszew.

Żołnierze także się roześmiali.

— Migdałki — odpowiedział dowódca.

Nasi żołnierze udali się do umywalni. Ich twarze były ukryte pod grudkami błota. Natomiast tutaj byli właśnie tacy jak nasi dziś przed wyruszeniem w drogę.

W dole, u podnóża płaskowyżu, szumiała szosa. To ją ochraniał żołnierz. Po jednej stronie doliny był posterunek armii afgańskiej, po drugiej — radziecki. Droga żyła wyteżonym życiem.

— Dziś pchali się dwukrotnie — powiedział dowódca. — Ale takie otwarte ataki nie są problemem.

— A co jest problemem? — zapytałem.

— Myny — odpowiedział dowódca. — To skomplikowana sprawa. Nasze zadanie — by do tego nie dopuścić, na czas zaznaczyć miejsca.

## W Afganistanie pomrukuje Bóg wojny...

oczu”. Jeśli jeden helikopter ładuje dla wykonania zadania, drugi kontynuuje lot, ubezpiecza go z powietrza, a jednocześnie kontroluje teren w dole. W sytuacji gdy jeden z nich zostaje trafiony i jest zmuszony do lądowania, drugi siada obok i zabiera załogę. Schwycić pilotów „duchom” nie udaje się.

2.

Maszyny posuwały się ku przodowi niepowstrzymanie i szybko. Przed nami niebezpieczeństwo i góry.

Ani major, ani żołnierze nie oglądali się na boki, obserwowali drogę. Jedynie ja spoglądałem bez przerwy w lewo i w prawo. Mineliśmy kadłuby starych budowl. Potem niedaleko od drogi niskie ruiny glinianek. Potem ostatnie samotne dżanki. Ich szyby były do połowy zalapane fotosami europejskich wywoźców z ilustrowanych magazynów. Wkrótce wjechaliśmy na szarą, płaską dolinę. Rozciągała się ona u podnóża brązowoczarnej górskiego pasma Hindukuszu i przynosiła na pamięć rosyjski step, ale bez trawy i zapachu, step kruchego świata. I prawie od razu znaleźliśmy się wśród gór — wśród gór wojny. To, z jaką szybkością i nieuchronnością to się dokonało, można przyrównać tylko z nadzieją starości.

3.

Przed każdym tunelem major unosił rękę. Tunele były chłodne i wilgotne. Światło reflektora BMP wydawało się teraz różowe, a właściwie ze złocistym zabarwieniem. Zapewne tak wygląda odblask złotego przedmiotu będącego w słońcu, gdy spogląda nań ciężko ranny.

Nasz mechanik — kierowca Wasilij Leontiew znajdował się nie na zewnątrz, a w środku. Jego głowa w czarnym hełmie sterowała z luku niczym morska mina. Ta droga po raz pierwszy prowadził on nasz BMP. Ani zjazdów, ani zakrętów nie znał. Natomiast szef sztabu pułku, major Ruslan Auszew znał je na pamięć. Wsunął się do przodu stłuczona w czasie nocnego rekonansu noga, Auszew trzymał się prawą ręką za lufę armatki BMP, lewą natomiast nie odrywał od helmu Leontiewa. Naciśnął dźwignię na helm, odwracał głowę kierowcy w lewo lub w prawo (wolniej lub szybciej) informując go w ten sposób o drodze. Słyszałem, że Auszew doświadczył tu już wszystkiego. Nie wiem czego jeszcze można doświadczyć, jeśli choć raz przeżyło się następujące zdarzenie: o twoją pierś opiera się lufa karabinu i wróg naciska spust. Zamek robi „pak”, ale karabin nie strzela. Niewypał! Potrzeba sekund by wróg zwałł się na ziemię, drugiej — by dokonał zemsty. Po czym Auszew z karabinu wroga wymiuję ów mądry nabój — na pamięć...

Wkrótce jest cały łańcuch innych zdarzeń w jego afgańskim życiu i nabój przechodzi w inne ręce. Staje się eksponatem w Centralnym Muzeum Sił Zbrojnych ZSRR w Moskwie.

4.

Razem ze mną trzęśli się inni żołnierze. Wszyscy uważnie wpatrywali się w skały: atak mógł nastąpić w każdej chwili, w każdej sekundzie. I w każdej sekundzie byli oni gotowi przyjąć walkę. Ta ich gotowość tu, w Afganistanie, nie była chwilowa. To stan ciągły. I właśnie ta gotowość wyróżniała ich spośród tych wszystkich, którzy jeszcze jej nie nabyli. Odróżnia także od nich samych, tych z pierwszych miesięcy służby. Powtarzam: tu nie tylko u mnie, cywila, zmieniła się jakieś tam wyobrażenia o życiu. U żołnierzy także. U nich z jeszcze większą siłą; przecież mają dopiero po dziewiętnaście, dwadzieścia lat. W tym wieku wszystko odbiera się ostrzej, silniej. Nie jest ważne czym byłeś wcześniej. Ważne, czym stałeś się dziś. Masz poczucie obowiązku. Oto sens i warunek twojego wojennego życia. Masz poczucie obowiązku. To jest to, co wczoraj wydawało się wielkim słowem, a dziś, kiedy trzymasz karabin a tuż obok jest wróg — to treść całego twojego życia. Ciesz się czy nie, a musisz się przestroić. Musisz znaleźć nową „ludzką osobowość”.

5.

Daleko przed nami, na tle czystego wysokiego nieba, przemykała para helikopterów. Od rana obok nich pojawiły się białe, niczym kwiaty bawelny, koszyki. To wybuchy. Górskie zenitki „duchów” rozpoczęły swoje polowanie.

6.

Zatrzymujemy się w strażnicach. Szef sztabu sprawdzał aktualną sytuację: gotowość żołnierzy, maskowanie, warunki żołnierskiego życia. Wysłuchiwał raportów, czynił uwagi, dawał rady. To jego chleb powszedni. I ten wyjazd to także codzienność. Auszewowi sprawiło przyjemność interesowanie się wszystkim, a żołnierzom i ich dowódcom było przyjemnie mu o wszystkim meldować. Takie przynajmniej odnosiło się wrażenie.

Jest jasne jak słońce, że na pierwszym miejscu w armii znajduje się stopień wojskowy. Ale tutaj było coś jeszcze. To, co wyraźnie daje się zauważyć w stosunkach pomiędzy oficerami i dzisiejszymi żołnierzami. A mianowicie szacunek dla człowieka.

7.

W czasie jednego z postojów, major przedstawił mi szeregowca Wiktora Klimaszewicza. W czasie walki Wiktor został ranny. Wykrwawił się, lecz posterunku nie opuścił, walczył aż nadeszła odsiecz. Wczorajcy ucniak z Nikitajewa nie cofnął się ani nie stchórzył. Nawet nie drgnął, nawet się nie ulakł, nie ukrył. Za swój czyn otrzymał medal „Za odwagę”.

Podczas innej przerwy w podróży poznaliśmy szeregowca Witalija Łysakowa... On także będąc na posterunku był zmuszony przysiąg na siebie atak wrogów. W czasie wymiany ognia jego kolegę został ciężko ranny, kule strzaskaly biodro i bark. Witalij odparł atak. Potem, rozgrany walką, poniosł rannego po nieprawdopodobnym urwisku. Do dziś nie wie jak to się stało, że nie zwałł się w przepaść. Ale kolegę uratował. Teraz na mundu-

Droga, odcinek której oglądaliśmy z góry, była jedyną arterią łączącą północ z południem republiki. Jej stan był przerażający: samochody z paliwem i nawozami sztucznymi, sprzęt wojskowy i autobusy wypełnione ludźmi — wszystko to wykrzywiło się, pękało i trzaśkało na jej wybojach.

— Łatwo sobie wyobrazić — powiedział major — co się stanie, jeśli bodaj choć jeden z jej odcinków zostanie ostatecznie zniszczony.

Płaskowyż, na którym stacjonował batalion, był ogrodzony. Z trzech stron znajdowały się transeje z gniazdami karabinowymi, rowami łączącymi. Niedaleko od urwiska stała masywna, mocna, murowana budowla. Teraz gospodarzyli w niej żołnierze. Na północnym odcinku płaskowyżu sterowało efektywne WC zbudowane z zielonych skrzyń amunicyjnych. Wszędzie było widać beczki z piaskiem: wypróbowana ochrona przed kulami i drobnymi odłamkami.

9.

Żołnierze wypytywali o Związek Radziecki, o Moskwę, o Kabul. Wieczór był fantastyczny. Na ciemnej glazurze nieba ślizgały się ostatnie różowe cienie. To za góry Iranu zachodziło słońce.

— Tra-ta-ta-tam! Tra-ta-ta-tam! — długa seria natychmiast wszystko przerwała. Żołnierze rzucili się ku stanowiskom. Obok mnie rozległ się głos, suchy strzał: to 50-milimetrowy reaktywny nabój posłał w górę oświetlającą rakietę na spadochronie. Auszew mignął obok transeji miotaczy granatów. Dowódca batalionu wydawał rozkazy cekaemistom. Żołnierze z pistoletami maszynowymi zajmowali pozycje na lewo: dojrzałem szeregowców Kiszajewa i Wasiljewa, z którymi przed momentem rozmawiałem. Nawyki przyswojone w wycieczających, ciągłych ćwiczeniach, zadziały mechanicznie w te sekundy nagłego niebezpieczeństwa.

Pierwsze odezwały się pistolety maszynowe: smugowe pociski wskazywały cel. Natychmiast włączyły się armaty BMP. Ich strzały zagłuszały wszystko. Szybkość kanonady była oszołamiąca: wraz z ulatującymi smugowymi pociskami, na strómym zboczu, skąd zaatakowały „duchy”, rozbyskiwały ostre wybuchy.

Dostrzegłem, jak duża figura teleoperatora Władimira Gusiewa zaczęła rzucać się tu, to tam. Schwyciwszy swoją kamerę wartości ponad 50 tys. dolarów wpadł do transeji i zaczął fotografować cekaemistów, ich napięte twarze i rozgrzewające się od ognia lufy cekaemów. A w pewnej chwili padł na plecy i zaczął kręcić przelatującą nad głową pocisk, a właściwie ich ogniście ślady.

Nie miałem na głowie helmu. Nie miał helmu obok plujących ogniem armat BMP to wielkie ryzyko: można autentycznie sfi-ksować. Więc polazłem do transeji. Cała strażnica — żołnierze, dowódcy, sprzęt — pracowała zgodnie, dokładnie niczym jeden mechanizm. Nikt nie został zaskoczony niespodziewanie.

Ogień się nasilał. Pył, wzniesiony butami, opadał. Oparłem się o ścianę transeji: co dalej?

Dalej nic nie było: nastała cisza. Lufy zamaryły. Zobaczyliśmy, że wieczór się skończył. Nastała noc. Żołnierze zaczęli wracać z pozycji ogniowych. Dowódca stał z twarzą sadzą i powiedział do Auszewa:

— Zdaje się, że noc będzie bezpieczna

10.

Niestety, noc nie była spokojna. „Duchy” zabrały się do posterunków chroniący słupy linii wysokiego napięcia. Sto dwadzieścia zostało wysadzonych w powietrze przez dywersantów. Odbudowano je. Teraz wrogowie usiłują dobrać się do nich na odległość: walą raketami ziemia-ziemia. Leszczyński i ja staliśmy na tarasie i patrzyliśmy w ciemność. Rakiety padały coraz bliżej. W ciemności ich czerwone wybuchy żarzyły się jak drzewne węgle. Podszedł Auszew. Był bez munduru i czapki, w samym podkoszuku. Podkoszulek czuł go zupełnie młodym; czarne jak smoła włosy, choć to dzwone, też mu ujmowały z pięć lat. Dobre, uważne i psotne oczy dopełniały resztę. Chłopiec i tyle.

Przyjrzawszy się sytuacji, powiedział:

— A gdzie się podział Bóg wojny?

I jakby w odpowiedzi, z północy, z dalekiej czerni gór, dał się słyszeć gróźny, ciężki wystrzał: przemówiły armaty. Kanonada nasilała się.

— Oznacza to, że zażądano ognia. Prawidłowo.

Żołnierze przygotowali się do odwołania alarmu. Jeden z nich przyniósł na taras wiadro wody.

— Dobranoc — zupełnie po cywilnemu powiedział nagle żołnierz.

— Dobranoc — odpowiedzieliśmy w przerwie między jednym a drugim wystrzałem.

11.

Auszew zdjął podkoszulek i przepisał go w wodzie przyniesionej przez żołnierza. Rozwiesił na tarasie. I zanłm położył się spać, pokazał nam fotografie: żona, córka i on. Major na niej był po cywilnemu, ze złotą gwiazdą „Bohatera Związku Radzieckiego”. Nie wiedziałem o tym. Nawet nie przeczuwałem. Major był skromny i bezpośredni. Nawet jakby się nie domyślał własnego bohaterstwa. W nie tak odległych czasach, kiedy liczba złotych gwiazd ostro poszła w górę, a liczba bohaterów pozostawała na dawnym poziomie, ja, podobnie jak inni, o mało co nie przestałem rozróżniać autentycznych bohaterów od bohaterów mianowanych.

12.

Noc zbliżała się ku końcowi.

Świat zmienił się, niebezpieczeństw przybywa. I granice wojny i pokoju, granice walki nie zawsze dziś pokrywają się z granicami terytorialnymi państw. Walka absorbuje wszystkich. Dlatego krajowi i obecnym czasem potrzebni są śmiały, zdecydowani, silni ludzie. Ludzie mogący zmieniać, ulepszać i bronić życia.

Opracował: EUG.

# Przepraszam, czy tu pija?

ANNA KRZYŻANOWSKA

Turyści, którzy przez ostatni rok odwiedzali Związek Radziecki zamiast tradycyjnych „suwenirów” — szampana, koniaku, moskowskiej — przywozili zadziwiające opowiadania o wprowadzonym tam systemie walki z nadmiernym spożyciem alkoholu. Okazuje się, że nasza ustawa o wychowaniu w trzeźwości jest przysłówiową „pestką” wobec radzieckiej. Parę osób żaliło mi się, iż po raz pierwszy w życiu cały pobyt u naszych wschodnich sąsiadów zaliczyli trzeźwym niemowlęciem... Nie wierzę? Najlepiej pojechać i zobaczyć wszystko na własne oczy.

Pojechałem. Już na dworcu w Warszawie okazało się, że bagaż naszej wycieczki bulgocą, dźwięczą szkłem, więc należało z nimi obchodzić nadzwyczaj ostrożnie. Prawie każda pani i każdy pan „na wszelki wypadek” mieli po butelce, a przerniejsi po kilka. Konduktor naszego wagonu z uśmiechem zachęcał do kupna piwa: „Bierście, bierście, nie wiadomo kiedy trafi się następna okazja” — dodawał złowieszczo.

W Moskwie pierwsze sympatyczne zaskoczenie. Wiedzieliśmy, iż będziemy zakwaterowani w „Centralnym Domu Turysty”. Co bardziej obeznani z domami turysty w Polsce nerwowo pytali pilota: ilu osobowo będą pokoje? czy możemy liczyć na przysnec z ciepłą wodą? Pilot niewiele wiedział na ten temat, toteż i on odetchnął z ulgą, gdy autobus zatrzymał się przed 33-piętrowym gmachem. Nowym, nowoczesnym — jednym z wielu wybudowanych przed igrzyskami olimpijskimi. Po ich zakończeniu Moskwa zyskała kilka nowych hoteli, studentów — akademiki, a mieszkańcy — całe osiedle z doprowadzoną już linią metra.

My z radością rozlokowaliśmy się w 2-osobowych pokojach ze wszelkimi wygodami, z lodówkami i telewizorami. Tylko kilka osób zainteresowało się informacją udzieloną przez Lenę — radziecką pilotkę, która towarzyszyła nam przez całe dwa tygodnie — na którym piętrze jest restauracja z danciegiem, na którym bary z dyskotekami. Rano odlatywaliśmy do Rostowa i dopiero podczas tradycyjnego oczekiwania na lotnisku usłyszałem relację z nocnego życia w Centralnym Domu Turysty. Danciegi w restauracji jest — ale alkoholu nie podają. Dyskoteki także odbywają się „na sucho”, bo w barze na 2 i na 33 piętrze napić się można kawy, herbaty i z piętnastu rodzajów soku owocowego.

„Eeee...” — powiedziała wycieczka i postanowiła sprawdzić, jak to jest z tancecznymi rozrywkami w Rostowie. Przy obiedzie odytaliśmy kelnera, gdzie można potaćczyć? Proszę bardzo, do naszej dyspozycji są dwie restauracje i bar z dyskoteką, jeśli tylko chcemy, można zarezerwować stolik.

Kelner radzi nam, by na tańce zdecydować się dziś, bo w sobotę i niedzielę wszystkie sale zarezerwowane są na wesela. Panie wyciągnęły z walizek stosowne kreacje, panowie, acz niechętnie, wbił się w marynarki i sięgnęli po krawaty. Orkiestra gra, ale parkiet pusty. W restauracji zajęte jest jedynie kilka stolików. Obsługa nieba by nam przychyliła, lecz alkoholu podać nie może. Nasze głupie pytanie: dlaczego? — szefowa sali wzdycha i wyjaśnia, że gdybyśmy zatrzymali wzrok na wielkim plakacie wywieszonym w recepcji hotelu, już byśmy wiedzieli. Szybko wybieramy delegację najlepiej znających język i wysyłamy na zwiady. Zwiadowcy przynoszą przetłumaczony tekst, wynika z niego, iż prawdziwy turysta alkoholu nie pije!

Jesteśmy wprawdzie turystami, ale czy wszyscy są aż tak prawdziwi? Ten i ów przypomina sobie o zawartości swojego bagażu, odwiedza pokój i dopiero potem z werwą rusza na parkiet. Na krótko przed północą nikt już nie pamięta, że jest na dancingu bezalkoholowym i zgodnie dochodzimy do wniosku, że jutro trzeba choćby popatrzyć jak się będą bawić goście na weselnych przyjęciach.

Było na co się pogapić. Wesołe na 150 osób i grama alkoholu na stolikach. Orkiestra gra, tańce i śpiewy. Na trzeźwo.

— Sierioża — pytamy zaprzyjaźnionego od wczoraj „turbylca” — a gdzie tradycyjny toast za zdrowie państwa młodych? Gdzie choćby symboliczny kielich szampana?

— Niet szampanskowo, niet wodki, niet wina, eto swad'ba biez alkohola...

Największe niedowiaraki specjalnie wdawali się w dyskusję z weselnymi gośćmi pilnie przy tym podciągając nosem. Nie nie wywachano — wesele rzeczywiście było „bezprocentowe”... Kreśliłymi głowami ze zdumienia, że też nikt nie przyśnił się z sobą butelczyny, nikt nie lyknał sobie wcześniej choćby dla kurażu, choćby po to, by nogi lepiej w tańcu chodzily?

Zrozumieliśmy dlaczego, kiedy Lena pokazała nam kolejkę przed sklepem sprzedającym alkohol. Tak na oko ze 4 godzinny stania i duże ryzyko, że nie się nie wystoi. Bo sprzedawca trunków trwa tylko od 14 do 19. Sklepowi monopolowych jest bardzo mało, a chętnych wciąż bardzo wielu. Na propozycję, by poszukać sklepu z kolejką nieco mniejszą Lena tylko wzruszyła ramionami.

— Kto chce pić, musi mieć dużo czasu i stać cierpliwie w takich właśnie kolejkach — dodawa patrząc na nas z pobłażaniem.

Okazało się jednak, że niekoniecznie. Do Taganrogu nad Morzem Azowskim zajechaliśmy, gdy zbierało się na potężną burzę. Na szczęście lunęło dopiero wtedy, gdy po obejrzeniu największych atrakcji mieliśmy już czas wolny — czyli czas na zakupy. I wtedy, zupełnie przypadkowo ktoś znalazł sklep, w którym był i koniak, i „szampanskoje”, za to nie było kolejki. Gdy przemoczeni, ale obladowani wróciliśmy do autokaru głośno chwając się zdobyczą, Lena tylko zapytała o dokładne namiary „źródła” i wybiegła na deszcz zapominając o parasolce.

— Kto chce pić, musi mknąć! — powitała ją wycieczka niedyskretnie licząc wystające z torby kolorowe szyki butelek.

— Wiecie — szepnęła do mikrofonu — następna okazja trafi nam się dopiero w Baku. Koniak azerbaiżański jest świetny, a na szczęście w Azerbejdżanie nigdy nie pili się dużo i do tej pory tam kolejkę nie ma...

Rzeczywiście, w Baku kolejki w sklepach monopolowych są mniej więcej takie jak u nas (ale nie przed świętami!). Nareszcie problem alkoholu zszedł na drugi plan, bo mieliśmy coraz to inne atrakcje. Po pierwsze — okazało się, że wszystkie panie z naszej wycieczki szalenie podobają się miejscowym panom. Wystarczyło z niego, iż prawdziwy turysta alkoholu nie pije!



bez męskiej opieki, a już dzień-temeni o smagłych twarzach i przepastnych czarnych oczach proponowali swoje towarzystwo obiecując przy tym rozliczne przyjemności. Przy każdym posilku licytowaliśmy się, kto i w jakich okolicznościach usiłował nas „poderwać”, przy czym najczęściej uciechy miały trzy posiadaczki licznej gromadki wnuków, które tu w Baku, znów poczuły się piękne, młode i pożądane przez mężczyzn.

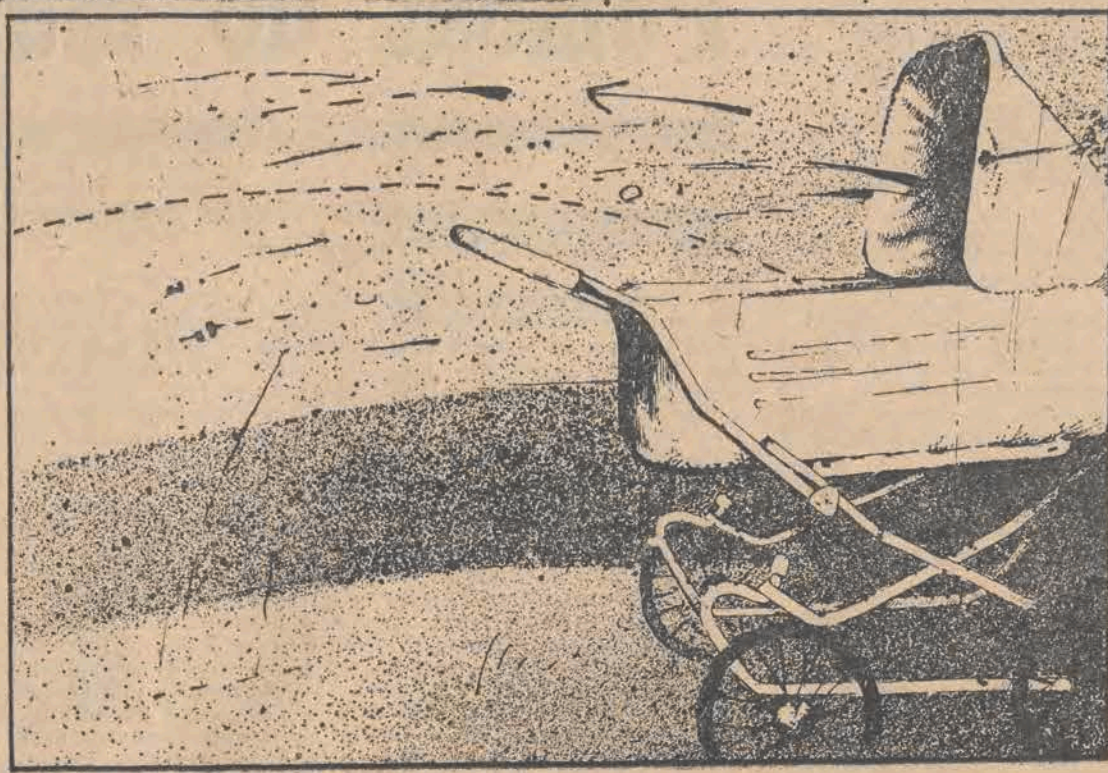
„Nasi” panowie, co prawda czasem mrucze pod nosem „co u diabła ONI w was widzą?”, ale dzielnie pełnili straż przy damskiej części wycieczki. Niezwykle bezinteresownie. Wreszcie mogli rozpiąć się przy stole i z satysfakcją patrzeć, jak kelner najpierw obsługuje mężczyznę, a dopiero potem stawia talerz przed kobietą. „Allah jest wielki” powtarzali na widok tutaj zupełnie zwyczajny — to mężczyzna pierwszy przechodzi drzwi, wsiada do windy, itp. „O, to właśnie jest to, co lubię tygrzysy” twierdzili do momentu, gdy nieopatrznie wprost z autokaru wozącego nas na plażę i z powrotem, wybrali się — no gdzie się wybrali? — po koniak, proszę państwa, się wybrali. Nie pomyśleli o tym, by się przebrać i pomaszzerowali ulicą w koczulkach i krótkich spodniach. Gdy jeden z nich nagle się obejrzał za siebie, zobaczył rzecz straszna: wszyscy turlali się na ich widok ze śmiechem. Ze sklepow, które już minęły, wygłądali klienci i sprzedawcy. Przechodnie patrząc na nich twarzą w twarz nawet nie mrugnęli okiem, za to zaczęli chichotać oglądając ich „tyły”.

Przyjemnie jest budzić zainteresowanie — ale nie takie, nie takie. Sama się o tym przekonałam, gdy któregoś dnia wyciągnęłam z walizki błękitną sukienkę uszytą z „gnieciucha” będącego u nas tegorocznym przebojem mody. Gdy oddawałam klucze „stażnej” spotkałam jej niespokojny wyrok. Pamiętała, że mówię po rosyjsku, więc powoli i wyraźnie zaczęła mi tłumaczyć, iż obok jest specjalny pokój do prasowania. Jest tam deska, jest żelazko, powinnam z tego skorzystać i sukienkę uprasować. Moje wyjaśnienia, iż „tego” się nie prasuje, że u nas w Polsce taka właśnie jest moda, przyjęła z pobłażliwym uśmiechem i zadeklarowała własnoręcznie wyprasowanie „gnieciucha” — skoro ja nie potrafię, ona gwarantuje mi natychmiastową likwidację wszelkich zagrożeń!

Ta pognieciona sukienka uchroniła nas przed dużymi nieprzyjemnościami. Kupiliśmy w sklepie kilka butelek piwa, a ponieważ piwo było zimne, upał zaś straszny, wpadliśmy na pomysł, by wypić je od razu, na miłym skwerku, gdzie stały krzeska i stoliki pod parasolami. Na szczęście, gdy opuszczaliśmy sklep, podszedł do nas starszy pan i patrząc na mój strój raczej stwierdził niż zapytał: — Wyimmostranczy? I zaraz ostrzegł, iż obecnie w dobie działania ustawy o wychowaniu w trzeźwości, możemy to piwo wypić jedynie w domu czy w hotelu. W żadnym razie nie w miejscu publicznym — za to grożą kary...

„Piwny” temat raz jeszcze nas zafrapował. Było to już po powrocie do Moskwy. Wybraliśmy się na małą uliczkę w centrum miasta, na której jest dużo sklepów z pamiątkami i najsynniejszy w stolicy sklep jubilerski — to właśnie tu można sobie pogładzać pierścionki z brylantami po 7 tysięcy rubli lub komplet — koleczki, pierścionek i bransoletka za 15 tysięcy... Zaintrygowana mnie duża kolejka samych mężczyzn grzecznie stojących gęście, jeden za drugim. Dotarliśmy do czoła kolejki skromnie oceniając ją na 200—300 chłopca i wtedy okazało się, że wychodzi ona z drzwi lokalu opatrzonego szyldem „Bar — Piwo”. To stali amatorzy kufia jasnego z pianką. Ile trzeba stać by wypić kufelka? A niedługo — poinformowali nas piwosze — godzinę, półtorej, różnie. Po jeden kufel. Kto chce drugi, musi zaczynać stąd od początku.

Moi towarzysze spaceru popatrzyli po sobie, a potem zerknęli na zegarki. Wszyscy pomyśleliśmy o tym samym — że jutro o tej porze będziemy już w Polsce. Oczywiście trzeźwi i przytomni, bo zapasy z Taganrogu i Baku muszą być w całości przywiezione do domu. Choćby po to, by przy ich zawartości podyskutować o różnicach i podobieństwach w słusznej walce z alkoholizmem prowadzonej przez oba kraje.



Rys. Janusz Szymański-Glanc

# Amerykańskie nastolatki i seks

ROMANO GIACHETTI

Mówią:  
— To był tylko przypadek.  
Albo:  
— Nie umiałam robić nic innego.

Albo jeszcze inaczej:  
— Nikt mi nie powiedział, że dzieci można robić także na stojąco. Myślałam, że w tej pozycji to niemożliwe.

Jakiejkolwiek by były przyczyny zjawiska — bierność, brak zainteresowań, fatalizm czy niewiedza — jedno jest pewne: coraz więcej amerykańskich nastolatek staje się matkami. Na podstawie statystyk można przewidzieć, że czterdziście procent obecnych czternastolatek będzie miało co najmniej jedno dziecko przed osiągnięciem dwudziestego roku życia.

— Jesteśmy dziećmi z dziećmi — uskarżają się. Ktoś odważny niedawno stwierdził, że zjawisko to ściśle wiąże się z atmosferą represji stworzoną przez Reagana. Ale czy tak jest na pewno?

Nie ulega natomiast wątpliwości, że ma ono charakter wręcz epidemiczny. Amerykańskie nastolatki — tj. nieletnie w wieku 13—20 lat, (choć dolny próg stale się obniża, gdyż dojrzałość płciowa pojawia się obecnie już w wieku średnio 12 lat, w porównaniu z 14—15 latami w początku bieżącego stulecia) — płodzą dzieci w zawrotnym tempie. Jedni utrzymują, że jest to następstwo rewolucji seksualnej z lat sześćdziesiątych, inni zaś — że raczej rezultat okresu purytańskiego obskurantyzmu. Dyskusje trwają, a tymczasem nastolatki uprawiają miłość: w motelach, samochodach, halach sportowych, szkołach lub po prostu w domach — na oczach zdumionych lub wyrozumiałych rodziców. I brzemienność nieletnich dziewcząt coraz więcej. Oto dane.

Co roku w USA zachodzi w ciążę ponad milion nastolatek. Cztery spośród pięciu nie są zamężne. Tylko połowa tych, którym „przydarzyło” się przed osiemnastym rokiem życia, kończy liceum. 82 proc. 16-letnich (lub młodszych) matek to z kolei córki matek, które także spłodziły je w niepełnoletności. 90 proc. dzieci spłodzonych przez 15—19-letnie Murzynki nigdy nie będzie znało swego ojca. Połowa czarnych kobiet zachodzi w ciążę przed dwudziestym rokiem życia. 30 proc. skrobanek przypada na nieletnie. 15 proc. nieletnich

matek staje się w ciągu roku matkami po raz drugi, 30 proc. — w ciągu dwóch lat.

Carla P. z Minneapolis mówi:  
— Nudziłam się, chciałam nadać swemu życiu jakiś sens.

Ma 15 lat, dwoje dzieci, nie ma męża. Susan De Petris z Miami (16 lat, niedawno urodzone dziecko, żadnych widoków na pracę) zwierza się:

— Zrobiłam to, bo przynajmniej w ten sposób dostanę od rządu zapomogę.

Rychoło jednak przekonała się, że owa zapomoga nie wystarcza nawet na zakup pieluszek. Madeleine Simmons (także 16 lat, z roczną córeczką), wygnana z domu przez rodziców, uciekła do Bronx. Mówi:  
— Moja matka w wieku 30 lat miała dziesięć dzieci. Nie czuję się bardziej winna od niej. A ojca nigdy nie znam...

Tysiące podobnych historii, trafia na łamy prasy. Niektóre z nich przejmują drszecem, jak choćby ta — 14-letniej Marli F. z Chicago, matki od trzech miesięcy:

— Moi bracia zapoznali mnie ze wszystkimi swymi kolegami. Mówili, że nie ma w tym nic złego, i ja to z nimi robiłam — trochę dlatego, by im się nie narażać, a poza tym trochę mnie to bawiło. Teraz nie wiem, który z nich jest ojcem mojego przyszłego małżeństwa, a bracia mówią, że jestem dziewczynką, i chcą, żebym poszła sobie z domu.

Niektóre rzeczywiście odchodzą. Rodziny im trochę pomagają, najobrotliwsze znajdują pracę, jakos się urządzają. Ale są przedwcześnie przysięgłe: ciąży im odpowiedzialność, której nie rozumieją, dręczą obowiązki, do których pełnienia nie są przygotowane. Mówią:  
— Czasami, gdy zaczyna ryć, mam ochotę je udusić.

— Gdy będę miała 24 lata, mój syn będzie miał 10. Zegnaj młodości!

Ankieta Harrisa stwierdziła, że 84 proc. dorosłych Amerykanów uważa zachodzenie w ciążę przez nieletnie za „poważny problem narodowy”. Ale co mogą uczynić?

Gubernator stanu Wisconsin ogłosił ustawę o finansowaniu szkolnych programów edukacji seksualnej, przywrócił sprzedaż środków antykoncepcyjnych bez recepty. Przenaczył milion dolarów na uruchomienie medycznego poradnictwa dla brzemiennych dziewcząt, a także podjął inicjatywę, która rozpę-

tała lśne piekło: odpowiedzialność finansowa za nowo narodzone dzieci ma spaść... na dziadków. By utrzymać na wodzy nastolatek, każdy sposób może okazać się dobry.

W pewnym liceum w Chicago (gdzie co roku trzysta na tysiąc uczennic zachodzi w ciążę) otwarto poradnię, w której dziewczęta — upoważnione przez matkę lub ojca — mogą zaopatrywać się w przerwytywy, pigułki, diafragmy i inne środki antykoncepcyjne. W Los Angeles, w innym liceum (gdzie w tym dziesięciu w skali kraju, które przystąpiły do kontraktu) środki antykoncepcyjne sprzedaje się — obok podręczników — w szkolnej księgarni.

Podobne inicjatywy rychoło oceniono jednak jako „liberalne”, a nawet rozległy się głosy o „skandalu”. Strona przeciwna zareagowała zaś na swój sposób: religijne organizacje konserwatywistów — upatrując w tym zresztą swój biznes — opracowały liczne programy, mające na celu powstrzymanie nieletnich dziewcząt przed spędzaniem piątku. Fundusz „Moral Majority” ks. Jerry Falwella przeznaczył 4 mln dolarów na akcję „Uratuj dziecko”. Kwotę tę zresztą wpięła z góry pewna agencja zajmująca się sprzedażą noworodków na adopcję. Uczestnicy innych akcji przyczyniają się do — obok prezentu dla mającego się urodzić dziecka — wręczając polonimom przystrojone wstążeczkami pudełko, zawierające przerwytywy, diafragmy i różne maści, aby „kłopot” się nie powtórzył.

Inni jeszcze zapraszają nieletnie matki na dyskusje o macierzyństwie — prowadzone, oczywiście, przez matki dorosłe. W San Juan Capistrano (stan Kalifornia) na zebraniu rodzicielskim w pewnej szkole, poświęconym tym zagadnieniom, wkroczyła grupa konserwatywistów ubranych w mundury z epoki amerykańskiej rewolucji i ciągnących za sobą armate (mundury i armaty — to podstawowe elementy kiczowatych oleodruków, zawsze rezonujące w świadomości Amerykanów). Malowniczej grupie chodziło, oczywiście, o to, by dyskusja w ogóle się nie rozpoczęła.

Dyskusja jednak trwa nadal. 78 proc. Amerykanów jest za edukacją seksualną w szkołach, łącznie z drażliwym tematem kontroli urodzin. Jednak każdy program tego rodzaju trafia na opór. W 1981 roku Reagan wystrząpił z apelem — nazwanym

potem „ustawą o niewinności” — o „zniechęcanie nieletnich do uprawiania seksu”. Od tamtej pory reaganowcy — w nadziei na sparaliżowanie wysiłków zwolenników edukacji seksualnej — prowadzą „program”, który można streścić jednym jedynym słowem: wstrzemięźliwość.

Natomiast młodzież — jak się wydaje — w ogóle puszcza mimo uszu wszelkie podobne inicjatywy. Badania, przeprowadzone w 37 krajach przez nowojorski „Alan Guttmacher Institute”, wykazały, że Stany Zjednoczone bezwzględnie przodują, jeśli chodzi o liczbę ciąż stwierdzonych u dziewcząt w wieku od 15 do 19 lat. Zjawisko to w dużej mierze przypisuje się tzw. „feminizacji ubóstwa”, za którym to określeniem kryją się przede wszystkim matki-Murzynki. Jednakże równocześnie okazuje się, że białych amerykańskich nastolatek zachodzi w ciążę dwa razy więcej niż np. angielskich czy francuskich, a sześć razy więcej niż holenderskich.

U podstaw zjawiska leży, rzecz jasna, ignorancja, ale problem walki z nią jest o tyle złożony, że zawiera w sobie zarówno walkę o przeprowadzanie zabiegów przerywania ciąży i sprzedaż środków antykoncepcyjnych, jak i o programy opieki socjalnej oraz wspomnianą edukację seksualną w szkołach, a także w ogóle o uświadomienie seksualne nieletnich (w nie mniejszym stopniu — również chłopców).

To prawda, że w ostatnich trzydziestu latach wiele się w tych sprawach zmieniło, jednak nie tyle w „seksualnej aktywności” — bo ta nawet wzrosła — ile w samej postawie społeczeństwa. W latach pięćdziesiątych tylko 15 proc. parodów u nieletnich było „nielegalnych”; obecnie wskaźnik ten dochodzi do 50, a w niektórych rejonach kraju nawet do 75 proc. Ale 30 lat temu ciąża z reguły powodowała zawarcie małżeństwa, gdy tymczasem dziś o ślub zabiega mało która brzemienna dziewczyna. Zresztą, samo słowo „nielegalne” już wyszło z użycia. Dwa na trzy śluby nastolatek kończą się rychłym rozwodem, toteż rodzice nieletnich matek są ostrożni w doradzaniu podobnych rozwiązań.

Poza tym, kiedyś 35 proc. dzieci „nielegalnych” było adoptowanych, a obecnie dzieje się to tylko w 5 proc. przypadków. To już nie te czasy, kiedy to niejaką Ingrid Bergman wylano z Hollywoodu, bo spodziewała się „pozamałżeńskiego” dziecka. Dzisiejsze Amerykanki — jak choćby Jessica Lange, Farrah Fawcett czy Jerry Hall (dziewczyna Micka Jaggera) dumnie są ze swego „niezależnego macierzyństwa”. Mass media przekonały młodzież, że nie ma niczego złego w wydaniu na świat „bezojcowskiego” potomka.

Niemalą rolę odgrywa również pewien styl bycia młodzieży. „Zadna już dzisiaj nie chce być dziewicą” — zauważa pewien socjolog. Przedwcześnie seks jest wręcz lansowany w prasie, telewizji, w licznych książkach. Jeśli do tego dodamy wybitnie erotyczną atmosferę programów video, dyskotek, występów zespołów rockowych i całej muzyki nastolatków — z łatwością skonstruujemy, jak wielką drogę przebyliśmy od epoki Doris Day do epoki Madonny.

A przy tym wszystkim, godny jest zastanowienia niezwykły wysoki stopień seksualnej ignorancji amerykańskiej młodzieży. Wiele dziewcząt uważa np., że „przy pierwszym razie w ciążę się nie zajdzie” albo, że „na stojąco nie zaskakuje”. Zaledwie jedna dziewczyna na trzy zabezpiecza się przed ciążą. W Szwecji, Holandii i innych krajach rozwiniętych życie płciowe nastolatek nie tylko jest intensywniejsze, ale nawet wcześniej się zaczyna, a mimo to dziewczęta potrafią uniknąć ciąży. Po prostu — tam młodzież wie na ten temat znacznie więcej, bo uczy się o tym już w szkołach podstawowych.

Można by zapytać: dlaczego tak nie jest w Stanach Zjednoczonych — kraju chęłpiącym się, że przoduje we wszystkim? Odpowiedź jest prosta: dlatego, że pod pewnymi względami Stany Zjednoczone znajdują się zdecydowanie na szarym końcu. Oto np. ubiegłego lata Związek Położnych i Ginekologów podjął inicjatywę wystąpienia w telewizji z programem „informacji seksualnej dla nieletnich”. Z początku trzy wielkie sieci tv program ten zaaprobowały, a potem en bloc go odrzuciły — gdy tylko zorientowały się, że występuje w

niem określenie „środki antykoncepcyjne”. Faye Wattleton z „Planned Parenthood Federation” (towarzystwo świadomego macierzyństwa) tak to potem skomentowała: „Europejczycy uważają rozwój płciowy za coś normalnego, my natomiast chcemy go zahamować, gdyż wciąż jeszcze przytaczają nas zasady purytańskiej moralności. Najgorsze jest jednak to, że równocześnie wyobrażamy sobie, iż nasze społeczeństwo jest najbardziej otwarte i rozwinięte na świecie. To ta dwójstwo właśnie niesie z sobą aktualne „niemożności”, ideologiczne konflikty, właśnie, no i nie chciane ciążę”.

— My, młodzi, myślimy tylko o tym, jak dobrze spędzić weekend — mówią dziewczyny. Potem niektóre z nich — nawet same przed sobą — usiłują zataić stan brzemienności. A niektóre matki nie chcą o tym nawet słyszeć. W wielu rodzinach seks — to po prostu tabu. Nie mówi się o nim — tak jakby go w ogóle nie było. A potem pojawia się dziecko. Łatwo jest, oczywiście, zwałić winę na przypadek, na los. Pewien lekarz z Atlanty jednak zauważa z przekąsem: „Zadnej jeszcze dziewczynki sam los nie odebrał dziewczęta, ani tym bardziej nie obdarzył jej dzieckiem”.

Pojęcie „stosunku dla zabawy” (tak to nazwał znany behawiorysta B. F. Skinner) funkcjonuje tu, w Stanach we wszystkich klasach społecznych i rasach, wśród bogatych i biednych, białych i czarnych, u Indian i Meksykanów. Białe dziewczęta częściej o prawdę, niż czarne uciekają się do przerywania ciąży, ale i wśród nich jest bardzo dużo nieletnich matek. Chłopcy zaś nie wiedzą, jak się zachować w takiej sytuacji: albo znikają, albo — jeżeli nawet pragną przyjąć dziewczynę z pomocą — to nie wiedzą, jak to zrobić. Jeśli nawet porzucają szkołę i znajdują jakąś pracę — niewiele tym pomagają, gdyż bez co najmniej matury trudno dostać lepszej płatnej zajęcie. A poza tym, często i sama dziewczyna nie życzy sobie „litosci” od chłopca.

Jednak najostrej problem występuje wśród ludności czarnej. Wiele „przyszłych matek” to ofiary gwałtu, wiele z nich w ogóle nie ma własnych rodzin. Na dodatek — jak uważa jeden z badaczy życia w Harlemie — „wśród najbiedniejszych całą sprawę kwituje się wzruszeniem ramion. O przerywaniu ciąży nie ma mowy. O małżeństwie — również. Dziecko? Jedno mniej, jedno więcej — co za różnica? To ludzie, którzy nigdy nie patrzą w przyszłość”. Na domiar złego, amerykańskie czarne nastolatki są chyba najpłodniejsze na świecie. Jeśli uzupełnimy to faktem, że czarnych kandydatów na mężów jest coraz mniej (ze znanych powodów: bezrobocie, wielu w więzieniach, przerażający wskaźnik samobójstw w wieku od 15 do 44 lat) — obraz staje się naprawdę niewesoły.

Wśród biednych warstw ludności białej jest zresztą podobnie, a efekty takie same jak u czarnych: rozprężenie moralne, powtarzające się ciążę, rodzenie słabowitych dzieci. Niedawno przeprowadzone badania porównawcze pomiędzy matkami dorosłymi (w wieku 20—24 lata) a niepełnoletnimi (13—19 lat) wykazały, że 92 proc. tych ostatnich cierpi na poważną anemię, a 23 proc. ponadto na inne choroby. Rząd wydaje rocznie 8,6 mld dolarów na opiekę medyczną nad nieletnimi matkami, ale suma ta wcale nie wystarcza.

— Cóż pozostaje nam innego, jak tylko — i w szkole, i w domu — uczyć nasze córki unikania „kłopotów”? — słychać zdesperowane głosy liberałów.

— Nie, tylko nie w szkole! — oponują wciąż ci z prawej. — Wychowanie seksualne dzieci to obowiązek rodziców. Naukanie tego w szkołach — to to samo, co aprobaty nierządu. To tak, jakbyśmy stwierdzili, że w seksie jest coś dobrego.

Sprzeczką trwa, a tymczasem 16-letnie matki pytają swych rodziców, czy mogą pójść do kina albo na tańce. A jeśli wracają „po godzinie policyjnej”, bywa że i po twarzy mogą dostać i pochlipują w kącie. Otarliży zaś lzy, przeobrażają się w to, czym być nawet nie potrafiały: w matki. I tylko dlatego, że z łóżeczka dobiega inny, nie znoszący sprzeciwu, płacz.

(„Epoca”)  
Tłum.: A. G.



# Pomost do muzyki

Rozmowa z doc. FELIKSEM FLISEM dziekanem Wydziału Wychowania Muzycznego Akademii Muzycznej w Łodzi



Andrespolu, Nowosolnej i Strykowie. Uczą w tej szkółce studenci i pracownicy akademii. Chcemy dzięki niej pozyskać najbardziej młodzież do szkół muzycznych, a także pomóc w działalności zespołu regionalnego.

— Pragnąłbym poruszyć jeszcze zagadnienie pańskiej — znanej już szerzej — audiowizualnej metody nauczania przedmiotów muzycznych, o której w książce „Polihymnia ucząca” Jan Proszak napisał, że „w nowoczesny sposób ujmuje proces kształcenia słuchu przy zastosowaniu najnowszych środków technicznych”. Przypomnijmy krótko, na czym ta metoda polega.

— Łączy ona kształcenie słuchu z zasadami muzyki, harmonii, formami muzycznymi i praktycznym instrumentoznawstwem. Dzięki odpowiedniej aparaturze, zawierającej magnetofon, przeczca, stół sterowniczy oraz przeznaczone dla każdego ucznia pulpity ze słuchawkami, czytelnikiem do przeczycy i klawiaturą, uzyskuje się całkowite zindywidualizowanie nauczania w grupie. Zwiększa to skuteczność nauczania i oszczędza czas.

— Pańskie rozwiązania zacieklewały m. in. uczestników kongresu ISME, a także — jak wiem — zagraniczne szkolnictwo muzyczne. Co natomiast dzieje się z tą metodą na naszym krajowym gruncie?

— Minęło właśnie 13 lat od zorganizowania przez łódzką PWSM konferencji na ten temat dla nauczycieli szkół muzycznych w całym kraju. Sprawa zajął się potem Instytut Pedagogiki Muzycznej przy PWSM w Warszawie oraz COPSA. Lecz dopiero w tym roku, w grudniu, ma być wydany (w języku polskim i angielskim) I tom materiałów dydaktycznych z przewodnikiem metodycznym, przezrociami i ok. 40 taśmami magnetofonowymi z nagranymi ćwiczeniami. W tym roku udało się też wyposażyć w odpowiednie urządzenia pracownię w łódzkiej Akademii Muzycznej i w Szkole Muzycznej II stopnia w Białymstoku.

— Chyba nieprzypadkowo kończymy tę rozmowę mównicą właśnie o kształceniu słuchu...

— Faktycznie, ogromna jest rola tej dyscypliny w wychowaniu muzycznym. Wykształcony słuch, to bez wątpienia najlepszy pomost do rozumienia muzyki, do wejścia w strukturę utworu.

Rozmawiał:  
JANUSZ JANYST

— Pan chyba nie tutejszy — kontynuowała pani Brańska. — Znam tu prawie wszystkich. — Jestem tu pierwszy raz — Karol spłócił ręce, po czym zaczął operować palcami, jakby chciał je rozgrzać. — Właściwie przejazdem — dodał. — Zatrzymałem się na kilka dni, bo spotkałem mojego przyjaciela, którego nie widziałem chyba z piętnaście lat.

— A kto to taki, może go znam — zapytała. — Chyba pani go nie zna. Przyjeżdża tu czasami na małe leczenie. Nazywa się Kazimierz Garland.

— Rzeczywiście, nie znam — odparła. — Ale on panią zna — Karol zauważył, że pani Brańska lekko poblądła. Poczuli rosnącą radość. — Oczywiście — dodał. — Tak? Zdziwiła się — a skąd?

Kiedyś siedząc w parku miejscowy znajomy powiadał mi o pani.

— Co tam o mnie można opowiadać. Prowadzę tak jednostajne i nieciekawe życie, że można w dwóch słowach je zawrzeć.

— Nigdy nie wiadomo, co w człowieku drzemie. Czasami bywa, że za pozornym spokojem

JAN NOSKO

## Jestem wolny! (2)

kryją się różne dramaty — Karol czuł, że zbliża się powoli do zasadniczej chwili. Oparł ręce o fotel i głębiej się wcisnął.

— Dla każdego starość to dramat, chociaż tyłu jest wesołych starych ludzi. Nachyliła się nad szklanką, jakby chciała zobaczyć, czy jest jeszcze herbata. Pan ma rodziców? — zapytała.

Karol „błysnął oczami i przeklnął sline” — Nie, nie mam — odpowiedział — zginęli podczas wojny — dodał i spojrzął jej w oczy. Nie wytrzymała i patrząc w bok powiedziała: to straszne, to bardzo straszne.

— Matka miała byle lat co pani — Karol zauważył, że jej ręce zacisnęły się.

— Czego pan chce ode mnie — powiedziała nagle. Trochę za szybko — skłócił się Karol w duchu, jeszcze nie czas, pomyślał.

— Bardzo panią przepraszam, jeżeli czymś uraziłem, nie miałem takich intencji. Zdaje się, że temat wojny nie jest dla pani przyjemny.

— To nerwy, poza tym rzeczywiście temat ten dla każdego, kto ma tyle lat, co ja, nie należy do wesołych — dorzuciła.

— Widzi pani, chciałbym niestety wrócić do przeszłości, chociaż nie bardzo wiem od czego zacząć. Pani na pewno wiele w swoim życiu doświadczyła. Ja, na przykład — nigdy nie sądziłem, że wyrzuty sumienia mogą tak doskwierać, że człowiek staje się powoli niezadowolony o niczym innym myśleć, tylko o swojej winie.

— Nie wygląda pan na człowieka, któremu dokucają wyrzuty sumienia — w głosie Brańskiej wyczuwało się napiętą uwagę.

— Być może — odpowiedział — a jednak muszę powiedzieć, że to jest prawda. I dlatego przyszedłem do pani, aby ją prosić o pomoc.

— Pan? Mnie? — zdziwiła się.

— Tak — Karol spojrzął i zawałił się. Trzeba zwolnić — pomyślał. Wydało mu się, że od czasu, kiedy tu wszedł, staruszka jakby zmalała. Jej twarz zrobiła się jeszcze bardziej szara, oczy zmalały, a usta coraz bardziej zaciskały się.

— Proszę, niech pan mówi — powiedziała. — To niewątpliwie ona. Tylko nazwisko zmieniła. Dlaczego? Cha, cha. Durniu, to przecież jasne! Tak! Tak! To ona. Te same regularne rysy. Ta mała blizna na prawej ręce. I w ogóle jej ruchy, chociaż bardzo powolne, przypominały młodszą o kilkadziesiąt lat Helenę Dylewską. Mam ją — pomyślał.

— Co panu jest! Co się stało! Dlaczego pan zamilkł? — Brańska wstała. Ale widocznie napięcie, które ponownie zaczęło ją ogarniać z ogromną siłą spowodowało osłabienie, gdyż usiadła z powrotem.

— Jestem stara — powiedziała — i niepotrzebnie się unoszę. Ale ostatnio testem czymś podenerwowana. Niechże pan wręczyć mi powie, o co panu chodzi i niech pan stąd idzie — wyrzuciła z siebie ogarniającą ją pasję.

— Proszę pani — zaczął ostrożnie — mój przyjaciel, chyba w czterdziestym drugim roku dostał polecenie wykonania wyroku na pewnej mu bliskiej osobie. Ta osoba była mu bliska, ponieważ to była matka jego serdecznego przyjaciela.

— Jak nazywał się ten przyjaciel — oczy staruszki coraz bardziej się rozszerzały, a ręce mocno zacisnęły się na pustej szklance.

— Andrzej Dylewski — Karol nie odważył się w tym momencie spojrzeć jej w oczy.

— Ach, więc wykonał wyrok i teraz ma wyrzuty sumienia. Tak, to zrozumiałe, zwłaszcza, że pewnie był wtedy młodym chłopcem.

Karol nabrał powietrza w płuca jakby chciał przystąpić do ataku, ale powiedział tylko: — Nie proszę pani. Wyrzuty sumienia ma z zupełnie innego powodu.

— Jakiego?

— Otóż, po wojnie pracując w archiwum natknął się — zupełnie przypadkowo — na zbiór dokumentów dotyczących gestapo z terenu piotrkowskiego... Karol spojrzął ukradkiem — staruszka miała zamknięte oczy i ani kropki krwi na twarzy. Dostanie ataku serca? Nie! Jeszcze nie teraz.

— Proszę pani, proszę pani — zawołał — może wody. Może ją niepotrzebnie panią dręczę, może wywołuję jakieś okropne wspomnienia. — Staruszka przez moment nie odzywała się. Wręczyła podniosła na niego wzrok i niemal spokojnie powiedziała:

— Ja jestem Helena Dylewska. A pan jest Karol Ratajski. — Karol omiął ją dłuższą chwilę nie wiedział co powiedzieć. Chętnie lknąłby czegoś mocnego, aby powstrzymać dreszcze, które go opanowały. Zrobiło mu się zimno. Podniósł wzrok. Nienaturalnie biała twarz staruszki była pełna oczekiwania.

— Z dokumentów tych wynikało — powiedział — że jest pani niewinna. A wyrok, który wydano na panią — niesłuszny.

— A mój syn? — zawołała.

— Nie wiem skąd się dowiedział, że ma być wykonany wyrok na pani i w oznaczonym dniu czekał w bramie.

— Na pana? — wzrok staruszki stał się zimny, a głos ostry i przenikliwy.

— Na mnie — Karol odpowiedział zdecydowanie — strzelał do mnie dwukrotnie. Byłem tak zaskoczony i przestraszony, że dopiero drugi strzał, ten niecelny spowodował odruch samoobrony. Nie wiem, jak to się stało, że strzeliłem — ale jak się potem okazało — strzelałem do pani syna.

— I to wszystko? Pan jest nieszczerzy, nie mówi wszystkiego do końca. Pan jest przekonany, że Andrzej wiedział do kogo strzela. — Karol nie odpowiadał. — No niech pan przyzna mi rację.

— Tak, ma pani rację. — I z tego powodu nie ma pan wyrzutów sumienia?

— Raczej nie.

— Ale mego syna nie ma. Mąż też nie przeżył wojny. A pan żyje i ja żyję. Po co pan tu przyszedł. Zeby mi uświadomić, że to nie złośliwy los, ale ja wszystkiemu jestem winna.

Karol poczuł, że zaczyna go ogarniać fala wściekłości. Cały się sprężył. Nagle uśmiechnął się i powiedział ze smutkiem:

— Przyszedłem tutaj przecież uwolnić panią od poczucia winy.

— Nigdy nie czułam się winną. Skąd to panu przyszło do głowy — krzyknęła. — Ja nigdy nie zdradziłam.

— Tak, to prawda — pani nigdy nie zdradziła. — Karol patrzył na nią wyczerpanym wzrokiem, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć. Z pewnym wahaniem dodał: — czy nie zadawała pani sobie pytania — jak to mogło zdarzyć, że jednak gestapo wypuściło męża, no i pani nic się nie stało.

Dylewska zacisnęła usta i długo patrzyła Karolowi w oczy:

— Mój mąż był umierającym i widać uznali, że dalsze zatrzymywanie nie ma sensu.

— Teraz pani nie jest szczerą, udając naiwną. — Nagle poczuł, że to właśnie teraz chce to zrobić. Mieć to wręczcie poza sobą. Musiało być w jego twarzy, w całej osobowości coś, co przeraziło Helenę Dylewską.

— Co się stało? Co panu jest? — mówiła cofając się. Złapała się za serce i zachwiała się.

Karol opanował się. Do diabła, co mi się stało — pomyślał. Podam pani wodę — chwycił szklankę i szybkim ruchem odkręcił kran. Po chwili Dylewska odzyskała siły. Powoli unosiła głowę, jeszcze ciężko oddychała, twarz pokryła się ciemnymi plamami, ręce czegoś gorączkowo szukały. Wręczyła otworzyła szufladę — gdzieś tu miałam proszki — powiedziała. Ręka staruszki zanurzyła się w głąb. Na chwilę znieruchomiała, jakby natrafiła na coś czego nie oczekiwała. Odwróciła się, w rękę trzymała pistolet. Patrząc na Karola powiedziała z determinacją:

— To mój mąż zdradził — to pan chciał powiedzieć. — Karol zdrewniał, zaczął cofać się. Czuł, że za chwilę stanie się coś strasznego.

— Nie, to nie pani mąż. Pani Heleno! — krzyknął. — Co pani robi. Skąd ten pistolet?

— To broń mego syna, którego pan zabił.

— Mówiłem, że był to odruch samoobrony.

— To nieprawda! Pan chciał zabić mego syna.

— Nie! Wyrok był na panią.

— Ale pan szedł zabić mego syna, bo on wiedział, że to pan jest zdrójca.

— Pewnie mu gestapo o tym powiedziało, z którym widocznie współpracował.

— Nie, to mój mąż mu o tym powiedział, ponieważ to on współpracował z gestapo. Ale mój mąż był jednym z najbardziej zaufanych ludzi podziemia, tak jak pan był jednym z najbardziej zaufanych ludzi gestapo. To pan zadunął mego męża i rzucił na mnie podejrzenie o zdradę.

— Przecież przyszedłem do pani w najlepszych zamiarach — powiedział, że wyrok był niesłuszny.

— To kłamstwo! Przyszedł pan, bo przez wiele lat dręczyła pana obawa, czy nie zostanie zdemaskowany. To co znalazł pan w archiwum dotyczyło pana i pana roli agenta gestapo. Informacja kolegi o tym, że ja żyję musiała pana mocno przestraszyć. Jest żywy świadek! Oto dlaczego chciał mnie pan zobaczyć.

— To jakaś pomyłka! — Karol czuł, że wpadł w pułapkę. — Nie byłem agentem gestapo, nie byłem denuncjatorem. Niech mi pani powie, dlaczego gestapo wypuściło pani męża. Jak to się mogło stać, że pozwolono wam obojgu wyjechać z Piotrkowa. Przecież to nieprawdopodobne!

— A jednak tak się stało, bo zapłaciłam za to wypuszczenie straszliwy haracz. Dużo złota i dolarów, śmierć syna i nieuleczalnie chorem mężem, który zmarł nie doczekawszy wyzwolenia.

Karol zdał sobie sprawę z decydującego znaczenia tej chwili. Patrzył na rękę staruszki trzymającą broń. Czy pistolet jest nabit?

— Pani mnie nie zabije — powiedział i zrobił ruch w jej kierunku.

— Niech się pan nie zbliża — staruszka silniej zacisnęła dłoń, jednocześnie wysuwając ją do przodu.

— Żeby strzelić, przedtem trzeba odciągnąć zamek do tyłu i puścić — powiedział i zrobił jeszcze jeden nieznaczny krok.

Po twarzy Heleny Dylewskiej przesuwały się krople łez i potu.

— Niech pan się zatrzyma, niech pan sobie pójdzie — powiedziała. Karol już był pewien. Pistolet jest nabit! Teraz...

Huk gwałtownie otwartych drzwi, skok ludzi w białych kitlach.

— Niech pani nie strzela! Niech pani nie strzela! To nasz pacjent — powiedział jeden z nich — już nam więcej nie ucieknie.

W drzwiach ukazał się Kazimierz Garland, podszedł do staruszki.

— Już wszystko dobrze, już dobrze — powiedział. Ale Helena Dylewska tego nie słyszała.

— Nie żyje — powiedział człowiek w kitlu — przestraszyła się naszego skoku, no i nie wiadomo co ten gagatek tu wycyznił.

Karol patrzył na nieżyjącą staruszkę, jego oczy coraz bardziej się rozszerzały. Wręczył wskoczył na krzesło, rozłożył ręce i wybuchnął śmiechem.

— Jestem wolny! Jestem wolny! Jestem wolny! — krzyczał.

KONIEC



## Rozmowa z prezesem Oddziału Łódzkiego Stowarzyszenia Autorów Polskich KAZIMIERZEM ARENDEM.

**O**ficjalnie SAP istnieje od 29 lipca 1982 roku, kiedy to Urząd Miasta Stołecznego Warszawy zarejestrował Stowarzyszenie Autorów im. Bolesława Prusa. Ja dowiedziałem się o jego istnieniu już po pierwszym walnym zgromadzeniu delegatów, na którym zrezygnowano z imienia autora „Lalki”, a dodano przymiotnik — Polskich. Wówczas do Stowarzyszenia należało kilka osób z Łodzi.

- Dlaczego zmieniono nazwę?
- Ponieważ SAP skupia nie tylko autorów dzieł zaliczanych do literatury pięknej, ale także naukowców, publicystów, dziennikarzy, lekarzy i wielu innych, jednym słowem wszystkich ludzi pióra.
- Ale mówiliście o tym jak doszło do powstania oddziału w Łodzi.

# Autor to nie tylko literat

— Najpierw dotarłem do większości członków Stowarzyszenia Autorów im. B. Prusa, którzy jak się okazało nie byli raczej zainteresowani dalszą działalnością. Następnie namówiłem kilku kolegów z Klubu Młodych Pisarzy „Wiadukt” przy Zarządzie Łódzkim ZSMP, odwiedziłem wszystkie łódzkie uczelnie i muzea, gdzie zostawiałem statut i deklaracje SAP, i w ten sposób zebrało się 15 osób, które zgodnie z przepisami mogły wystąpić do władz miasta z wnioskiem o rejestrację oddziału.

W tej chwili jest nas 67. Dla porównania oddział warszawski liczy 500 członków, krakowski 150, gdański 50. Razem w 19 oddziałach zrzeszonych jest ponad 1300 osób.

— Kto może wstąpić do SAP?

— Na drugim Nadzwyczajnym Walnym Zgromadzeniu Delegatów SAP podjęto uchwałę mówiącą, że członkiem Stowarzyszenia może zostać pełnoprawny obywatel PRL, którego twórczość znajduje się pod ochroną prawa autorskiego i który ma dorobek twórczy w postaci przynajmniej dwóch książek lub pięciu dzieł literackich, publikowanych w formach audiowizualnych, zgodnie z obowiązującymi przepisami.

— Jaki jest wasz stosunek do Związku Literatów Polskich?

— Przyjazny. Współpracujemy w wielu dziedzinach, bo przecież nasze interesy się krzyżują. Zresztą w naszym stowarzyszeniu jest kilku literatów nie spełniających jeszcze kryteriów ZLP, ale wraz z upływem czasu nabiorą, mam nadzieję, pełnych praw i będą działali i tu, i tam.

— Odnoszę wrażenie, że członkowie SAP mają kompleks ZLP, że są o jedną książkę gorsi, że traktują Stowarzyszenie jako przedsiobek Związku.

— Chcesz powiedzieć, że jesteście gorsi od ZLP?

— Coś w tym rodzaju.

— Nie możemy być gorsi, ponieważ jesteśmy inni. Był prezes SAP prof. Jerzy Prokopczuk powiedział w wywiadzie dla miesięcznika „Prasa Polska”: — „Pole działania stowarzyszenia znajduje się między ZLP a organizacją dziennikarzy. Była to do niedawna ziemia niczyja, która nas została zawiąszone”.

— Jak radzicie sobie z taką wielością zainteresowań?

— Powołanych zostało kilka sekcji m. in. sekcja autorów dzieł naukowych, popularnonaukowych, literatury faktu. Na ostatnim walnym zgromadzeniu z inicjatywę łódzkiej delegacji prof. Bożydara Latkowskiego i dr. Krzysztofa Buczyńskiego powołano sekcję literatury medycznej.

— Myślę, że spora liczba dyscyplin, jakimi zajmują się członkowie SAP pomaga nam samym. Przede wszystkim nie kłimy się w jednym środowisku. Mamy możliwość łatwiejszego wglądu w to, co robią inni. Przed powstaniem SAP nie było takiego miejsca, gdzie mogliby się spotkać lekarz z poetą, karateka z biologiem, księgowy z historykiem, matematyk z pisarzem itp.

— Ale porozmawiajmy o konkretnych. Dlaczego warto należeć do SAP?

— Jest to pewnego rodzaju nobilitacja. Udokumentowanie twórczego charakteru pracy. Poza tym są korzyści bardziej namacalne — uprawnienia emerytalne i rentowe, dodatkowy urlop twórczy, zwolnienie z części podatków od honorariów za książki, ulgowe bilety w placówkach upowszechniania kultury, pełnopłatne spotkania autorskie.

— W czasie krótkiej działalności udało nam się załatwić dla kilku członków maszynę do pisania, półki w księgarniach, talony subskrypcyjne na encyklopedie — tutaj składam głęboki ukłon w kierunku kierownictwa łódzkiego oddziału Domu Książki.

— Jakle macie plany?

— Z najważniejszych przedsięwzięć Rady Głównej należy wymienić projekt powołania własnego wydawnictwa, które prawdopodobnie będzie się nazywało „Oficyna autorska”. W Łodzi przygotowujemy wystawę dorobku naukowego, literackiego, publicystycznego naszych członków. Już dziś mogę zapewnić, że syczące się wydarzenie dużej rangi i wielu zwiedzających będzie zaskoczonych ogromnym wkładem łódzian w rozwój nauki i kultury polskiej. Równocześnie organizowana jest w Łodzi ogólnopolska wystawa połączona z sesją popularnonaukową poświęconą książce medycznej. Do obu wystaw dołączony zostanie katalog będący swego rodzaju WHO IS WHO. Po zamknięciu zaś ekspozycji przekazane zostaną do Muzeum Literatury i Prasy — Oddziału Muzeum Historii Miasta Łodzi.

— Pragniemy pomagać młodym twórcom przed debiutem. Ostatnio przegarnaliśmy młodych autorów, studentów UE. Organizujemy cykl spotkań autorskich naszych członków. Chcemy ich sylwetki popularyzować na antenie telewizyjnej i radiowej. Ponadto będziemy robić wszystko, do czego zobowiązuje nas statut, czyli dbać o to, by ludzie pióra mieszkający w Łodzi mieli jak najlepsze warunki pracy.

— A gdzie teraz należy was szukać?

— Tymczasowa siedziba oddziału łódzkiego Stowarzyszenia Autorów Polskich mieści się w budynku Centrum Kultury Młodych przy ulicy Wróblewskiego 28, tel. 84-24-02.

Rozmawiał:  
MAREK MAMOS

# 1

## Wieniec w deszczu

Postanowiliśmy pojechać do D. na dożynki gminne. D. leży w województwie sieradzkim, ale nie jest to informacja najważniejsza. Pogoda była zmienna: padało, a w wolnych chwilach od padania, świeciło słońce. Dzieci niecierpliwiły się w samochodzie. — No, gdzie te dożynki? — wołały. — Jedziemy i jedziemy i nie! — A ujechaliśmy ledwo kilka kilometrów, kilka jeszcze było przed nami.

W D. już się gromadziły ludzkie. Dożynki miały być na szkolnym dziedzińcu. Zbiórka była jednak z półtora kilometra dalej. Na szczęście nie wysiedliśmy z samochodu, gdy potężnie lunęło. Uczestnicy dożynek pochowali się, gdzie kto mógł. Na deszczu pozostał jeden z dożynkowych wienców, jako że każde sołectwo miało swój wieniec. A niektóre nawet programy dożynkowych pieśni. Zadbaly o to Koła Gospodyń Wiejskich.

— Ja chcę zobaczyć największe kartofle i buraki! — dopominał się niecierpliwie Wojtus.

— A ja chcę maszerować za orkiestrą! — oświadczył Kazio.

— To jest batalion najlepszych trębaczy w gminie — powiedział poważnie pan Henio, mając na myśli nie tyle dmuchanie w trąby, co inny rodzaj trąbienia.

Nadjechał samotny jeździec na koniu w czerwonej oponczy, jako reszka dawnych banderli chłopskich. Bogumił N. siuszenie zauważył, że w pochodzie idą sami starsi ludzie. Młodzieży jakoś nie było widać. Na estradzie też występowały chóry starszych już — niestety — wiekiem pan, wśród których trafiali się — niczym rodzyński w cieście — młodsze gospodynie wiejskie. Dla sprawiedliwości dodam, że występowały też dzieci szkolne. Ale jest to już reguła, że dzieci uswiecają wszelkie uroczystości. Najłatwiej jest je nauczyć i zachęcić do pracy w kółku artystycznym.

Były powitania, referat okolicznościowy, były przysięgi, w których krytykowano lokalne bolączki, a więc, że SKR źle pracuje, że w gminnych urzędach zagnieździł się biurokraci, że zamiast wybudowania sklepu na placu ku temu przeznaczonym... posadzono kartofle. Zachęcano gminnych biuralistów do wyjścia z biurów i zainteresowania się tym, co naprawdę dzieje się na wsi i jak i czym pracują rolnicy, aby osiągać dobre plony. Nie wiem, czy biuraliści skorzystają z tej rady, a myślę, że byłoby warto.

Niemniłym, acz szybko zatuzowanym incydentem było wezwanie rolnika Z. do odebrania odznaczenia państwowego. — On tu powinien być — powiedział dożynkowy konferansjer. — Ale rolnika Z. nie było i nie zgłosił się pod trybunę. Gospodynie wiejskie zaśpiewały więc szybko liryczną piosenkę o spracowanych rękach i znów zrobiło się miło i przyjemnie.

Obok wystawy ziemiopłodów leżały propagandowe broszurki. Bogumił N. zainteresował się „Zasadami i zaletami inseminacji”. Zaraz też wbiegł się w jej tajniki. „Unasiennianie krowy — czyta nam głośno — lub jałowicy polega na wprowadzeniu nasienia buhaja do dróg rodných samicy podczas ru. Ruja, zwana potocznie „jałowaniem” lub „gonieniem”, występuje u zdrowych krow w 3 do 6 tygodni po wycieleniu”.

— Oni tu narysowali — krzyczał radośnie Bogumił N. — że rolnik powinien podglądać krowy przez... lornetkę, czy już się „latują”.

— A nie można bez lornetki?

— Widać nie można. Tylko, czy w sklepach GS są już lornetki?

Usłyszeliśmy też, że po dożynkach w remizie strażackiej odbędzie się zabawa dożynkowa. Pośpieszyliśmy więc szybko w kierunku remizy, gdzie czynny już był bufet. Było piwo, wódka, wino i kielbasa z bułkami. Było wesoło. Niektórzy w ogóle nie byli na wre-

czystości dożynkowej, tylko od razu skierowali się do bufetu. Można i tak. My spełniliśmy nasz obywatelski obowiązek i zmanifestowaliśmy sojuszmieść z wsią. W bufecie również!

W drodze powrotnej Kazio krytykował nas niemiłosiernie.

— Ja chcę orenżady! — wykrzykiwał.

— Nie ma orenżady — tłumaczyliśmy mu spokojnie.

— Ale dorodzi mieli swoją orenżadę — nie ustępował — sam widziałem jak pili.

— Bo dla dorosłych było — tłumaczyliśmy mu dalej — a dla dzieci nie.

— To jest niesprawiedliwe, żeby picie było tylko dla dorosłych, dzieciom też chce się pić.

— W domu zrobię ci herbatki — obiecała mama Kazia.

— Ja nie chcę herbatki, ja chcę orenżady dla dorosłych! — upierał się Kazio.

— W okresie ru! — odezwał się nagle Bogumił N. — krowy wykazują odruch tolerancji i brak apetytu.

W samochodzie zrobiło się nagle cicho.

## ZENON POROWATY

# 2

## Nagle zastępstwo

## Czy warto sadzić kwiatki?

W czasach radosnego rozkwitu, ogólnego postępu i drugiej Polski słowa „czyn społeczny” jakby się rozmydliły i straciły swoje pierwotne znaczenie. Organizowano najróżniejsze „czyny”, ale były to zwykle imprezy sztuczne i nadęte, nic a nic nie przypominające autentycznych i spontanicznych prac, które pamiętam z lat pięćdziesiątych a nawet jeszcze sześćdziesiątych.

Nie był to żaden problem zresztą przy powszechnym oderwaniu placu od pracy tzw. „czyn społeczny” czy „czyn produkcyjny” miał wartość głównie propagandową. A czy praca wykonana w „czynie” miała jakiś sens, czy była użyteczna, czy wreszcie w ogóle była wykonana, o to nikt się nie martwił. Było tylko można było w TV pokazać jak sam przywódca dąwiga płyty chodnikowe...

Nikomiu nie chce tu odbierać jego autentycznych zasług — wiele wiejskich szkół i obiektów kulturalnych powstało zrealizowane w czynie społecznym, można zapewne mnóstwo takich przykładów znaleźć w miastach. Ludzie pracowali społecznie nie dla propagandowego szumu i nie dla orderów, tylko dlatego, że w ten sposób zaspokajali potrzeby swoich środowisk. Potrzeby, których w inny sposób zaspokoić nie było można.

Dzisiaj, w dobie najróżniejszych niedostatków, zapotrzebowanie na pracę społeczną jest chyba jeszcze większe. Ale też mało kto da się dziś wmanewrować w sadzenie kwiatków na terenie, na którym jutro kładzie się będzie asfalt, albo na inne lipne „czyny”. Jest wreszcie drugi aspekt: reforma gospodarstwa. Uczymy się (powoli, to fakt) myślenia kategoriami ekonomicznymi. Dlatego też przed podjęciem czynu w postaci tegoż właśnie sadzenia kwiatków na miejskim, bądź co bądź, trawniku zaczynamy się zastanawiać: a przecież te kwiatki ktoś powinien zasadzić, ktoś kto bierze za to pieniądze. I to nie żadne tam abstrakcyjne pieniądze państwowe, tylko nasze, własne. Jakże to? Płacę za to, żeby w miejscu, w ośledli, w parku była zielen, ktoś te pieniądze — moje pieniądze! — bierze a ja jeszcze za niego mam zrobić robotę?

Refleksje takie oraz wątpliwości ogarnęły mnie po obejrzeniu jednego z programów lokalnej TV. Jakis sympatyczny pan (ukłony!) przy ulicy Bema w Łodzi, przy pomocy własnego sprzętu, we własnym wolnym czasie przycinał na-

zbyt wyrosnięte gałęzie drzew. Drzew „miejskich”, rosnących przy ulicy, nawet niekoniecznie w pobliżu bloku, w którym mieszka. Bardzo sympatyczna dziennikarka DTV (ukłony!) skomentowała ten budujący fakt takimi — mniej więcej — słowami: „szkoda, że takich społeczników nie ma więcej”.

W pierwszej chwili przykładałem gorąco, ale już w chwili następnej „dostałem refleksji”: zaraz, zaraz. Przecież ja — dajmy na to — też mógłbym poucinać jakieś tam gałęzie. Ale, po pierwsze, nie mam takiej piły, jaką przed chwilą demonstrowała kamera; po drugie, gdybym ją miał, to i tak nie mam zielonego pojęcia, które to gałęzie należy ścinać a które pozostawić. W tej sytuacji mógłbym mnie przychwycić patrol MO i bulnabym — zupełnie słusznie zresztą — grubą grzywnę za niszczenie zieleni. Po trzecie, mógłbym sobie — przy moich wybitnych zdolnościach manualnych — uciąć kawał ręki. Po czwarte wreszcie i najważniejsze — jeśli ja się wezmę za tę robotę to kto za mnie napisze felieton, na który z utęsknieniem czeka ogromna rzesza czytelników, że już nie wspomnę o kierownictwie redakcji? Może napisze za mnie ktoś z przedsiębiorstwa od zieleni miejskiej?

Może w takim razie ja pójdę na etat do zieleni miejskiej, a pan od ucinania gałęzi do redakcji? A przecie jest wyjście jeszcze prostsze: ja zostanę w redakcji i będę pisał a odnośny pan będzie te gałęzie wycinał?

Koło się zamknęło i dajmy spokój żartom, spróbujmy raczej zbudować jakąś definicję czynu społecznego w dobie reformy gospodarczej. Nie będzie to proste...

Otóż podzieliłbym wszystkie te prace na dwie kategorie: pierwszą, to wykonanie w czynie społecznym tego, czego w formach instytucjonalnych wykonać się nie da, druga, to właśnie wyreżanie kogoś, wykonywanie roboty, która leży w czyichś tam obowiązkach i za którą ktoś i tak weźmie pieniądze. Do pierwszej kategorii, jako przykład klasyczny zaliczyłbym budowę remizy strażackiej na wsi. Ani forsy na to nie ma, ani tzw. mocy przerobowych, ani materiałów budowlanych. A remiza jest potrzebna... Toteż chłopci się skrzykują i robią coś z niczego. Sami kupią, albo nawet sami zrobią pustaki, sami zbudują, sami pomalują itd.

Drugą — kontrowersyjną jak sądzę — kategorię reprezentuje sympatyczny mieszkaniec ulicy Bema. Robi za kogoś. Za kogoś, kto to powinien zrobić, co gorsza, pewnie bierze za to pieniądze. Traci swój czas, narusza zdrowie (tak, tak!), niszczy własny sprzęt.

Przy całej sympatii dla tego pana z ul. Bema ja jestem takim czynem przeciwny!

Mam zamiar wrócić do tego tematu. Będę wdzięczny czytelnikom za listy i telefony w tej sprawie.

## ANDRZEJ KAROL

# 3

## Sport

## Podanie

Wyrozumiał! Szkoleniowcy, uprzejmie proszę o niezwłoczne powołanie mnie do reprezentacji kraju, wszystko jedno w jakiej dyscyplinie sportowej. Proszę swą motywację, tym, że bardzo lubię dalekie podróże do pięknych krajów na koszt społeczeństwa oraz wesołe zabawy jak wyżej. Nadmieniam, iż nie posiadam rodziny za granicą, ani też konta dewizowego w banku krajowym, więc szanse moje na prywatne zwiedzanie świata są raczej żadne. Ze swej strony pragnę gorąco zapewnić Szanownych Szkoleniowców, że

w razie czego dołoża wszelkich starań, by na zawodach sportowych nie wypaść gorzej od aktualnych reprezentantów. Zresztą będzie to zadanie bardzo łatwe, bo gorzej wypaść nie sposób.

Dodam jeszcze, że pozytywne rozpatrzenie mej prośby, czyli wyjazd zagraniczny w mniejszym niż dotychczas stopniu spustoszy chudą kasę Związku, ponieważ dres mam własny, obuwie wycynowe marki trampki również i jeszcze namiot z tropikiem. Z diety delegacyjnej zrezygnuję dobrowolnie w zamian za całodienne wyżywienie, nawet u McDonalda.

Nie ukrywam, że mniejszy wniosek zrodziła wnikliwa obserwacja niedawnych międzynarodowych imprez sportowych, w których uczestniczyli nasi obecni reprezentanci. Kadrowiczów pilnie obserwowałem na starcie (bo na mecie telewizja pokazywała tylko pierwszą dziesiątkę) i doszłam do wniosku, że tyle to i ja potrafię. Potrafię na przykład zająć ostatnie miejsca w dowolnej dyscyplinie — najlepiej w skoku o tyczce albo rzucie młotem. Potrafię artystycznie zaryć nosem w tartan albo odegrać sztukę dramatyczną w trzech aktach pt. „Zerwanie Achillesa”. Umiejętnie będę pisał a odnośny pan będzie te gałęzie wycinał? Koło się zamknęło i dajmy spokój żartom, spróbujmy raczej zbudować jakąś definicję czynu społecznego w dobie reformy gospodarczej. Nie będzie to proste...

Otóż podzieliłbym wszystkie te prace na dwie kategorie: pierwszą, to wykonanie w czynie społecznym tego, czego w formach instytucjonalnych wykonać się nie da, druga, to właśnie wyreżanie kogoś, wykonywanie roboty, która leży w czyichś tam obowiązkach i za którą ktoś i tak weźmie pieniądze. Do pierwszej kategorii, jako przykład klasyczny zaliczyłbym budowę remizy strażackiej na wsi. Ani forsy na to nie ma, ani tzw. mocy przerobowych, ani materiałów budowlanych. A remiza jest potrzebna... Toteż chłopci się skrzykują i robią coś z niczego. Sami kupią, albo nawet sami zrobią pustaki, sami zbudują, sami pomalują itd.

Drugą — kontrowersyjną jak sądzę — kategorię reprezentuje sympatyczny mieszkaniec ulicy Bema. Robi za kogoś. Za kogoś, kto to powinien zrobić, co gorsza, pewnie bierze za to pieniądze. Traci swój czas, narusza zdrowie (tak, tak!), niszczy własny sprzęt.

Przy całej sympatii dla tego pana z ul. Bema ja jestem takim czynem przeciwny!

Mam zamiar wrócić do tego tematu. Będę wdzięczny czytelnikom za listy i telefony w tej sprawie.

## ANDRZEJ KAROL

# 3

## Sport

## Podanie

Wyrozumiał! Szkoleniowcy, uprzejmie proszę o niezwłoczne powołanie mnie do reprezentacji kraju, wszystko jedno w jakiej dyscyplinie sportowej. Proszę swą motywację, tym, że bardzo lubię dalekie podróże do pięknych krajów na koszt społeczeństwa oraz wesołe zabawy jak wyżej. Nadmieniam, iż nie posiadam rodziny za granicą, ani też konta dewizowego w banku krajowym, więc szanse moje na prywatne zwiedzanie świata są raczej żadne. Ze swej strony pragnę gorąco zapewnić Szanownych Szkoleniowców, że

w razie czego dołoża wszelkich starań, by na zawodach sportowych nie wypaść gorzej od aktualnych reprezentantów. Zresztą będzie to zadanie bardzo łatwe, bo gorzej wypaść nie sposób.

Dodam jeszcze, że pozytywne rozpatrzenie mej prośby, czyli wyjazd zagraniczny w mniejszym niż dotychczas stopniu spustoszy chudą kasę Związku, ponieważ dres mam własny, obuwie wycynowe marki trampki również i jeszcze namiot z tropikiem. Z diety delegacyjnej zrezygnuję dobrowolnie w zamian za całodienne wyżywienie, nawet u McDonalda.

Nie ukrywam, że mniejszy wniosek zrodziła wnikliwa obserwacja niedawnych międzynarodowych imprez sportowych, w których uczestniczyli nasi obecni reprezentanci. Kadrowiczów pilnie obserwowałem na starcie (bo na mecie telewizja pokazywała tylko pierwszą dziesiątkę) i doszłam do wniosku, że tyle to i ja potrafię. Potrafię na przykład zająć ostatnie miejsca w dowolnej dyscyplinie — najlepiej w skoku o tyczce albo rzucie młotem. Potrafię artystycznie zaryć nosem w tartan albo odegrać sztukę dramatyczną w trzech aktach pt. „Zerwanie Achillesa”. Umiejętnie będę pisał a odnośny pan będzie te gałęzie wycinał? Koło się zamknęło i dajmy spokój żartom, spróbujmy raczej zbudować jakąś definicję czynu społecznego w dobie reformy gospodarczej. Nie będzie to proste...



# Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(18)

— Panie Bliss. Odnoszę wrażenie, że pan pochopnie zaufał doniesieniom prasowym. Sytuacja nie wygląda tak jak pan ją widzi, tak jak chciałaby pan ją widzieć. Pracuję tu już od siedemnastu lat i dobrze jest mi znany stan prawny sporej części nieruchomości w tym rejonie, ponadto mam możliwość wglądu we wszystkie księgi hipoteczne i niech pan do tego doda informacje zbierane innymi, także towarzyskimi kanałami...

— W porządku, ale o co chodzi?

Nie zmieniając wyrazu twarzy dyrektor rzucił krótkie spojrzenie pułkownikowi. Pułchną dłońmi bezwiednie pogładził grzbiet kartonowej teczki leżącej na biurku, potem powoli zbliżył się do pustego fotela i usiadł naprzeciw Briana.

— Otóż — powiedział splatając parówkowate palce na brzuchu — moim i nie tylko moim zdaniem zamysłili pan operację nieco hazardową. Większość tujejszych nieruchomości, usytuowanych w dobrych i drogich dzielnicach, należy do spółek lub osób dostatecznie zamożnych, żeby mogły one pozwolić sobie na próbę przetworzenia tej chwiejnej koniunktury, choćby za cenę ryzyka utraty kilkukilkunastu, czy nawet kilkudziesięciu tysięcy dolarów. Dla tych ludzi całe to zagrożenie, zresztą dosyć wątpliwe, jest problematyczne, bo przyjeżdżają oni tu raz w roku albo i to nie. Pertrakcje z właścicielami kondominium nie wchodziły w rachubę: to operacje na skalę szerszą niż pan przyjął. Pozostają posesje należące do osób z warstw średnich, działki w budowie i tereny przeznaczone do zabudowy, przeważnie zlokalizowane w okolicach mało pociągających, podrzędnych... często niebezpiecznie blisko „Trójkąta Florydzkiego”.

— Są tani, a dzisiaj praktycznie bezwartościowe. Kiedy zagrożenie minie, wtedy opadnie fala paniki, ochłodną emocje i wartość tych terenów znowu wzrośnie.

— Skąd możemy mieć pewność, że zagrożenie rzeczywiście minie?

— Chwileczkę — Brian powstrzymał się, by nie krzyknąć. — Sam pan powiedział, że zagrożenie to jest wątpliwe.

— Ale powinniśmy uwzględnić je w naszych rachubach... — dyrektor przenosił wzrok na E. C. Castro — ...nawet wbrew opinii obecnego tu pułkownika, który jest lepiej od nas zorientowany i radzi nam całkowicie je zbagatelizować. W grę jednak wchodzi poważne kredyty. Musimy mieć jakąś gwarancję ich spłaty na wypadek, gdyby się panu nie powiodło...

— Chwileczkę! — Teraz Brian naprawdę krzyknął. — Nie było mowy o żadnych gwarancjach, kiedy rozmawiałem z...

— ...a najlepszej gwarancji udzielił nam wojsko przystępujące do spółki z panem, panie Bliss.

Z otwartymi ustami Brian nagle zamilkł wpatrzony w dyrektora banku.

— Spółka? — wykrztusił wreszcie.

— Oczywiście nieoficjalna — odezwał się pułkownik dziarsko — i utrzymana w ścisłej tajemnicy. I oczywiście to pan będzie podejmował decyzje, dokonywał wyboru, przeprowadzał wszelkie transakcje, zawiadywał całością interesów. My bierzemy na siebie odpowiedzialność za pańskie zobowiązania finansowe i dajemy panu pełną swobodę działania, którą inne firmy będą miały w zakresie uciążliwie ograniczonym. Stawiam tylko jeden warunek. Dla naszych potrzeb musi pan kupić wytypowane przez nas grunty. Bez obaw, chodzi nam głównie o grunty bezpośrednio przyległe do granic „Trójkąta Florydzkiego”.

Brian wysunął do przodu głowę i zatopił wzrok w oczach pułkownika.

— A jeśli ja na to nie pójdę? — spytał.

— Cha, cha — powiedział

(tak, powiedział, bo przecież nie był to śmiech) pułkownik E. C. Castro. — Nie wierzę.

I miał rację. Te dwa bezwzględne sukinsyny trzymały Briana za gardło.

Po trzecie — zespół starannie wyselekcjonowanych, dobranych i przygotowanych aktorów z off off Broadway: zaplącana burdel-mama, stuknięty prorok, gangster, stała wariatka, bogaty czarucho, szkodliwy kurwiszon, średnio rozgarnięci plantatorzy, dziennikarze i hippisi. Grupa trzy-nastoosobowa, przy czym do Coral Gables przyjechał jak dotąd jedenaścioro, dwóch było jeszcze w drodze. I na tym polegała ta komplikacja, na tym, że dwóch było jeszcze w drodze, dwóch hippisów. Bo bardzo przedkładało się, że właśnie hippisi będą mieli do odegrania rolę niepoślednią, wspólnie z włóczęgami i kolorowymi wytwarzając (samą swoją obecnością) atmosferę niepewności i nieokreślonej groźby. Tymczasem ci dwaj byli jeszcze w drodze. Pierwszy z nich, Sabo, który zaraz po próbach w hotelu z wysokimi lustrami okazał wrócić na jeden dzień do Nowego Jorku, żeby omówić tam warunki jakiegokolwiek kontraktu, zadzwonił wczoraj z Lumberton w Północnej Karolinie i powiedział, że zjawił się tutaj dopiero dziś wieczorem, bo ta podróży autostopem od początku była pechowa. Z kolei drugi, Nichol, który po tamtych próbach udał się do Fallon na potwierdzenie swojej siostry, od kiedy zadepesował, że wsiada w autobus Greyhounda i rusza na Florydę, nie dał znaku życia, jeśli nie liczyć jego następnej, nadanej gdzieś w Kentucky czy Indiany depeszy rezerwuującej w „Muszli Pacyfiku” dwuosobowy apartament. Dwuosobowy? Do diabła, chyba nie zamierza przywieźć tutaj tej swojej młodszej siostry świeżo przyjętej na łono kościoła?

No i poza tym Twiggie, jej podejrzane postępowanie. To, co Brian usłyszał o niej od Pamel, głęboko go poruszyło. Pamela wchodziła w skład jego zespołu; była czterdziesto-pięcioletnią aktorką obsadzoną w roli burdel-mamy. Dzisiaj przed południem, zgodnie z ustalonymi zasadami konspiracji, skontaktowała się z nim telefonicznie, pytając, czy nie miałby ochoty zjeść z nią lunchu — gdzieś, gdzie mogliby pogawędzić swobodnie. Brian wyznał, że jej spotkanie w zainstalowanej restauracji „Nad Słonecznym Molem” i kiedy przyjechał tam po godzinie, ona już czekała. Była w swoim roboczym stroju, zbyt mocno umalowana, co nadawało jej wygląd zbliżony do brutalnej, jaką odgrywała przed jenieciami.

Brian zaprowadził ją do stolika w mrocznej wnęce. Zamówił cztery hamburgery, do nich coca-cola, jeden bourbon dla niej i piwo dla siebie. O interesach zwykły rozmawiać nie wcześniej niż przy kawie, koniaku i cygarach, więc kiedy Pamela zaczęła wyluszczać mu swoją sprawę od razu, odczuł to jako niemily zgrzyt towarzyski, chociaż było jasne, że ani lunch, ani partner nie są tej klasy co zazwyczaj.

— Nie jestem pewna — mówiła Pamela — czy o to panu chodzi. O to, co Twiggie zrobiła dzisiaj rano. No, jesteśmy koleżankami z tego samego zespołu i wystąpiliśmy razem w paru sztukach, ale to pan mi płaci i myślę, że powinien pan o tym wiedzieć, panie Bliss. Bo może ja nie kapuję, co tu jest grane.

— W porządku, panno Pamela. Niech mi pani o tym opowie.

— No, dzisiaj ona i ja obstawialiśmy tamten mały hotel, wie pan „Złote piaski”. Do tego skoczki potrzebne jesteśmy obydwójce i musimy ze sobą współdziałać. Obgadałam z Twiggie, że spikniemy się w hallu, o dziewiątej, ale przyszedłam tam przed nią. Wzięłam

ze stojaka gazety, kupiłam w automacie mus brzoskwinowy i usiadłam na kozetce... Tam są takie kozetki ustawione między palmami, to mały hotel, ale pierwszoklasny... Usiadłam na kozetce, w kącie, za tymi palmami i czytam. O nowej kuracji hormonalnej i o babce, której po sześćdziesiątce wróciła ciota. Nie spozostregłam, kiedy Twiggie tam przyszła, usłyszałam dopiero jej śmiech. No, patrzę ja w tamtą stronę i widzę, że ona stoi przy kontuarze recepcji i żartuje sobie z właścicielem. I mówi, że szuka czegoś takiego jak ten hotel, bo chce założyć saunę dla kosmicznych braci. Na razie wszystko przebiega planowo. Umówiliśmy się, że ja wchodzę na scenę, kiedy ona zacznie wcisnąć gadkę o swojej znajomej, co to też ma zamiar założyć saunę i salon azjatyckiej relaksacji tutaj niedaleko, czyli o mnie. „Pamela” — ładuje Twiggie faceta — „kupiła ten zajazd obok”. I to wydało mi się dziwne. Bo ona nie wiedziała, że ja tam siedzę na tej kozetce między palmami. Mogłam się spóźnić, mogłam w ogóle nie przyjść, no nie? I wtedy ten skocz nie zdążył się na nic. Wstałam, żeby do niej podejść, ale coś mnie powstrzymało, coś co ona powiedziała. Powiedziała tak: „Dzisiaj to najlepsza lokata pieniędzy. Każdy zainwestowany tu zielony zwróci się za miesiąc podwójnie. Nie na darmo ci sprycciarze handlujący nieruchomościami obsiedli Florydę jak sępy końską padlinę”.

Brian przestał żuć i zawiął wzrokiem na palających czerwieńkami Max Factora ustach Pamel.

— I? — spytał.

Zobaczył, że usta te — wilgotne, z drobnym okruszkiem bułki przyklepionej do górnej wargi — wyginają się półkolistnie, jakby w wyrazie niechęci do wypowiedzianych dalszych słów. Ale też, czy było to coś więcej do powiedzenia?

— To już wszystko. Odszukałam wyjście przeciwpożarowe i przysnęłam stamtąd niepostrzeżenie. Twiggie nie wie, że tam byłam... Potem przez dwie godziny wydzwaniałam po mieście, żeby się z panem skontaktować, panie Bliss. Bo może ja czegoś nie rozumiem,

może nie kapuję, co tu jest grane.

— Zrozumiała mnie pani doskonale, panno Pamela. I dziękuję za te informacje — odrzekł Brian.

Leżał teraz na łóżku, w hotelu „Muszla Pacyfiku”, oparty plecami o wezgłowie, sączył diugasa i nasłuchiwał tego, co się dzieje za ścianą, w pokoju Twiggie, w którym na razie nie działo się nic. Ta wyrachowana dziwka — myślał — jeszcze nie wróciła i jest cholernie ciekawą, dla kogo ona pracuje. Warto by o to zapytać sżywniaka-cha-cha-pułkownika E. C. Castro. Co on to powiedział? „Dajemy panu pełną swobodę działania, którą inne firmy będą miały w zakresie uciążliwie ograniczonym”. No więc zostawimy na pewien czas dzweczynę w spokoju, żeby nie wzbudzić jej podejrzeń i niech pułkownik Kamienna Buźka zbada, jaka to firma ma tak „uciążliwie ograniczoną swobodę działania”, że bez żadnych przeszkód wtrąca mi do zespołu swojego człowieka i prowadzi dywersyjną robotę na samym prozie operacyjnej linii moich interesów.

## FRAGMENT EGZEGEZY Z „EWANGELIARZA ELIASA”

1. Na początku Czysta Energia stworzyła... oślepiający biały odblask... o natężeniu wielokrotnie większym niż blask słońca w południe... Nikt z obecnych nie zobaczył... Zobaczyli tylko... próżnię i materię... 3. I rzekła Czysta Energia: Niech będzie... światło złote, purpurowe, fioletowe, siwe i niebieskie... na niebie i na okolicznych górach... i stała się światłość... 2. A materia... została oświecona oślepiającym blaskiem... była... to... światłość... pierwszego błysku wybuchu atomowego... a Czysta Energia... oświeciła każdy pogórek, szczyłną i gran pobliskiego lańcucha gór z wyjątkiem i pięknem, których nie można opisać, które trzeba... było... zobaczyć, by móc je sobie wyobrazić... Cała okolica... niekiszatna i martwa... unosila się w ato-

mach wodoru... i ciemność wypełniała próżnię...

## Z „EWANGELIARZA ELIASA”

Do dwudziestej czwartej sekundy po godzinie „G”



5 kilometrów od punktu „0”. Za chwilę hala na poziomie trzecim pod hangarem F będzie świadkiem cudu, ale na razie jej posadzka drząc pochylała się w przeciwną stronę, po czym z miękkiem ustrząsem, z głuchym, stłumionym jękiem przyjęła dawną pozycję, nadal jednak czuć było jej drżenie. We wnętrzu ziemi narastał pomruk.

Stojąc na szeroko rozstawionych nogach William Frankley w ochronnym geście uniósł ręce ponad głowę. Starł się przeniknąć wzrokiem ciemności, a równocześnie tował uchem szmery dobiegające z otoczenia.

— Cat? — rzucił ostrożnie w przestrzeń.

— Tak, Billy-Frank? — odrzekł Cat. — Chyba już po wszystkim.

— Nie, to jeszcze trwa.

W głębi hali zabrzmiął szurkot i odgłosy niepewnych kroków. Frankley nagle zdał sobie sprawę, że nie słyszy przekleństw Gary'ego.

— Gary? — rzucił znowu w przestrzeń.

— Żyjącej, żyjącej — nadeszła uspokajająca odpowiedź intonowana narkotycznie. — Chryste, ale mnie walnęła! Miliony woltów z elektrowni atomowej Królestwa Niebieskiego. Aż wydoła mi się, że jestem archaniołem i dmem w ziołostą trawę. Nie wiecie, chłopcy, gdzie ja wsadziłem zapalki?

— Zerwało przewody energetyczne — oznajmił Cat. — To mi przypomnia trzęsienie ziemi, co ty o tym sądzisz, Billy-Frank?

Ale zanim Frankley zdążył otworzyć usta, nastąpił drugi ustrząs, silniejszy. Posadzka zapadła się pod nim i wtedy pomyślał, że to Bóg Wszechmogący uderzył pięścią w kontynent Ameryki Północnej. I jakby w myślach wypowiedział zaklęcie — w tym samym ułamku sekundy spadł na nich z góry druzgoczący cios.

Tak, to było także trzęsienie ziemi. Trzęsienie ziemi typu zapadłiskowego, które spowodowało wybuch termojądrowy. Skierowane prostopadle w dół masy powietrza, nie ukształtowane jeszcze we wstrząsający fizyko front Macha, uwarły rozłożony równomiernie na obszarze trzystu hektarów nacisk o sile miliarda ton i doprowadziły do zalamania się stropów piecazar krasowych. Nastąpiło kilka wstrząsów, a wywołane nimi fale sejsmiczne rozprzestrzeniły się koliste, wyznaczając sobie ambitny cel obiegnięcia całego globu. Wyżej, również koliste, rozprzestrzeniły się dąb wakuálny. Spowodowana nim fala uderzeniowa, teraz już ukształtowana we wspomniany front Macha, podążała tropem fal sejsmicznych, miłośernie kładąc się na powierzchni ziemi, niwelując i oczyszczając teren i nadając okolicy estetyczny wygląd rozległej równiny.

Po około siedemnastu sekundach fala ta dotarła do instytutu doświadczalnego, któremu władze wojskowe z wrodzoną im skromnością nadały nazwę Zakładów Naprawczych Taboru Cywilnych Linii Lotniczych Boeinga. Dotarła tam po przejściu fal sejsmicznych i przed nadejściem fali dźwiękowej i spadła na instytut jak cios zadany niewidzialną pięścią. Pięścią Boga Wszechmogącego — pomyślał Frankley.

I właśnie wtedy stał się cud. Pod wpływem wstrząsów sejsmicznych w hali na poziomie trzecim pod hangarem F, który

już nie istniał, pękły przewody doprowadzające sprężone powietrze do tunelu aerodynamicznego.

Pędząc przed siebie z prędkością supersoniczną, wciąż pędząc przed siebie fala uderzeniowa wtoczyła do szybów podziemnych wszystko to, co dało się tam wtoczyć, wciąż pędząc przed siebie przemknęła przez gładki jak glazura dziedziniec, wciąż pędząc przed siebie wymioła z niego do zysła zwęglone, żarzące się resztki ludzi, budynków i sprzętu, wciąż pędząc przed siebie dosięgła linii horyzontu, zapadła za nią i już jej nie było. Pozostał tylko gładki jak glazura dziedziniec, nieporównanie większy, ciągnący się aż do punktu „0”.

Fala uderzeniowa bez trudu wtoczyła do szybów podziemnych wszystko to, co dało się tam wtoczyć, ale zabrakło jej czasu i wytrzymałości, by przeniknąć głębiej, poza spowodowane przez siebie obwoły, i wtargnąć do hali na poziomie trzecim pod hangarem F, który już nie istniał, gdzie William Frankley i jego współpracownicy, Cat oraz Gary — tak bardzo podatni na zgniatanie — kulił się w ciemnościach. Zabrakło jej czasu i wytrzymałości by wtoczyć tym mężczyznom języki do gardeł, gałki oczne do czaszek, a jądra do jam brzusznych.

Nie był to jednak cud właściwy. Przedtem nadeszła fala dźwiękowa. Krótki, wszechpogębny huk rozdarł atmosferę, jakby to Rycerze Pana, bohaterzy książki, którą jednanastoletnia Kate czytała zdecydowanie daleko od punktu „0” i wysoko, wysoko nad ziemią, przerażeni tym, czego dokonali, z powrotem zatrzasnęli wrota piekielne. Zanim huk ten zdławiła cisza, rozprzestrzeniający się dąb wakuálny oparł cienie pozostałe po Zakładach Naprawczych Taboru Cywilnych Linii Lotniczych Boeinga. Usiłował on z szybów podziemnych wysuć wszystko to, co fala uderzeniowa do nich wtoczyła. Miał przy tym więcej niż ona czasu i wytrzymałości, w każdym razie dostatecznie dużo, by pochłonąć jeszcze — chociaż był niemal syty — całą powietrze z hali na poziomie trzecim pod hangarem F, który już nie istniał, i przyprawić Franckleya oraz jego współpracowników o śmiertelne uszkodzenia. Na szczęście stał się cud. Śmierci tej zapobiegła rezerwa, dotąd sprężona w butlach, a teraz wydobywająca się obficie z pękniętych przewodów.

Ale więcej cudów nie będzie.

11 kilometrów od punktu „0”. Zredukowany do kości miedzianych i kilku dolnych krogów Michael Tomashuk nadal spoczywał na siedzeniu popielatobrzystego Pontiac. Samochód ten podobnie jak wszystkie samochody dokoła nasładował uspany z metalu, szkła, gumy, tworzyw sztucznych i szczątków organicznych kopczyk nieforemny, z którego wierzchnie, płonące warstwy sphywały płonącymi kroplami na płonący asfalt. Samochód ten także, podobnie jak wszystkie samochody dokoła, przemieszczał się wzdłuż osi ulicy. Fantaści mogli mieć powód do dumy, bo oto ziściły się ich wizje: po raz pierwszy od zarania dziejów uruchomione zostały mobilne jezdnie i chodniki. Wprawdzie niepewnie, ospale i w kierunku niezbyt zgodnym z oczekiwaniami, ale siły one bez wątpliwości.

C.D.N.

Tytuł pochodzi od redakcji. Tytuł autora „Stan zagrożenia”.



Rys. Janusz Szymański-Glanc